

Choga Regina Egbeme

**Złota  
klatka**

KICMAN

**Egbeme Choga Regina**

**Złota klatka**



## **Przedmowa.**

Mam dwadzieścia pięć lat, a mój syn Joshua - prawie sześć. Na razie oboje czujemy się dobrze. Mamy nadzieję, że choroba jeszcze długo pozwoli nam żyć. Staram się, korzystając z najlepszej wiedzy, chronić nas środkami naturalnymi. Na zachodnie lekarstwa nas nie stać. Codziennie budzę się ze świadomością, że jutro lub pojutrze mogę wszystko stracić - swojego syna, swoje życie. Nieskończenie wielkim smutkiem napawa mnie myśl, że być może nie będę już widziała, jak Josh rośnie, że nigdy nie wezmę w ramiona jego dzieci, że niewidzialne więzy miłości i mądrości, jakie łączą pokolenia, pewnego dnia zostaną zerwane.

Gdy byłam w ciąży, Amara - przyjaciółka mojej matki - prosiła, żebym spisała moją historię. Miało to pomóc mi w uwolnieniu się od koszmaru przeszłości. Kiedy przed ponad rokiem po raz pierwszy spotkałam swoją przyrodną siostrę, Magdalенę, powiedziałam jej o tych notatkach. Nakłoniła mnie do tego, żebym je uzupełniła.

Zgodziłam się na opublikowanie mojego rękopisu tylko pod warunkiem, że imiona, nazwiska i informacje o wymienionych w nim osobach (włączając w to mnie) zostaną zmienione. Joshua nie może się nigdy dowiedzieć, w jakich okolicznościach został poczęty, i skąd pochodzi. Gdy poznacie naszą historię, zrozumiecie dlaczego. Jego ciało od urodzenia nosi na sobie piętno. Niech chociaż jego dusza pozostanie czysta.

Składam podziękowania tym wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki. Bez pomocy niektórych z nich obojga nas pewnie już by tu nie było.

Niech Bóg czuwa nad nimi i im błogosławi.

Jeba maj 2001.

Choga Regina Egbeme.

\*\*\*

## **Nieznana siostra.**

W haremie, na nocnej szafce mojej matki, stała fotografia dziesięcioletniej dziewczynki, zawsze dokładnie odkurzona. Towarzyszyła mi przez całe dzieciństwo.

- To twoja siostra - wyjaśniła mi pewnego dnia matka. - Możesz być z niej dumna.

Magdalena miała na jasnych włosach wianek z białych kwiatów. Matka powiedziała, że to są rumianki, które kwitną latem w Niemczech na łąkach i polach.

Często wyobrażałam sobie Magdalенę, jak biega po łące i zrywa rumianki. Czasem mi się śniła. Wtedy próbowałam ją złapać. Ale ona zawsze była ode mnie o wiele szybsza.

Niczego nie pragnęłam bardziej, niż poznać swoją niemiecką siostrę. W mojej wyobraźni Magdalena pozostała małą dziewczynką na łące.

Pewnego dnia przyszedł od niej list. Moja siostra zdecydowała się po raz pierwszy nas odwiedzić. Do listu dołączyła zdjęcie. Spojrzałam na twarz całkiem obcej kobiety. Niebieskooka dziewczynka o niespokojnym spojrzeniu i blond lokach, lekko opadających na ramiona, zmieniła się w kobietę z krótkimi kasztanowymi włosami, która zamyślonym wzrokiem patrzyła na mnie zza grubych szkieł okularów. Towarzyszka mojego dzieciństwa była teraz czterdziestojednoletnią nauczycielką z Niemiec. Przestraszyłam się. Po raz pierwszy bowiem uświadomiłam sobie, że znaczna część mojego życia bezpowrotnie minęła. Moja własna młodość, beztroska, a nawet część marzeń.

W drodze na lotnisko towarzyszyła mi przyjaciółka mamy, Amara. Był Wielki Piątek. Wokół mnie wrzeszczały dzieci, słychać było śmiech kobiet i głośnie powitania mężczyzn. Wszyscy wydawali się tacy szczęśliwi, jak gdyby właśnie wygrali na loterii. A ja stałam pośród nich ze ściśniętym gardłem. Bolała mnie głowa i chciało mi się pić. Serce skoczyło mi do gardła. Czułam, że się pocę. Co chwila zerkałam na zdjęcie, które trzymałam w wilgotnych dłoniach. A potem, podnosząc głowę, przeszukiwałam wzrokiem tłum wychodzący z hali przylotów. Uśmiechały się do mnie twarze podróżnych, którzy po ośmiu godzinach lotu mogli wreszcie wysiąść z samolotu i uściskać swoich bliskich.

Nie potrzebowałam zdjęcia, żeby rozpoznać Magdaleny. Poznałam ją po oczach - oczach mamy. Z tym jej pytającym spojrzeniem. Jak gdyby chciała wszystko dokładnie wiedzieć, upewnić się, czy dobrze ją zrozumiano. Czasami było w jej oczach widać odrobinę strachu.

Amara opisała kiedyś ten strach:

- Ludzie nawet nie wiedzą, że go w sobie noszą. Ale ja potrafię go dostrzec. To obawa osób, które nie mogą poradzić sobie ze stratą, jakiej doświadczyły. Mają ten lęk wypisany na twarzy. Lęk, że znów będą musiały przeżywać coś podobnego.

I ja nauczyłam się rozpoznawać ten rodzaj niepewności. Widać ją w oczach wielu ludzi. W oczach mojej siostry także. Być może i w moich, ale mnie samej trudno to ocenić.

Magdalena szukała w tłumie nie mnie, lecz matki. Przeszła obok. Poczułam zapach jej perfum, a moja ręka dotknęła miękkiej tkaniny jej spódnicy. Była tak blisko a jednocześnie dalej niż przez te wszystkie lata. Nagle przyszło mi do głowy zupełnie banalne pytanie: jak mam się do niej zwracać? Mogę mówić po prostu „ty”? W jednej chwili zapomniałam wszystkie niemieckie słowa. Poczułam pustkę w głowie, choć serce waliło mi jak młot.

Amara potrafi instynktownie wyczuwać wzajemną bliskość ludzi. Dlatego bez wahania stanęła na drodze mojej niemieckiej siostrze.

- Welcome to Nigeria, Magdalena! - powiedziała.

Ja zaś stałam kilka kroków dalej jak ciele, potrącane przez ludzi w jedną to w drugą stronę. Do tego jeszcze te buty, które założyłam specjalnie jadąc na lotnisko, a do noszenia których w ogóle nie jestem przyzwyczajona. Wystarczyła chwila nieuwagi i ktoś mnie potrącił. Upadłam. Magdalena spojrzała na mnie, leżącą nieruchomo i zmieszaną, w tej mojej ślicznej białej sukni. Przez chwilę poczułam się jak małe dziecko.

To jej pełne współczucia spojrzenie! Dokładnie tak patrzyła na mnie matka, gdy przytrafiło mi się coś głupiego.

Upadając wypuściłam z ręki zdjęcie, które leżało teraz obok. Magdalena postawiła swoje walizki i schyliła się, żeby mi podać rękę. Po raz pierwszy dotknęłyśmy się nawzajem.

Pomogła mi się podnieść i wymówiła moje imię.

- Choga Regina?

Skinęłam głową, nie otwierając ust. Było mi wstyd za ten nieudany początek. Chciałam naprawić złe wrażenie i chwyciłam jej walizki.

- Nie są ciężkie - odparła. Od pierwszej chwili zwracała się do mnie po niemiecku. Tak jak matka.

- „Czy w Niemczech wszyscy chodzą tak szybko?” - zastanawiałam się w duchu. Ilekroć matka wracała ze swojej ojczyzny, miałam wrażenie, że dokąś pędzi. Za Magdaleną też nie mogłam nadążyć. To przez te problemy z nogą. Przez nią poruszam się trochę wolniej i gorzej biegam. Dlatego zazwyczaj nie noszę butów. Boso jest znacznie wygodniej.

Mimo że Magdalena szła przede mną, udało mi się zauważyć, że rozgląda się za matką. Jednak dopiero gdy znalazłyśmy się przy samochodzie Amary, spytała:

- A mama nie przyjechała?

Wciąż jeszcze nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Magdalena patrzyła to na Amarę, to na mnie.

- Czy coś jej się stało? - postawiła walizki i utkwiała we mnie wzrok.

Czułam, jak gdyby sama matka na mnie patrzyła. Przed takim spojrzeniem nie potrafiłam uciec, bo mogłabym zadać ból. A mój własny ból za bardzo mnie przytłaczał, żebym mogła wspierać siostrę.

W tym momencie Amara zrobiła coś niespodziewanego. Objęła nas ramionami i pchnęła ku sobie. Poczulałam lekkie szturchnięcie.

- Jesteście siostrami - powiedziała zachęcającym tonem. - Przywitajcie się wreszcie jak siostry.

To był nasz pierwszy uścisk. Miałam wrażenie, że dla Magdaleny był trochę nieprzyjemny. Z początku nawet się nie poruszyła. Potem poczułam jej dłonie na moich plecach. Dopiero wtedy i ja miałam odwagę ją uścisnąć. Stałyśmy tak w milczeniu, a ja pragnęłam, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Niewiele w swoim życiu podróżowałam, ale każda podróż niosła ze sobą jakieś nadzieje. Nadzieje na to, że znajdę kogoś lub coś nowego, czego nie miałam tam, skąd wyruszyłam. Magdalena przebyła tyle kilometrów, tyle lat czekała na spotkanie z matką. I gdy tylko dotarła na miejsce, musiałam jej powiedzieć, że nasza matka, którą miała nadzieję znów zobaczyć, umarła.

Magdalena spóźniła się dokładnie o jeden dzień. Los nie pozwolił, aby obie spotkały się na ziemi, którą matka tak kochała - w Afryce.

Strach w oczach mojej siostry zamienił się w wielką pustkę. Patrzyła na mnie w ogóle mnie nie widząc.

- To niemożliwe - wyszeptała załamana. Kręcąc głową oparła się ciężko o samochód Amary.

W jednej chwili zniknęło całe zamieszanie wokół nas, jak gdyby ktoś szklaną taflą oddzielił otaczających nas ludzi, którzy śmiejąc się i hałasując wsiadali do swoich samochodów. Byłyśmy tylko my - dwie siostry, które w ogóle się nie znały. Dwie obce kobiety, mające ze sobą tak wiele wspólnego - wspólną matkę. Mimo że umarła, stała teraz pomiędzy nami. Próbowwała poprowadzić nas razem za ręce, co w rzeczywistości uczyniła Amara. Znow się uścisnęłyśmy. Tym razem jednak nie był to uścisk powitalny, ale zbliżenie dusz, które się odnalazły.

Od śmierci matki nie chciałam dopuścić do siebie bólu. Cały czas myślałam o tym, że muszę być silna - dla Magdaleny. Muszę pomóc jej zrozumieć to wszystko, co się tu wydarzyło. Dopiero teraz wraz z nią poczułam straszny ból po stracie ukochanej osoby.

- Mam jakieś dziwne wrażenie, że ona na nas patrzy - usłyszałam głos Magdaleny przerywający ciszę, która trwała wieczność.

To było wyznanie z głębi duszy. Wiem, jak bardzo matka tęskniła za chwilą, w której weźmie nas obie za ręce - swoje dwie różne córki. Miała nadzieję, że nasze wzajemne poznanie obudzi w nas uczucia tak silne, że przetrwają do końca życia.

Nauka - którą od narodzin mojego syna Joshui zgłębiałam przez trzy lata dzięki kilku mądrym kobietom - mówi, że dusza ludzka jeszcze przez tydzień po odłączeniu się od ciała

wędruje po ziemi. Nie potrafiłabym, tam na lotnisku, wyjaśnić tego Magdalenie. Jednak dokładnie tak było. Matka posłużyła się rękami Amary, by na zawsze związać ze sobą mnie i Magdalenę. Mądra staruszka wiedziała to równie dobrze jak ja. Dlatego postanowiła być dla nas wsparciem.

Po tym serdecznym powitaniu wsiadliśmy do samochodu Amary i ruszyliśmy ulicami nocnego Lagos, mojego rodzinnego miasta. Siedziałyśmy z Magdaleną obok siebie na tylnym siedzeniu. Nie zwracałyśmy uwagi ani na widok za oknem samochodu, ani na miejski gwar, jak gdyby świat w ogóle nie istniał.

- Masz dzieci? - spytałam ni stąd ni zowąd, wyrывая Magdalenę z zadumy.

- Tak, córkę. Ma na imię Katharina i skończyła dziewiętnaście lat. W zeszłym roku zrobiła maturę.

- A ona nie chciała przyjechać i poznać babci? - spytałam. Magdalena chwilę milczała. Wystarczająco długo, żebym odgadła odpowiedź. Moja siostra chciała najpierw sama zobaczyć jak żyła matka. Powiedziała jednak co innego:

- Katharina pracuje od kilku miesięcy w Stanach Zjednoczonych jako Aupair.

To mi nic nie mówiło. Wyjaśniła więc, czym zajmuje się moja siostrzenica tak daleko od domu. Zauważyłam, że Magdalena nie ma obrączki. Ale znałyśmy się zbyt krótko i nie wypadało jej wypytywać. Dostrzegła jednak moje spojrzenie.

- Rozwiodłam się - wyjaśniła.

Opowiedziałam Magdalenie mój sen, w którym jako mała dziewczynka próbuję ją złapać, a ona za każdym razem jest o wiele szybsza ode mnie.

- Długo nie wiedziałam o twoim istnieniu - odparła na to.

- Dziękuję ci, że przyjechałaś - powiedziałam.

Siostra pokiwała głową. Wytarła sobie oczy. Myślę, że czułyśmy to samo - głęboki ból po dokonaniu odkrycia, że jakaś część naszego życia została przed nami zatajona. Straconego czasu nie da się nadrobić. Można jedynie spróbować słowami opisać to, co tej drugiej nie jest znane.

\*\*\*

## **Dom mojego dzieciństwa.**

Jeśli się zna Lagos, to można powiedzieć, że droga do domu mojego ojca trwała relatywnie krótko. W chwili, gdy Amara zaparkowała samochód przed jednym z bocznych wejść, do którego miałam klucz, Magdalena spojrzała na mnie zdziwiona.

- Co to za hałas? - zapytała.

W całej okolicy słychać było muzykę i śpiew, a luna bijąca od świateł compound wylewała się przez dwumetrowy mur, oświetlając niewyafaltowane ulice.

Dochodziła dziesiąta w nocy. W compound, jak nazywamy zabudowania haremu, świętowało wiele kobiet. Słychać było znany mi dobrze głośny bęben, wesoły balafon (drewniany ksylofon z podwieszonymi kalebasami, które wzmacniają brzmienie), dominujący „krowi dzwoneczek” i delikatny flet. Do instrumentów dołączał co chwila jakiś kobiecy głos, a do niego następne.

I tak było już od południa. Teraz w budynkach i ogrodach haremu paliły się wszystkie lampy. Gdy nad ranem wyłączy się generator, zapalimy lampy naftowe i będzie można dalej świętować. Dla mnie jest to naturalny sposób pożegnania szanowanego człowieka.

Weszliśmy na podwórze i znalazłyśmy się w środku tłumu liczącego ze sto osób. Wszyscy przyszedli, żeby złożyć matce hołd. Na długich stołach ustawiono wyśmienite potrawy. Powietrze pachniało dojrzałą papają, ananase, mango i bananem. Tuż obok kuchni znajdował się rożen. Pieczono na nim jagnię. Z niezliczonej ilości garnków wydobywał się wspaniały zapach ostrego czerwonego sosu.

Obie z siostrą zostałyśmy serdecznie przyjęte przez zgromadzonych. Zupełnie obce kobiety obejmowały i pozdrowiały Magdalенę. Znalazłyśmy się w centrum zainteresowania. Każda z obecnych знаła matkę. Niestety zapomniałam już imion większości z nich. Żalobnice przybyły ze wszystkich części Lagos, niektóre nawet z miast oddalonych o ponad sto kilometrów, takich jak Ibadan czy BeninCity.

- Czy nikt tutaj nie jest smutny z powodu śmierci naszej matki? - spytała zdziwiona Magdalena. - W Niemczech zmarłego żegna się w ciszy.

Tego nie wiedziałam, lub wypadło mi z pamięci. Im większy odczuwa się ból po stracie ukochanej osoby, tym bardziej należy się cieszyć, że cierpienia tego życia są już poza nią. Trzeba też mieć nadzieję, że jej następne życie będzie radosne i spokojne. Huczne świętowanie, w którym uczestniczy tylu ludzi, pokazuje jednocześnie, jak bardzo ceniona była zmarła osoba. Hałas, jaki towarzyszył pożegnaniu matki, świadczył więc o tym, że była kochana...

- Dlaczego wszyscy są ubrani na białe? - dopytywała się Magdalena. - W Niemczech, gdy ktoś umrze, ludzie ubierają się na czarno.

Rzeczywiście, moja nowopoznana siostra z Niemiec była jedyną kobietą w ciemnej odzieży. Miała na sobie szary sweter i dopasowaną do niego spódnicę o kroju modnym w jej ojczyźnie. Wszystkie kobiety wokół niej były ubrane na białe.

- Biel to kolor zmartwychwstania - odpowiedziałam tak, jakby to było oczywiste.



- Zmartwychwstania? - powtórzyła Magdalena zamyślając się. - Prawdę mówiąc, to mi się podoba. Bardziej niż nasz czarny.

W tym momencie, przy dźwiękach wielkiego bębna, trzy kobiety zaczęły śpiewać starą pieśń, pochodzącą ze wschodnich terenów naszego dużego kraju. Inne śmiały się i chichotały jak młode dziewczyny. Gdy śpiew dobiegł końca, Magdalena spytała o treść. Wyjaśniłam, że była to pieśń o wielkiej potencji pewnego mężczyzny, który miał wiele żon.

Moja siostra rozejrzała się krytycznym wzrokiem.

- Czy to tu jest ten słynny harem?

- To jest miejsce, w którym się urodziłam - odparłam. - Chętnie cię oprowadzę, jeśli chcesz.

Zadowolona skinęła głową. Zostawiłyśmy więc jej walizki przed domem, w którym były pokoje mojej matki, i wyruszyłyśmy na spacer po licznych, połączonych ze sobą podwórzach, otoczonych wieloma różnej wielkości budynkami. Dwanaście z nich pełniło funkcję domów mieszkalnych, w których żyły żony ojca. Niektóre były całkiem nowoczesne, kilkupiętrowe, zbudowane z kamienia. Do takich zaliczał się też dom dla dzieci, w którym spędziłam swoje dzieciństwo i wiele miesięcy jako nastolatka.

Magdalenę zainteresowały szczególnie stare domy, pomalowane na biało. Były one oparte na średniowiecznej konstrukcji z drewnianych ram wypełnionych gliną. Wyjaśniłam mojej zdziwionej siostrze, że pomimo iż domy te trzeba co roku odnawiać, mają one dla nas szczególne znaczenie, ponieważ wzniosły je pierwsze żony ojca. Tu są prawdziwe korzenie haremu.

- Nie uwierzysz - opowiadałam mojemu gościowi - ale to w nich jest najprzytulniej i, w przeciwieństwie do nowych budynków, nie potrzebują klimatyzacji. Obecnie mieszkają tu najstarsze żony mojego ojca, mama Patty i mama Felicitas.

- Bardzo chciałabym je obie poznać - powiedziała Magdalena, rozglądając się niecierpliwie.

- Dalej znajduje się duży dom wspólnoty, w którym co niedziela odbywa się spotkanie całej Rodziny, a także kuchnia. Są też inne zabudowania gospodarcze, budki na narzędzia, sprzęty oraz garaże na samochody - pokazywałam dalej. - Mój ojciec był właścicielem wielu aut. Duże samochody oznaczają wysoki status społeczny. Musisz wiedzieć, że tu w Nigerii luksusowe przedmioty, do których należą również złote zegarki i droga męska biżuteria, są niezwykle ważne.

- Aha, a dlaczego? - dopytywała się moja siostra.

- Po prostu - odparłam - jeśli kogoś stać na zbytki to znaczy, że czuwa nad nim Bóg. Tak myślą tu zwykli ludzie.

Tego wieczora - gdy ciepłe powietrze na podwórkach wypełnione było słodkimi zapachami damskich perfum i kwiatów, a zewsząd słychać było znajome głosy, wymieniające się najnowszymi informacjami - właśnie tego wieczora poczułam się w haremie jak za dawnych czasów. Jak za czasów mojego dzieciństwa. Święto pożegnania mojej matki przywołało na chwilę atmosferę najlepszych lat haremu. Myślę, że jej dusza dobrze czuła się w naszym gronie. Było po prostu tak, jak lubiła.

Spacerując obeszlśmy z Magdaleną harem wokół i wróciłyśmy do domu mojego dzieciństwa, gdzie spędziłam pierwsze lata życia. Przy walizkach czekały na nas dwie ubrane na biało kobiety. Jedna była niska i pulchna, druga - wysoka i chuda. Pierwsza, moja ulubiona mama Bisi, uściskała gościa z serdecznością, którą tak u niej lubię. Nie sięgała nawet do ramion mojej olbrzymiej niemieckiej siostrze. Mama Ada poszła za przykładem swej przyjaciółki i współżony, jednak jej ruchy zawsze były nieco „kanciaste”. Łagodniały jedynie w towarzystwie prawdziwych przyjaciół. Miłość i zrozumienie, którymi mama Ada się kieruje, w pierwszej chwili nie są wyczuwalne. Nie mówi ona dużo, ale niezwykle celnie dobiera słowa.

Gdy wzruszona mama Bisi ocierała sobie załzawione oczy i nie mogła się wysłowić, Ada odezwała się swoją twardą angielszczyzną:

- Jesteś dokładną kopią swojej matki. Wyglądasz tak jak ona, kiedy tu przybyła.

- Lisa nie nosiła okularów i miała trochę dłuższe włosy - poprawiła ją mama Bisi. - Ale masz rację Ado, ona jest w podobnym wieku - zamyślona pokiwała głową. - Dziwne. Matka odchodzi, córka przychodzi. Tak przecież powinno być - Bisi wytarła głośno nos. - Czy Choga dała ci coś do jedzenia? Jesteś taka szczupła. Jak matka.

- Lisa, kiedy tu przyjechała, nie była wcale taka chuda. Schudła dopiero później. - Tym razem Ada poprawiła swoją współżonę.

- Ona zawsze była zapracowana. Wszędzie jej było pełno - opowiadała mama Bisi. - Choga, przynieś siostrze coś do jedzenia!

Posłusznie ruszyłam się z miejsca, wtedy Magdalena zawołała:

- Zostań proszę, nie jestem głodna! Ale chętnie bym chwilkę odpoczęła.

- Biedna - mama Bisi zawsze troszczyła się o każdego.

- Choga, musisz dać jej trochę spokoju.

Mama Ada, która w przeciwieństwie do mamy Bisi żyła i pracowała w owym czasie w haremie, powiedziała tylko:

- Pościeliłam wam łóżka.

Zaprowadziłam siostrę do mieszkania matki, gdzie miała nocować. Rozglądała się zdziwiona. A ja przyłapałam się na tym, że próbuję patrzeć na te dwa małe pokoiki oczyma Magdaleny. Matka nigdy nie miała dużo rzeczy osobistych. Wąska sofa - na której tak często obie siadałyśmy, gdy matka opowiadała mi różne historie - była mocno zniszczona. Żeby nie było widać jak bardzo jest wytarta, matka ozdabiała ją kapami. Na kredensie stała rzeźba Madonny i miska do mycia. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający Alpy, o których matka tyle mi opowiadała.

- Inaczej to sobie wyobrażałam - odezwała się Magdalena po długiej chwili. - Tu wcale nie czuć, że się jest w haremie.

- Każda z żon mogła urządzić sama swoje pokoje i przywieźć tu rzeczy osobiste - objaśniłam. - Takie było życzenie ojca.

- To na pewno pomogło matce przezwyciężyć tęsknotę za domem - wtrąciła Magdalena. - Często opowiadała o Niemczech?

- Czasami. Lubiła zimę w Bawarii, śnieg oraz różnicę pomiędzy porami roku, której tu nie czuje się tak wyraźnie.

- Zimą lubiła ze mną jeździć na nartach - wspominała Magdalena. - Była wtedy jakaś inna. Dużo się śmiała.

- Ale, o ile pamiętam, to nie zdarzało się często. To było tak dawno. Lepiej pamiętam dzieciństwo swojej córki niż własne - dodała po chwili namysłu.

- Moja matka rzadko się śmiała - powiedziałam, po czym szybko się poprawiłam. - To znaczy, nasza matka.

- Może masz rację - podchwyciła Magdalena. - W pewnym sensie miałyśmy dwie różne matki.

Podeszła do okna i uchyliła jego dolną część. Patrzyła w milczeniu słuchając muzyki. Potem odwróciła się w moją stronę.

- Myślisz, że jej życie inaczej by się potoczyło, gdybym wtedy przyjechała do Afryki? - zapytała.

- A dlaczego nie przyjechałaś? Ona tego nie chciała?

- Nie, ja. Kiedy moi rodzice wyjeżdżali do Lagos, miałam szesnaście lat. Do matury chciałam zostać w przyklasztornym internacie nad jeziorem Chiemsee, do którego wówczas poszłam - wyjaśniła Magdalena.

- Żałowałaś tego? Byłaś tam przecież całkiem sama.

- Pisaliśmy do siebie. Na początku. Przez pierwsze tygodnie - moja siostra odparła wymijająco.

W sypialni, na nocnej szafce matki stało moje zdjęcie ze chrztu, obok niego zdjęcie Magdaleny w wianku z rumianków. Siostra wzięła je do ręki i powoli usiadła na łóżku, przyglądając się sobie sprzed lat. Ile razy wierciłam matce dziurę w brzuchu, żeby opowiedziała mi o tej dziewczynce, którą tak bardzo chciałam poznać. Czasem stawała się smutna, ponieważ na niektóre pytania nie знаła odpowiedzi. Nie wiedziała bowiem co robi, co myśli i czuje jej starsza córka.

- Mama bardzo za tobą tęskniła - powiedziałam Magdalenie. - Powtarzała często: „Już nie pamiętam, jakie są w dotyku włosy Magdaleny.”

- Mnie też jej brakowało. Ale nie dopuszczałam do siebie tego uczucia. Wmówiłam sobie, że moim rodzicom i tak nie zależy, żebym była z nimi w Afryce. A potem... - Magdalena przerwała, wpatrując się w łóżko przygotowane przez mamę Adę. - Znam tę pościel! Spałam w niej. Niesamowite, że ona jeszcze się trzyma.

- Mama była bardzo oszczędna. Zawsze miała porządek w swoich rzeczach.

- Porządek. Tak, to się zgadza. Dlatego nikt nie mógł pojąć tego, co zaszło między nią a twoim ojcem. To do niej w ogóle nie pasowało.

W głosie Magdaleny wyczułam nutę, której wolałabym nie słyszeć. Mój ojciec odebrał jej matkę. Mój ojciec? A może i ja też? Przecież wraz z moim narodzeniem pojawił się ktoś pomiędzy nimi dwiema. Bardzo byłam ciekawa, czy Magdalena uważa, że to ja uniemożliwiłam matce powrót do Niemiec.

Moja siostra spojrzała na łóżko.

- A twój ojciec sypiał w tym drugim łóżku?

- Nie, nigdy. Kiedy matka chciała się z nim widzieć, szła do jego domu.

- I nigdy tu nie przychodził? - dopytywała się zdziwiona Magdalena.

Dziwne, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ale rzeczywiście, ojciec nie pojawiał się u nas. Czego miałby tu szukać? Tutaj było królestwo mamy. Tato miał własny dom na obrzeżach compound, największy i najnowocześniejszy ze wszystkich, z oddzielnym wejściem od ulicy. Dzięki temu mógł swobodnie przyjmować gości bez wiedzy reszty haremu.

- Matka pisała, że twój ojciec zmarł dawno temu - odezwała się Magdalena. - Dlaczego więc harem jeszcze istnieje?

- Ponieważ matka tak chciała. Walczyła o to, aby żony mogły pozostać w swoim domu - odpowiedziałam.

- A ona nigdy nie chciała stąd odejść? - nie uszło mojej uwadze niedowierzenie w głosie Magdaleny. - Nie mogła? Może nie pozwolono jej opuścić tego miejsca?

Jakie wyobrażenie miała moja niemiecka siostra o afrykańskim haremie?

- Wszystkie żony żyły tu, i żyją nadal, z własnej woli - powiedziałam. - Jesteśmy wielką rodziną!

Wyjaśniłam Magdalenie, jak bardzo wszyscy kochaliśmy compound. Przede wszystkim dlatego, że przez dziesiątki lat była to oaza pokoju. Wszelkie ludzkie troski zostawały za bramą. A tu można było bez obaw śmiać się, bawić, snuć różne opowieści. Być z innymi i dla innych. Zarówno ja jak i inni przeżyliśmy tu wiele lat szczęśliwego dzieciństwa, którego nic nie mąciło. Zawsze myślałam, że wszystkie rodziny są tak liczne jak nasza. Czasami zbierała się nas prawie setka. Byłam też przekonana, że każde dziecko, podobnie jak ja, posiada dwadzieścia matek. To znaczy kobiet, do których może się tak zwracać. I każda musi być dla każdego z dzieci jak prawdziwa mama.

To było dawno i od tego czasu zdążyłam się zorientować, że świat wygląda inaczej. Ojciec stworzył nam prawdziwy raj, którego czar niknął po drugiej stronie muru. Niczym szklany kielich, który spadł na ziemię i rozprysł się na wszystkie strony. Jak te kolorowe szkiełka, zdobiące wierzchołek naszych murów. Spojrzałam na nie kiedyś, gdy błyszczały w słońcu. Miałam wrażenie, że to tysiące malutkich gwiazd, które spadły z nieba, aby chronić mnie i moje siostry.

Wiele lat temu matka wyjaśniła mi, po co umieszczono na murze tyle kawałków potłuczonego szkła. Nigdy nie czułam potrzeby wspinania się na ogrodzenie, żeby zobaczyć jak wygląda świat po jego drugiej stronie. Takich pomysłów nie miały też moje towarzyski zabaw. Nasz świat był tu - po tej stronie. Wtedy w zupełności mi wystarczał.

W tym momencie nie wspomniałam nic siostrze o tym, że pewnego dnia przyszło mi spojrzeć na harem zupełnie innymi oczami. To był dopiero nasz pierwszy wspólny wieczór.

Ktoś zapukał do drzwi. Mama Ada wsunęła głowę do pokoju.

- Zobaczyłam z okna, że u was jeszcze się świeci - powiedziała. - Przyszłam spytać, czy chciałybyście po raz ostatni zobaczyć matkę?

Po śmierci matka wróciła tam, gdzie zaczęło się jej życie w haremie - do domu mojego ojca. Pokój, w którym przed laty umarł, został specjalnie przerobiony, żeby ułatwić mu funkcjonowanie w ostatnim okresie choroby. Teraz w tym pokoju leżała mama. Surowa cisza, która zupełnie nie pasowała do serdecznej atmosfery na zewnątrz, dosłownie zmroziła moje serce.

Zmarła wyglądała tak, jakby przed chwilą zasnęła. Mama Felicitas i mama Patty zadały sobie naprawdę wiele trudu, abyśmy mogły zapamiętać naszą matkę jako dostojną, choć skromną kobietę. Owinięta w białe płótno, tak że było widać tylko jej twarz, z makijażem, który miała zabrać ze sobą na wieki, sprawiała wrażenie nieobecnej - obcej. Moja siostra podeszła w milczeniu do otwartej trumny, u wezglowia której paliły się dwie fioletowe świece. Widać było, jak napina mięśnie twarzy. Przez ćwierć wieku nie stała tak blisko swojej matki.

- Czy mam zostawić was same? - spytałam.

Kiwnęła głową, więc wyszłam z pokoju. Po jakimś czasie dołączyła do mnie. Twarz miała zapłakaną.

- Myślę, że mi wybaczyła - powiedziała.

- Co miałyby ci wybaczyć? - zapytałam.

- To, że ją odrzuciłam. Przez te wszystkie lata. Ilekroć przyjeżdżała do Niemiec, zawsze usuwałam się jej z drogi. Nigdy nie dałam jej szansy wyjaśnienia mi, dlaczego wybrała życie tutaj, w Nigerii. Byłam taką egoistką, myślałam wyłącznie o tym, co straciłam.

- A matka nigdy nie pytała, czy nie chcesz przyjechać do Afryki?

Z rozmyślań wyrwał nas widok kobiet, które rozpoczęły taniec w rytm bębna. Wreszcie Magdalena odpowiedziała na moje pytanie:

- Pytała. Tak mi się przynajmniej wydaje. Później jednak kontakt urwał się na wiele lat - Magdalena wzięła mnie za rękę. - Co ty właściwie wiesz o życiu mamy, zanim wyszła za twojego ojca i urodziła ciebie?

- Niezbyt często o tym wspominała.

- Chcesz, żebym ja ci opowiedziała? Potem ty opowiesz mi, co było dalej.

Z radością kiwnęłam głową i ruszyłyśmy na górę do pokoju matki. Minęła północ, ale żadna z nas nie myślała o pójściu spać.

- Mama tu jest - odezwałam się. - Wyraźnie czuję jej obecność.

- Ja też - odpowiedziała Magdalena. - Mogę zacząć?

\*\*\*

## **Z Bawarii do Afryki.**

- Niemieckie nazwisko naszej matki brzmi Hofmayer. Przyszła na świat w 1933 roku w Bawarii, w niewielkim gospodarstwie między Rosenheim a Traunstein. Gdy pierwszy raz znalazła się w Afryce, był to zarazem jej pierwszy wyjazd poza Bawarię. Miała wtedy czterdzieści jeden lat i od szesnastu była żoną Brunona, swojej pierwszej i dotychczas jedynej

miłości. Prawie nie znała angielskiego - tu moja siostra spojrzała na mnie. - Wiesz, że mówisz po niemiecku z lekko bawarskim akcentem, Choga?

Nie rozumiałam, o co jej chodzi.

- Rzadko rozmawiałam po niemiecku z kimś innym niż matka - odparłam.

- Właśnie o to miałam na myśli - powiedziała Magdalena. - Przejęłaś od matki jej bawarski akcent. W Bawarii sądzono by, że się tam wychowałam. Chociaż nigdy tam nie byłaś. To niesamowite! - Magdalena zrobiła przerwę. - Patrząc dziś na mamę zauważyłam, że nosiła tę samą biżuterię co kiedyś - miała na myśli prosty, srebrny krzyż pięciocentymetrowej długości oraz srebrny wisiołek z podobizną świętego Krzysztofa.

- Krzyż dostała na chrzcie, a medalion dał jej ojciec, zanim wyruszył na front - powiedziałam.

Matka opowiedziała mi kiedyś historię obu wisiorków, z którymi nigdy się nie rozstawała. Ustaliliśmy z Magdaleną, że powinnyśmy się nimi podzielić.

- Twoi niemieccy dziadkowie nazywali się Maria i Sepp Brunner. Mieli gospodarstwo na wsi. Nasz dziadek w 1944 roku zgłosił się na ochotnika na front. Zginął, gdy mama miała dwanaście lat. Babka prowadziła gospodarstwo razem z bratem mamy, Xaverem, starszym od Lisy o osiem lat. Mama chodziła wtedy jeszcze do szkoły. To była szkoła gospodarstwa wiejskiego. Po jej skończeniu wróciła do pracy w rodzinnym gospodarstwie Brunnerhof. Hodowano tam nie tylko krowy i świnie. Była tam również spora ferma drobiu, którą zajmowała się głównie matka. Na żyznych polach uprawiano kukurydzę i zboże. Babka Maria odsuwała na dalszy plan swoje własne potrzeby i nigdy nie miała jakichś zachcianek, choć była zamożna. Ale takie rzeczy nigdy jej nie interesowały. Po prostu pracowała, a co niedziela chodziła do kościoła, nakarmiwszy przedtem bydło. Mama też była bardzo wierząca - powiedziała Magdalena.

- Oczywiście. Mnie też tak wychowała. Jestem jej za to bardzo wdzięczna. Pomogło mi to w trudnych chwilach - odparłam.

- Gdy mama miała dwadzieścia dwa lata, jej życie uległo zmianie. Xaver ożenił się. Jego żona, Johanna, była trzy lata starsza od mamy, ale jakoś nie mogły się dogadać. Ciotka Johanna była osobą dość władczą. Ja też wołałam raczej schodzić jej z drogi. Dwa lata po ślubie Xawera babka dostała wylewu. Wtedy Johanna przejęła ostatecznie dowodzenie gospodarstwem. Wujek był poczciwym człowiekiem. Harował od świtu do nocy. Jednak mężczyzną w domu była bezsprzecznie Johanna. Mama czuła się tam zawalidrogą. Tak przynajmniej opowiadała. Dlatego cieszyła się z zalotów Brunona, jednego z przyjaciół Xavera. Bruno stanowił w ówczesnych czasach idealną partię. Z zawodu był piwowarem.

Pobrali się w 1958 roku. W tym samym roku ja przyszedłam na świat. Dwa lata później przenieśliśmy się do Monachium, gdzie ojcu zaproponowano pracę w jednym z browarów - ciągnęła Magdalena, a ja chłonełam każde jej słowo.

- Przypominam sobie, jak matka opowiadała, że niezbyt chętnie przeprowadziła się do miasta - wtrąciłam. - Mówiła, że jej żywiołem była praca na wsi. Nie lubiła również głośnego i śmierdzącego Lagos. Zawsze lepiej czuła się w haremie niż na zewnątrz.

- Wyobrażam sobie. - Magdalena uśmiechnęła się filuternie. - Ach, zapomniałam o czymś ważnym. Konflikt między matką a jej szwagierką zaostrzał się, aż na krótko przed ślubem z tatą ciocia Johanna i wujek Xaver pokazali mojej matce drzwi.

- Do dziś nie mogę tego zrozumieć. Matka była dla mnie zawsze osobą unikającą jakichkolwiek konfliktów - wpadłam Magdalenie w słowo.

- Być może. W każdym razie to nieporozumienie pomiędzy obojgiem rodzeństwa przerodziło się po śmierci babci w gorzką wrogość. Punktem zapalnym był ślub naszej matki z twoim ojcem - ciągnęła Magdalena.

Zaskoczona spojrzałam na siostrę. Nigdy nie myślałam o tej historii w taki sposób. Chciałam jednak jak najwięcej dowiedzieć się o wcześniejszym życiu matki.

- A jak żyło się wam w Monachium? - spytałam podniecona.

- Mama szybko znalazła tam pracę. Do browaru, w którym pracował mój ojciec, należało kilka lokali. Gdy pewnego dnia zaproponowano mamie prowadzenie jednego z nich, od razu się zgodziła.

- Tak, wiem. Mama często opowiadała, jaka była wtedy szczęśliwa. Ale musiało jej być dość ciężko. W końcu ty byłaś jeszcze całkiem mała, prawda?

- Zgadza się - potwierdziła Magdalena. - Rodzice nie narzekali na nadmiar czasu. Wakacji też nie mieliśmy. Mimo że tata od dziecka pragnął podróżować do obcych krajów, mama nie chciała zostawić gospody w obcych rękach.

- Ach, tak. Mnie matka opowiadała, że przyczyną była Johanna. Mama bała się, że ciocia kolejny raz zburzy to, co udało się jej zbudować - przedstawiłam swoją wersję zdarzeń.

- To może być prawda - zastanowiła się Magdalena. - Wreszcie jednak matka zostawiła swoją gospodę. To było chyba w 1972 roku. Browar poszukiwał kogoś, kto założyłby filię w Ameryce Południowej. Tata od razu się do tego pomysłu zapalił i szybko przekonał do niego mamę. Wtedy jeszcze ja też chciałam z nimi jechać. Ale właśnie w tym czasie babcia Maria dostała drugiego bardzo poważnego wylewu, który sparaliżował jej połowę ciała. Ciocia Johanna twierdziła, że nie jest w stanie opiekować się babcią, gdyż w



międzyczasie Brunnerhof stało się największym gospodarstwem w okolicy. Poza tym wujek i ciocia mieli troje dzieci. Matka czuła się w obowiązku wziąć babcię do nas, do Monachium.

- To dlatego twój tata wyruszył do Ameryki Południowej sam - tego nie wiedziałam. - Mama wspominała tylko, że twój ojciec miał za granicą romans, i kiedy przyjeżdżał w odwiedziny do Monachium, wydawał jej się obcy.

- Na pewno nie było jej lekko. Jednak po śmierci babci było z nią jeszcze gorzej - wspominała siostra. - Cierpiała na ciężkie stany lękowe. Tata w końcu wypowiedział pracę w Ameryce i wrócił do Monachium. Pod jego nieobecność matka bardzo się zmieniła. Wcześniej nie była najszczuplejsza, ale podwójny stres - rozłąka z ojcem i opieka nad babcią - sprawił, że bardzo schudła. Przy stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu ważyła zaledwie pięćdziesiąt dwa kilogramy.

- O, tak. Zawsze była szczupła. Ale opowiadaj co było dalej - niecierpliwiłam się.

- Pod koniec 1974 roku tata dowiedział się o możliwości stworzenia czegoś w rodzaju browaru szkoleniowego w Afryce. Do tej chwili moi rodzice nic nie słyszeli o kraju zwanym Nigeria - kontynuowała opowieść Magdalena. - W owym czasie byli tak zajęci sobą, że być może dlatego nie zadali sobie zbyt wiele trudu, aby namówić mnie do wyjazdu z nimi. A może po prostu nie wiedzieli co ich tam czeka. Ja tutaj miałam szkołę. Bardzo dobrze się uczyłam. A w Lagos? O ile pamiętam, nie umiano nam nawet powiedzieć, czy jest tam niemiecka szkoła. Dla mnie było więc oczywiste, że zostaję w internacie. No, w każdym razie między Świątami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem rodzice wsiedli na pokład samolotu i odlecieli do Lagos. Kiedy matka przybyła do Nigerii, nie miała pojęcia o tym kraju, ani nawet nie mówiła po angielsku. Ale najgorsze było dla niej to, że czuła się zupełnie niepotrzebna. Tak jej się przynajmniej wydawało. Znasz mamę, zawsze lubiła wszystko zrobić sama. Poza tym, żyła zgodnie z Biblią i odpoczywała tylko siódmego dnia tygodnia. Nagle znalazła się w całkiem nowej sytuacji. Tata dostał do dyspozycji bardzo duży i nowoczesny dom, w którym służba wyręczała matkę na każdym kroku. Kiedy tylko próbowała się włączyć w organizację prac domowych, zawsze dochodziło do nieporozumień. Czuła się coraz bardziej odsuwana. Tata miał podpisaną umowę na trzy lata. Lokal w Monachium przejął ktoś inny, nie miała zatem perspektyw na jakieś zmiany.

Magdalena spojrzała na mnie zmęczona, ale ja prosiłam, by kontynuowała. I tak nie byłoby mowy o spaniu.

- Mimo że tata chciał swoją żonę uszczęśliwić, sytuacja stawała się coraz gorsza - ciągnęła. - Mama całymi dniami leżała w łóżku i nie ruszała się. Wtedy w jej życiu pojawiła się ta uzdrowicielka.

- Amara - powiedziałam z uśmiechem. - Zajmowała się wówczas kształceniem personelu do pracy w domach bogatych białych, którzy mieszkali w Lagos. Jedna z dziewcząt opowiedziała jej o mamie i Amara postanowiła obejrzeć tę smutną panią z Niemiec. Jakoś udało się jej nawiązać kontakt z mamą. Potem dała jej lekarstwo własnoręcznie przygotowane z różnych afrykańskich ziół. Po kilku tygodniach uczucie przygnębienia ustąpiło i matka znów zaczęła interesować się otoczeniem. Amara skontaktowała ją z kobietą, która zaczęła uczyć mamę angielskiego. Jednak sprawy przybrały inny obrót niż oczekiwała Amara - zachichotałam.

- Jak to? Co się stało? - przestraszyła się Magdalena.

- Gdy tylko mama potrafiła jako tako się dogadać, wzięła się za wychowanie służących. Biedaczki, wszystko robiły źle. Amara, zamiast się obrazić, wpadła na genialny pomysł, żeby mama zajęła się kształceniem dziewcząt. Matka rozkwitła i...

- Dokładnie - tu wtrąciła się Magdalena. - Ojciec opowiedział mi o tym. Bardzo się cieszył, że wreszcie zaczęło jej się tu podobać. Całkiem dobrze im się wtedy żyło, w domu często byli goście.

- Na jednym z takich spotkań mama poznała mojego tatę. Powiedziała mi później, że mój ojciec, David Umukoro, miał królewski wygląd. Jednocześnie był dobrym słuchaczem i skromnym człowiekiem, który nie przechwalał się swoją pracą. Poza tym uwagę mamy przykuło jego łagodne spojrzenie - ożyły we mnie wspomnienia zwierzeń mamy.

- Tak, wiem - przypominała sobie Magdalena. - Wydał się sympatyczny nie tylko mamie. Zrobił wrażenie również na tacie, który chętnie opowiadał mu o swojej pracy.

- Mój ojciec miał wielki dar zbliżania ludzi. Doskonale wyczuwał, czego potrzebują i kto mógłby być im pomocny. Znał wielu ludzi. Wydaje mi się nawet, że załatwił twojemu ojcu jakiegoś doradcę, potrzebnego do budowy browaru. Mam rację? - spojrzałam pytająco na siostrę.

- Tak, tak. Ojciec David był częstym gościem moich rodziców - przytaknęła. - Często rozmawiali z mamą o rolnictwie. Wtedy musiał po raz pierwszy zaprosić ją na swoją farmę. Tata opowiadał, że wróciła z tej wycieczki zachwycona. Urzekła ją brązowoczerwona lśniąca ziemia. Potem twój ojciec zaproponował jej zarządzanie tą farmą. Ciekawe dlaczego?

- Mogę ci to wyjaśnić - zaproponowałam. - W latach siedemdziesiątych nagle bogactwo dosłownie zalało Nigerię. Dzięki ropie poprawiła się sytuacja materialna mieszkańców. Wtedy rząd, wyposażony w duże środki finansowe, rozpoczął program Feed the nation, z którego mój kraj korzysta do dziś. Wychodząc z założenia, że trzeba ludziom zapewnić żywność również na przyszłość, rząd odsprzedawał inwestorom ziemię na

gospodarstwa. Szczególnie od cudzoziemców oczekiwano, że włączą się do programu. Pod tym względem nie było nic dziwnego w tym, że mój ojciec prosił naszą mamę o pomoc - zakończyłam wyjaśnienia.

- Teraz rozumiem - powiedziała Magdalena. - Dla mamy propozycja ta miała same zalety. Mogła wrócić do swoich wiejskich korzeni. Poza tym twój ojciec dał jej nowe zadanie, dzięki któremu szybko zapomniała o przebytej depresji. Matka była wreszcie sobą.

- Rzucając się w wir pracy nawet nie zauważyła, że coraz rzadziej widuje twojego ojca. A i on zdawał się tego nie dostrzegać. Co prawda miał w tym czasie dużo roboty, co mama zawsze podkreślała.

- Tak, tak właśnie widział to mój tata - Magdalena znów doszła do głosu. - Uważał też, że nie należy tak ślepo ufać twojemu przyszłemu ojcu, jak to czyniła mama. Oczywiście nigdy nie wyrażał się o nim tak nieprzychylnie jak moja ciotka i wujek. Z jego wypowiedzi można było jednak wywnioskować, że David Umukoro polował na ludzi, a tym razem upatrzył sobie mamę. Przede wszystkim na jedno pytanie ojciec nie mógł znaleźć odpowiedzi: dlaczego David zalecał się do mężatki? Miał już przecież wystarczająco dużo własnych żon!

- To nie jest takie proste - wtrąciłam. - Podczas budowy tej pierwszej farmy, pomiędzy moimi rodzicami jeszcze do niczego nie doszło. Sama mówiłaś, że matka była bardzo religijna. Z pewnością dochowała wierności twojemu ojcu. Sądziś, że było inaczej?

- Nie, myślę że tak właśnie było. W każdym razie ojciec nie mówił nigdy nic innego. Twierdził, że nałożyło się na siebie kilka spraw. Co dokładnie, tego nigdy nie wyjaśniał. Przynajmniej nie mnie - potwierdziła Magdalena.

- Jeśli chcesz, opowiem ci historię moich rodziców, którą ja znam - zaproponowałam siostrze.

- Chętnie bym ją poznała, żeby wreszcie zrozumieć, jak to możliwe, że kobieta z Bawarii zakochała się w mężczyźnie mającym harem - usłyszałam odpowiedź i poczułam na sobie zaciekawione spojrzenie siostry.

\*\*\*

## **Trzydziesta trzecia żona ojca.**

Historia moich rodziców rzeczywiście nie zaczęła się od razu. Wiele rzeczy złożyło się na to, że matka w końcu zakochała się w ojcu.

- Nie byłam już beztroską młodą dziewczyną - mówiła moja mama, gdy po raz kolejny prosiłam, żeby opowiedziała mi jak to się zaczęło. - Byłam czterdziestojednoletnią kobietą. Mój lekarz w Niemczech powiedział mi, że niedługo będę przechodzić klimakterium. Gdy

opuszczałam Niemcy, myślałam, że swoje najlepsze lata jako kobieta mam już za sobą. Był to na pewno istotny powód mojej depresji.

Aż tu nagle pojawił się ojciec David! Czarujący człowiek, charyzmatyczny, jak twierdziło wielu ludzi. Miał w sobie urok, któremu nie dało się oprzeć. No i działał na kobiety. Matka z początku się wzbraniała, ale on zrozumiał to jako zachętę do zalotów. Czy wyszedł z założenia, że to ona się w nim zakochała? Nie mam pojęcia. Ale często przyglądałam się moim rodzicom i jestem przekonana, że się oboje nawzajem szukali, i że się znaleźli. Pasowali do siebie pod wieloma względami. Poza tym wierzę w siłę sprawczą losu. Oboje byli sobie po prostu przeznaczeni.

Nie bez znaczenia były też inne kwestie: na przykład to, jak żył ojciec David. Krótco po tym, jak oboje rozpoczęli współpracę przy budowie farmy, zaprosił matkę do swojego domu.

- To była niedziela rano. Nigdy nie zapomnę tego dnia - opowiadała mi mama. - Ojciec David przysłał po mnie jedną ze swoich wypolerowanych limuzyn. Szofer zawiózł mnie do compound, gdzie on już na mnie czekał. Dosłownie mnie zatkało, gdy zobaczyłam, jak żyje. Olbrzymi teren z wieloma zabudowaniami, bogactwo widoczne na każdym kroku i opanowanie Davida, gdy stał pośród tylu ludzi. Jeszcze większe wrażenie zrobiła na mnie serdeczność, z jaką przyjęły mnie tamtejsze kobiety. Wszyscy ludzie, otaczający ojca Davida, byli mili w niewymuszony naturalny sposób. Promieniowała od nich niewiarygodnie pozytywna energia. Z początku nie miałam pojęcia, że te wszystkie kobiety to jego żony. Nawet nie przemknęłoby mi to przez myśl. Zaraz po moim przybyciu weszliśmy wszyscy do dużego budynku, a kobiety zaczęły śpiewać. Było niesamowicie głośno i miło. Tańczono i klaskano przez cały wieczór. Tak wyglądała dla mnie radość życia. A ja tak bardzo za nią tęskniłam! Po tych wszystkich smutnych latach w Niemczech wreszcie ją znalazłam. Nagle ojciec David zaczął przemawiać. Mój angielski nie był wówczas zbyt dobry, nie od razu więc do mnie dotarło, że to kazanie! Dopiero w tym momencie zrozumiałam, że biorę udział w afrykańskiej mszy. Ceremonia całkowicie różniła się od tej, jaką znałam z Niemiec.

Wkrótce matka przyjeżdżała co niedziela, a przez resztę tygodnia wyczekiwała tego spotkania. Robiła niesamowite postępy w nauce obcego języka. Niebawem mogła dokładnie zrozumieć treść kazań ojca.

- Podobało mi się to, co mówił - tłumaczyła. - Nauczał o wzajemnym szacunku, współdziałaniu i o równości wszystkich ludzi. Nie słyszałam ani jednego zdania, którego bym nie pochwalą. A po mszy rozdzielał jedzenie pomiędzy dzieci z ubogich rodzin. Zdążyłam

już poznać biedę w Lagos. Teraz zobaczyłam kogoś, kto chce pomagać, kto dzieli się z biedniejszymi od siebie.

W dodatku okazało się, że mama bardzo szybko znalazła wspólny język z innymi kobietami. Niektóre, jak na przykład mama Patty i mama Felicitas, były w jej wieku. Wciągnęły cudzoziemkę do swojego życia. Matka uwielbiała wszelkie prace ręczne i majsterkowanie. Kobiety pokazały jej, czym się na co dzień zajmują, a zachwycona matka chętnie się tego uczyła. Ona zaś pokazywała im rzeczy, których nie umiały. W ten sposób zawiązały się więzy towarzyskie, nie tylko ze względu na ojca.

- Wreszcie musiałam przyznać, że do domu Davida ciągnęło mnie nie tylko z powodu towarzystwa i serdeczności jakie tam panowały, ale również ze względu na tutejsze harmonijne wspólne życie. Stało się ono moim własnym. Bo co takiego czekało na mnie w moim domu? Pustka i samotność. Zrozumiałam wreszcie, że zakochałam się w człowieku, który stworzył to wszystko - swój własny mały świat - tak odpowiadała matka, wciąż pytana przeze mnie, kiedy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że kocha ojca.

W ciągu kilku miesięcy mama całkowicie się zmieniła i zaczęła ubierać się w długie białe suknie, jakie nosiły żony ojca. Jeszcze po wielu latach przekonywała mnie z błyskiem w oczach:

- Tak było o wiele wygodniej, niż w wąskich niemieckich sukienkach, które zawsze krępowały mi ruchy. W jednej chwili poczułam symboliczne wyzwolenie spod ucisku, jakiemu poddawałam się przez lata. Dotyczy to również miłości, jaką darzyłam twojego ojca. Nagle poczułam się o wieki młodsza. Byłam mu za to wdzięczna. Przywrócił mi nie tylko wiarę i radość życia, ale także młodość. Tak samo czułam się, gdy byłam z tobą w ciąży. Jakbym otrzymała prezent, nieoczekiwany, wspaniały, bezcenny.

Ojciec Magdaleny chciał uznać mnie za swoje dziecko, jednak matka nie chciała o tym słyszeć.

- Kochałam ojca Davida i chciałam, żebyś dorastała jako jego córka - tłumaczyła mi po latach. Poza tym on sam koniecznie chciał wziąć za nas obie odpowiedzialność i ożenić się z mamą.

Matka twierdziła, że dopiero wtedy zaczęła powoli rozumieć, na czym polegało życie ojca. Z dumą w głosie opowiadała:

- Zostałam przedstawiona wszystkim jego żonom. Większości z nich już znałam, ale gdy dowiedziałam się, że zostanę jego trzydziestą trzecią żoną, poczułam się nieswojo. Wszystkie trzydzieści dwie żony musiały wyrazić zgodę na ślub, żeby potem nie było kłótni. Pod tym względem ojciec David postąpił bardzo sprytnie. Przywiózł mnie do compound, gdy

jeszcze nie byliśmy parą. Jego najważniejsze żony - Felicitas i Patty, z których zdaniem się liczył - polubiły mnie. Gdyby już na początku zorientował się, że mnie nie zaakceptowały, prawdopodobnie nie byłoby cię na świecie, Choga Regina. Myślę, że ojciec zakończyłby ten związek, zanim sprawy zaszłyby za daleko.

W późniejszych latach sama widziałam, jak tata w ten sam delikatny sposób wprowadzał do życia w haremie kolejne żony. Uważam, że był dzięki temu w porządku wobec innych. Oczywiście zakładając, że poligamia jest w ogóle w porządku.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że pierwszy mąż mamy mógł się poczuć wykorzystany i oszukany przez ojca Davida. Bruno twierdził, że mój ojciec wszystko zaplanował. Gdy ojciec David po raz pierwszy zaprosił mamę do swojego compound, ojciec Magdaleny wiedział już, że rywal ma wobec niej jakieś plany. Matka powiedziała mi kiedyś, że poprosił o rozwiązanie swojego kontraktu i wrócił do gospodarstwa Brunnerhof. Zmarł pięć lat później, w wieku pięćdziesięciu czterech lat. Zdążył się jeszcze raz z nią spotkać. Podobno jej wybaczył.

Mama była w piątym miesiącu ciąży, gdy według nigeryjskiego prawa poślubiła Davida Umukoro. To była huczna ceremonia, w której brała udział cała olbrzymia Rodzina, czyli wszyscy mieszkańcy haremu. Wtedy jeszcze nie było dzisiejszego domu wspólnoty, a stary okazał się za mały. Dlatego ślub odbył się pod gołym niebem, co zresztą mamie bardziej się podobało. To był ostatni ślub na świeżym powietrzu. Wesele trwało do rana.

Przeżyłam w haremie wiele ślubów, zarówno mojego ojca, jak i przyrodniego rodzeństwa, mogę sobie więc wyobrazić, jak cudowna musiała być to uroczystość. Już na kilka dni wcześniej zaczęto dekorować compound. Przygotowywano specjalne potrawy, a wszystkie żony poświęcały mnóstwo czasu na zabiegi upiększające. Chór, składający się z dziewcząt i kobiet, ćwiczył nowe pieśni. W całym haremie panowała atmosfera radosnego oczekiwania na to wielkie towarzyskie wydarzenie. Zaproszono oczywiście rodzinę narzeczonej, ale ze strony mamy nikt nie przyjechał. Jedynie Amara, która stała się przyjaciółką i powierniczką mamy, towarzyszyła jej w tym dniu.

Jeszcze wiele lat później Amara chętnie wracała wspomnieniami do tej chwili.

- Niecały rok wcześniej, gdy poznałam twoją matkę, była smutna i zgorzkniała - powiedziała pewnego dnia. - Teraz stała u boku tego dostojnego mężczyzny, promieniejąc niczym królowa. Jej oczy lśniły szczęściem tak samo jak oczy młodych dziewcząt, które dopiero co wkroczyły w dorosłe życie. Na głowie miała biały welon, udekorowany kolorowymi kwiatami, na ramionach zaś chustę przetykaną złotymi nićmi. Gdy patrzyłam na twoich rodziców tańczących razem, przeszłość wydała mi się tak odległa.

Przyjaźnie zawarte jeszcze przed ślubem były teraz dla mamy dużym wsparciem. Patty i Felicitas pomogły jej w urządzaniu pokoi. Mama była jedyną Europejką w haremie. Inne żony z ciekawością słuchały jej opowieści o dalekim obcym świecie. Prawie żadna z nich nie widziała nic poza compound oraz własnym domem rodzinnym. Matka lubiła zainteresowanie jakie jej okazywały i z radością rozpieszczała współżony swoją kuchnią. W końcu przez tyle lat prowadziła gospodę. A w haremie lubiano dobrze zjeść! Poza tym wiele z moich przyrodnicich siostr musiało się przygotowywać do roli żony i matki. Wiedza mojej mamy, dotycząca prowadzenia gospodarstwa domowego, była więc bardzo cenna.

Rodzina mamy odcięła się od niej, gdyż w Niemczech nie akceptuje się wielożeństwa. Ale ja na własne oczy mogłam się przekonać, że mama czuła się w haremie doskonale. Nie było tu miejsca na samotność. Zawsze można było liczyć na wzajemną pomoc i zrozumienie. Z biegiem lat musiałam się niestety nauczyć, że nie wszędzie tak jest. Ale o tym później. Harem, w którym przyszedłam na świat, stanowił prawdziwą wspólnotę, co było zasługą mojego ojca oraz w dużej mierze jego obu pierwszych żon - Patty i Felicitas.

Ojciec David dbał oto, aby każda z jego queens - jego „królowych”, jak zwykł nazywać swoje żony - była traktowana na równi z innymi. Dotyczyło to zarówno czasu, który z nimi spędzał, jak i spraw materialnych - pieniędzy na mieszkanie i garderobę. Regularnie odwiedzały harem przeróżne handlarki, oferujące środki do upiększania ciała, tkaniny na suknie oraz biżuterię.

Co prawda wolno nam było nosić ubrania tylko w jednym kolorze - białym. Ale możliwe były wszystkie rodzaje tkanin, od jedwabiu, przez bawełnę, aż po drogie koronki. Poza tym biel ma przecież wiele odcieni. Może wpadać w kolor kości słoniowej, w delikatny kolor różowy lub w łagodny żółty. Wszystko jednak w granicach bieli. To była niepisana zasada, której nikt nie mógł złamać. Takie ubranie miało według ojca dać nam poczucie, że nasze ziemskie życie jest swoistym przygotowaniem do życia wiecznego.

Wszystkie queens miały do dyspozycji jednakową ilość pieniędzy na kupno ubrań lub innych drobiazgów. Niektórym udawało się namówić handlarki, zawsze zadowolone z dodatkowego interesu, do sprzedania czegoś, czego nie miały pozostałe żony. Kobietami powodowała zazwyczaj próżność, ale nie tylko. Na przykład dzięki nowemu, oryginalnemu zapachowi mogły zdystansować rywalki ubiegające się o względy ojca.

Myślę, że w haremie, jak rzadko gdzie, można przekonać się jak dużą rolę odgrywa zapach. Ojciec miał nadzwyczaj wrażliwy węch. Uwiedzenie go niezwykle perfumami i zaburzenie tym samym kolejności wizyt, ustalonej przez mamę Patty, było dla niektórych

kobiet wręcz dyscypliną sportową. Zapachy odróżniały żony od siebie. To zapach, a nie strój, podkreślał indywidualność każdej z kobiet.

Ojciec, który nie skąpił swoich względów, chwalił nowy zapach, a wyróżniona kobieta stawała się faworytą. Na szczęście nie zdarzało się to często, zwłaszcza że mama Patty nie zwalniała swego męża z ponoszenia konsekwencji tak impulsywnego postępowania. Faworyta musiała bowiem liczyć się z niepohamowaną złością tych queens, których kolej właśnie wypadała. Później scenariusz był zazwyczaj ten sam: ojciec wycofywał się i okazywał zainteresowanie innej queen niż ta, która się dla niego wyperfumowała. Nie muszę dodawać, że odrzucona musiała dodatkowo znosić szyderstwa innych żon.

Mama Patty była regentką „królowych”. Do jej zadań należało sprawiedliwe ustalanie kolejności spotkań żon z mężem. Biorąc pod uwagę ich liczbę, nie było to łatwe zadanie! Trzeba było pamiętać o przestrzeganiu okresów karmienia (po urodzeniu chłopca wynosił on dwa lata, a dziewczynki - rok) lub o dniach płodnych, w których daną żonę doprowadzano do męża obmytą przez współżony i odświętnie ubraną. Ważne były również dni nieczyste, w które ojciec pod żadnym pozorem nie mógł się z daną żoną spotykać.

Czasami któraś z kobiet miała na przykład podbite oko - efekt kłótni z inną współżoną. Jeśli obie nie mogły się dogadać, przychodziły do mamy Patty, aby to ona rozstrzygnęła, kto ma rację. Patty powoływała wówczas „trybunał”, składający się z niej samej (jako pierwsza żona miała największe uprawnienia) oraz dwóch innych żon.

Wśród queens zawiązywały się małe grupy, a każda z nich pragnęła mieć swoją przedstawicielkę w „trybunale”, żeby w ten sposób zwiększyć swoje wpływy. Ponieważ mama potrafiła prawie ze wszystkimi się porozumieć, już w trzecim roku jej pobytu w haremie została wybrana do „sądu”. Dzięki temu, że była Europejką i nie najmłodszą już kobietą, trzeźwo patrzyła na większość problemów, czym zdobyła sobie uznanie innych kobiet. Cieszyła się też zaufaniem ojca, który radził się jej w wielu sprawach.

Tylko jedna z żon była od samego początku wrogo do mamy nastawiona. Miała na imię Idu. Ojciec poślubił ją zaledwie kilka tygodni wcześniej. Idu przybyła z północy Nigerii, była wysoka i smukła. Gdy wychodziła za ojca, miała dwadzieścia jeden lat, czyli o połowę mniej niż moja mama. Była dumna ze swoich korzeni, gdyż pochodziła z zamożnej rodziny, a jej ojciec nosił tytuł sułtana i był głową dużego klanu. O ile wiem, tata poślubił ją niejako na życzenie jej własnego ojca. Fakt, że mąż zaledwie kilka tygodni po ich ślubie ponownie się ożenił, do głębi uraził dumę Idu. Jeszcze większym poniżeniem było dla niej to, że moja matka urodziła dziecko, zanim Idu zaszła w ciążę.



Brak własnego dziecka oraz szczęście mamy, spotęgowane dodatkowo moimi narodzinami, spowodowały, że Idu zaczęła spiskować przeciw niej. Ponieważ ojciec spotykał się z matką nie tylko z powodów małżeńskich, ale też często się jej radził, Idu zaczęła przedstawiać ją innym żonom jako niebezpieczną czarownicę. Mama Patty znalazła jednak rozwiązanie. Przez jakiś czas dopuszczała do ojca wyłącznie Idu. Kiedy ta zaszła wreszcie w ciążę, w haremie znów zapanował spokój.

\*\*\*

## **Wpływowy człowiek.**

Mój ojciec nie był jedynym Nigeryjczykiem żyjącym w poligamii. Jednak większość mężczyzn w moim kraju ma „tylko” dwie żony. Jest to uzależnione od religii, pozycji społecznej i oczywiście od zasobności portfela. Ojciec David był bogatym człowiekiem. A przede wszystkim był przekonany o tym, że ma do spełnienia misję. Wyzaczył sobie niezwykle cel: obudzić w ludziach zaufanie i wiarę w siebie, które pomogą im żyć pełnią szczęścia. Drogą do spełnienia tego celu miała być Family OfThe Black Jesus, czyli Rodzina Czarnego Jezusa, w skrócie: Rodzina. Jego żony - dlatego musiało być ich tak wiele - rodziły mu dzieci, które potem miały zakładać własne Rodziny i szerzyć w świecie nauki ojca Davida.

Zadanie to spadło przede wszystkim na synów. Na przykład najstarszy z nich, Mojżesz, miał w dniu moich narodzin dwadzieścia cztery lata. Ojciec wysłał go na północ kraju, na tereny muzułmańskie, aby tam założył Rodzinę. W 1976 roku, gdy przyszedłem na świat, miał już troje dzieci. Dziś jest ich około dwadzieścioro. Wszyscy biorą czynny udział w szerzeniu wiary w Chrystusa takiej, jak ją interpretował ojciec. Najstarsi potomkowie Mojżesza założą z pewnością kolejne Rodziny...

Działalność misyjna ojca wzięła początek ze szkoły misjonarzy w Calabar, mieście w południowowschodniej Nigerii. Mały David - dziecko ubogich, ale prostolinijnych chrześcijan - nauczył się tam czytać, pisać i rachować. Otrzymał wychowanie w wierze Chrystusa. Dla białych księży oczywiste było, że Syn Boży jest biały. Pewnego dnia mój ojciec zadał sobie pytanie, czy Jezus nie mógł mieć takiego samego koloru skóry jak on, jego koledzy ze szkoły misyjnej i jego rodzice. Niektórzy uczniowie zainteresowali się tą kwestią. Jednak ojcowie - którzy wówczas, w latach czterdziestych, wychowywali tego dziesięcioletka - nie podzielali jego zdania. David został usunięty ze szkoły, co przez resztę życia uważał za niesprawiedliwość. Często opowiadał o tym zdarzeniu, gdyż miało ono decydujące znaczenie dla całego jego późniejszego życia.

Rodzice posłali swojego krnąbrnego syna do wujka Emanuela, brata matki, który mieszkał w oddalonym o tysiąc kilometrów Lagos. W domu wujka żyło, oprócz jego sześciuosobowej rodziny, wielu bliższych i dalszych krewnych. Tu mały dziwak David zaczął pracę od najniższego stanowiska, jako boy - służący. Ojciec zawsze podkreślał, że dzięki Bogu za to, że był najmniejszy ze wszystkich, gdyż dzięki temu nauczył się być silnym.

Wujek Emanuel był wierzącym chrześcijaninem, ale okazał się bardzo surowym wychowawcą. Dlatego ojciec szybko zarzucił rozmowy na temat ciemnoskórego Chrystusa. Rozmowy - tak, ale myśli - nie. Nauczył się bowiem, że pochopnie wypowiedziane słowo może pociągnąć za sobą utratę dachu nad głową.

W czasie, gdy ojciec przybył do Lagos - dziś liczącego około dziesięciu milionów mieszkańców - nie było to zbyt duże miasto. Większość ludzi żyła w biedzie. Jeśli wierzący mieszkańcy biednych osiedli chcieli uczestniczyć we mszy świętej, sami musieli budować sobie kościoły. Były to zazwyczaj proste chaty z jednym krzyżem i lichymi ławkami (jeśli w ogóle jakieś były), oraz z prostym ołtarzem. Jednak dawały one schronienie i poczucie wspólnoty wszystkim zgromadzonym w nich wiernym, którzy tak jak rodzina wujka, przybyli z o wiele uboższych terenów Nigerii, by znaleźć pracę w Lagos. Bóg był dla chrześcijan wsparciem, pocieszeniem w ciężkich chwilach i nadzieją na to, że pewnego dnia znajdą się w raju.

Wujek Emanuel zbudował kościół z gliny, drewna i blachy. W budynku tym była tylko jedna zniszczona Biblia. W zupełności wystarczała, gdyż i tak prawie nikt nie umiał czytać. Nikt, oprócz mojego ojca! Tego akurat zdążył nauczyć się przez cztery lata pobytu w szkole misyjnej w rodzinnym mieście. Wuj od razu to zauważył. Ponieważ do kościołów takich jak ten nie przydzielano pastora, wierni sami przejmowali jego rolę. Kazania wygłaszał przede wszystkim wujek Emanuel, który miał łatwość przemawiania. Mój ojciec zaś, niespełna dwunastoletni chłopiec, czytał na głos Biblię. On, skromny służący, co niedziela skupiał na sobie uwagę wszystkich. Mały David miał dostęp do Prawdy - do Słowa Bożego.

Coraz częściej przychodzili do niego starsi mężczyźni, prosząc o pomoc, gdy potrzebowali coś przeczytać lub napisać. Umiejętność ta, połączona z jego chęcią niesienia pomocy, sprawiła, że ojciec szybko stał się ważną osobą w tej ubogiej okolicy. Wiedział, czego ludzie potrzebują. Zarówno jeśli chodziło o skryte miłosne marzenia, poszukiwanie pracy, czy też o najpilniejsze codzienne potrzeby - przede wszystkim o jedzenie.

Nie wiadomo kiedy ojciec zakochał się w córce swojego wuja - Patricji, późniejszej mamie Patty! Gdy urodziła Mojżesza miała około osiemnastu lat, a ojciec David około szesnastu. (Dokładnie nie wiadomo, bo w Nigerii przyjscie na świat dziecka zgłasza się

zazwyczaj z opóźnieniem lub w ogóle, jak to było w moim przypadku.) Wujek zarządził, że po ślubie oboje młodzi będą nadal mieszkać u niego. Wtedy ojciec popełnił błąd. Sprawił bowiem, że jedna z sióstr Patty, Felicitas, również zaszła w ciążę. Wujek znów nalegał na ślub. W ten sposób mój siedemnastoletni ojciec miał już dwie żony i troje dzieci, samych synów. Wyrzucając ojca ze swojego domu wujek postawił go przed koniecznością zapewnienia bytu swojej sześciuosobowej rodzinie. A nie było to łatwe w ubogim osiedlu domów z blachy.

W owym czasie jeździł po Nigerii pewien Afroamerykanin z Nowego Jorku, którego przodkowie pochodzili właśnie z Lagos. Ojciec wierzył, że poznanie tego mężczyzny właśnie wtedy było zrzędzeniem Boga. Opowiedział obcemu, że jego zdaniem Jezus nie był biały. Po raz pierwszy w swoim życiu poczuł, że nie jest odosobniony w swych poglądach.

Ojciec David pożyczył od mężczyzny skromną sumę na urządzenie własnego domu bożego. Postawił go na swojej ziemi tuż przed chatą, w której mieszkał wraz z obiema żonami i dziećmi. Wokół kościoła kręciły się kury, świnia i stado kóz kopiących w ubogiej ziemi. Były to czasy, w których Nigeria właśnie uwolniła się spod władzy kolonialnej Anglii. Nigeryjczycy nie byli już ludźmi drugiej kategorii ze względu na swój kolor skóry. A czarny Jezus był taki jak oni.

Człowiek z Nowego Jorku opowiedział ojcu, że w jego mieście wspólnoty finansują się z regularnych wpłat wiernych. Na budowę i utrzymanie domów bożych oddają oni nawet po dwadzieścia procent swoich dochodów. Ojciec David - bo tak zaczęto go nazywać, mimo że skończył dopiero dwadzieścia lat - przejął ten system. Jednak on poprosił swoich współwiernych jedynie o pięć procent dochodów. Przypuszczam, że zbierał w ten sposób minimalne sumy, gdyż w tym czasie prawie nikt nie zarabiał.

Rodzina istniała już od ponad roku, gdy pewnej niedzieli na spotkanie wspólnoty przyszła młoda kobieta o imieniu Yemi. Od urodzenia cierpiała na paraliż obu nóg. Członkowie rodziny musieli ją przynieść. Mama Patty, która była obecna na tamtej mszy, opowiadała nam często, że nikt nie widział jak to się stało, ale podczas śpiewania pieśni ktoś z tłumu nagle zauważył, że Yemi dołączyła do tańczących kobiet.

Od następnej niedzieli kościół wypełniony był po brzegi. Natomiast ci, dla których zabrakło miejsca, tłoczyli się na wąskich ścieżkach w sąsiedztwie. Z tygodnia na tydzień przychodziło coraz więcej ludzi. Przyprawdzali ze sobą chorych, chcąc na własne oczy zobaczyć jak ojciec David ich uzdrawia. Z własnej woli wierni dawali często więcej pieniędzy niż powinni. Dzięki temu wkrótce ojciec mógł kupić większy kawałek ziemi pod budowę nowego kościoła, który pomieściłby wszystkich wiernych. Sława ojca oraz jego

nauka o czarnym Jezusie Chrystusie szybko się rozprzestrzeniały. Niczym dojrzałe nasiona drzew roznoszone przez letni wiatr.

Od wuja Emanuela ojciec przejął głęboko chrześcijańską tradycję rozdawania jedzenia dzieciom najuboższych mieszkańców. Miało to miejsce po każdej niedzielnej mszy. Nie śmiem twierdzić, że to darmowy posiłek przyciągał wiele osób do kościoła, ale na pewno nie zaszkodził. Wiele dzieci zjadało wtedy prawdziwy obiad, na który nie mogli sobie pozwolić ich rodzice.

Pytałam mamę, co sądzi o cudzie, jakiego przed trzydziestu pięciu laty doświadczyła Yemi.

- Być może wcale nie była chora fizycznie, może po prostu bała się wstać. A kiedy zobaczyła wokół siebie tylu tańczących i szczęśliwych ludzi, zrobiła to samo co oni. Zapomniała o swoim strachu.

Myszę, że to jest prawdziwy cud, jakiego dokonał mój ojciec. Potrafił sprawić, przynajmniej dopóki sam miał jeszcze siły, że ludzie których znał, przestawali się bać. Gdy w Rodzinach opowiada się jego historię, padają często takie słowa: „Człowiek musi sam być przekonany o swojej sile, żeby Bóg pomógł mu dokonać czegoś wielkiego”. Ta myśl daje siłę wielu ludziom.

Mój ojciec nie był typowym tatą, któremu można było wdrapać się na kolana i położyć głowę na ramieniu. On był dla wszystkich, co znaczy: dla nikogo osobiście. Jego życie było w pewnym sensie za „wielkie” w porównaniu z naszymi codziennymi problemami. Ale, szczerze mówiąc, rzadko odczuwałam brak jego ojcowskiej miłości. Po prostu jej nie znałam.

\*\*\*

## **Moje matki.**

Przyszłam na świat pięć miesięcy po tym, jak moja matka zamieszkała w haremie. Mówiła, że wybrałam sobie chyba najgorętszy dzień w roku. Ona sama miała już czterdzieści trzy lata, a od pierwszego porodu minęło osiemnaście. Przez pół dnia, wraz z innymi kobietami, malowała ściany nowego domu wspólnoty. Aż do momentu rozwiązania ciąży nie miały taryfy ulgowej, pracowały jak reszta kobiet. Mama zdążyła się już zadomowić w haremie i nie zamierzała być wyjątkiem. Nawet gdy poczuła pierwsze bóle, nie przerwała pracy. Zaciśnęła tylko zęby. Gdy odeszły jej wody płodowe, dała się zaprowadzić przez dwie współżony do swojego pokoju.

Przeprowadzając się z Monachium do Lagos matka zabrała ze sobą podwójne dębowe łóżko, które mogłoby się przydać w razie odwiedzin. Na tym łóżku spała w haremie. Na nim się urodziłam. Nie było lekarza. Mama Felicitas, sama matka sześciorga dzieci, od lat trudniła się akuszerką, której nauczyła ją pewna kobieta z północy Nigerii. Do tej pory zawsze świetnie sobie radziła, ale ze mną nie było łatwo. Nie miałam zamiaru wyjść z brzucha.

Wspomnienia z porodu wciąż żyły w pamięci mamy. Jeszcze wiele lat później opowiadała z przejęciem:

- To trwało wieczność! Najpierw usiadłam w kucki na podłodze obok łóżka, później położyłam się na nim. Felicitas wciąż masowała mi brzuch. Potem znów kucanie. Myślałam, że zwariuję z bólu, a tu nic!

Dziś już wiem, dlaczego poród przebiegał tak ciężko. Odwróciłam się plecami i utknęłam na dobre.

Komplikacje prawdopodobnie przerosły umiejętności mamy Felicitas. Po wielogodzinnym oczekiwaniu złapała mnie w końcu za jedną nogę i wyciągnęła. Nie było to zbyt delikatne, ale jak wspomina mama, nie krzyczałam. W ustach i górnych drogach oddechowych zgromadziły się wody płodowe i śluz. Mama Felicitas zakręciła mną w powietrzu, aż usłyszała pierwszy krzyk. Niefachowo przeprowadzony poród - muszę to powiedzieć, mimo całej mojej miłości do mamy Felicitas - pozostawił trwałe ślady w ciele matki. Miała wiele wewnętrznych rozdarć, które nie zostały zszyte. Blizny przez wiele lat sprawiały jej ból.

U mnie konsekwencje ciężkiego porodu zauważono dopiero po upływie lat. Nie potrafiłam raczkować, a chodzić zaczęłam bardzo późno, bo gdy skończyłam dwa lata. Z początku nikt nawet nie zauważył, że utykam. Potem było już za późno. Mam zdeformowane biodro, co jest według mamy konsekwencją ciężkiego porodu i gwałtownego wyciągnięcia mnie na świat. Gdyby nie to kalectwo, moje późniejsze życie inaczej by się potoczyło. Ale nie ma sensu kogokolwiek o to obwiniać. Mogę się jedynie cieszyć, że nie skończyło się gorzej. To tyle na ten temat.

Drugą akuszerką, która towarzyszyła mamie, była mama Bisi, nieco młodsza od Felicitas, czwarta żona ojca. Oprócz mojej matki jest to najukochańszy człowiek jakiego znam. Bisi jest niska i okrągła, choć mój ojciec żenił się raczej z wysokimi kobietami. Pochodzi z ludu Yoruba, zamieszkującego okolice Lagos. Mimo iż jest chrześcijanką, posiada wiedzę tajemną i zna wiele czarów, których nauczyła się od swojej babki. Ojciec w ogóle nie wierzył w takie rzeczy. (Cud uzdrowienia Yemi, który przyciągnął tylu nowych wiernych do jego kościoła, nie był mu na rękę, gdyż nie chciał uchodzić za kapłana voodoo.) Gdy ktoś

zwracał się do Bisi ze „szczególną sprawą”, musiał to robić po kryjomu. Miała ona również dar przywracania do życia zwiędłych kwiatów. (Przysięgała, że to zasługa rozmów z kwiatem podczas pełni księżyca!)

Na miękkim ramieniu Bisi zawsze można się wyplakać. Ona sama nigdy nie bierze udziału w żadnych kłótniach. Woli raczej leczyć po nich rany na duszy. Cokolwiek by się nie zdarzyło, Bisi we wszystkim widzi pozytywną stronę. Często się śmieje, co nie znaczy, że z byle czego. Promieniuje od niej radość życia, którą zaraża wszystkich dookoła. Jest dla mnie kimś więcej niż zaufaną, dającą wsparcie przyjaciółką. Jest moją drugą matką - moją mamą Bisi.

Dobrze się więc stało, że to właśnie ona pomagała matce i Felicitas przy porodzie. Gdy przyszłam na świat Bisi podobno wykrzyknęła:

- To będzie śliczne dziecko!

Bardzo miło się zachowała zważywszy na fakt, że byłam cała pomarszczona i owłosiona, a skórę miałam białą jak ser, całą w czerwonych i sinych plamkach. Po porodzie mama nie miała siły się mną zajmować. Mama Bisi opiekowała się nami obiema i wzmacniała nas w tych pierwszych, ciężkich dniach swoimi ziołami.

Ojciec miał zwyczaj dokładnego oglądania swojego nowego dziecka w dzień po narodzinach. Jednak ceremonia nadania imienia odbywała się dopiero po czternastu dniach, gdy ryzyko wczesnej śmierci niemowlęcia było mniejsze. Musiał być bardzo zaskoczony moim wyglądem, gdyż nie dość, że wbrew swojemu zwyczajowi, od razu nadał mi imię, to w dodatku brzmi ono dość przekornie: „Stworzył mnie Bóg.” (Takie jest prawdziwe znaczenie mojego imienia w języku ludu, z którego pochodzi ojciec.) Brzmi to tak, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nie mam nic wspólnego z jej wyglądem!” Właśnie ja, wraz z trojgiem innych dzieci, zostałam jako pierwsza ochrzczona w nowym domu wspólnoty. Moimi chrzestnymi były właśnie mama Bisi i mama Ada.

Ada bardzo różni się od Bisi, już choćby samym wyglądem. Jest olbrzymia i ma wielkie szorstkie dłonie. Ada lubi ciężką pracę. Brała udział przy budowie niektórych domów na terenie haremu. Moja druga matka chrzestna nie mówi wiele, ale chętnie słucha opowieści innych. W którymś momencie wypowiada jedno zdanie, jedno jedyne, które wyraża to samo, co tysiąc słów innych ludzi. Kto nie potrafi poczekać, aż Ada się odezwie, temu wydaje się nierozgarnięta. Całkiem niesłusznie. Sądzę jednak, że jest jej wszystko jedno co inni o niej myślą. Ada pochodzi z bardzo ubogich terenów na północy Nigerii. Jej rodzina wciąż przemieszczała się wraz ze zwierzętami w poszukiwaniu pastwisk. Być może to nauczyło ją, że w życiu trzeba umieć cierpliwie czekać, aż wszystko jakoś się ułoży.

Jako dziecko byłam przekonana, że mała, okrągła Bisi jest młoda, a Ada - stara. Później odkryłam, że jest dokładnie na odwrót. Ojciec ożenił się z Adą cztery lata przed ślubem z mamą. Była jego dwudziestą ósmą żoną. Dziś ma około pięćdziesięciu lat.

Ale wracając do mnie. Optymizm Bisi okazał się uzasadniony. Z owłosionego i bladego niemowlaka wyrosłam na ślicznego maluszka. Musiałam tylko często walczyć z nadwagą. W haremie gotowało się i spożywało ogromne ilości jedzenia, a nie była to kuchnia szczególnie dietetyczna. Queens prześcigały się w wymyślaniu smakowitych potraw. Do moich ulubionych należały: rosół ze słodkich ziemniaków yam z pieczonymi bananami, ananas ze słodkim mleczkiem z puszki, świeżo prażone orzeszki ziemne i słodki biały chleb. Do dziś uwielbiam pić ovomaltinę - napój z wody, mleczka w puszcze i dużej ilości cukru - choć ostatnio musiałam ją ograniczyć.

Dzięki troskliwej pielęgnacji Bisi w naszym ogródku rosły drzewa owocowe. Dojrzałe owoce miały cudowny smak. Zresztą nie tylko one. Podjadałam przez cały dzień, co było po mnie widać. Byłam okrągłutka, turlałam się po ziemi i wszyscy chętnie mnie łaskotali, ponieważ piszczałam wesoło i miałam ładny głos. Zamiast zadbać o to, żebym miała dużo ruchu, moje matki lub siostry ciągle mnie nosiły.

Być może ze względu na mój odmienny wygląd byłam maskotką haremu. Moja skóra miała jaśniejszy kolor, a włosy nie były sztywne, lecz delikatnie kręcone. Na głowie miałam wciąż nowe fryzury. Pleciono mi warkoczki i ozdabiano je kolorowymi perełkami. Wiele kobiet lubiło mnie upiększać, a ja znosiłam wszystko spokojnie. Sprawiało mi to nawet przyjemność.

Jedyną mamą, która widziała we mnie coś więcej niż tylko laleczkę, była Ada. Gdy miałam mniej więcej dwa lata, jej jedyne dziecko zmarło na zapalenie płuc w wieku sześciu lat. Jako matka chrzestna czuła się więc podwójnie zobowiązana do tego, aby otoczyć mnie szczególną troską. To ona jako pierwsza odkryła mój problem z nogą. Jedna noga była krótsza i słabsza niż druga, ponieważ miała mniej rozwinięte mięśnie. Ada często robiła ze mną ćwiczenia i dbała o to, co jem, żebym nie była za gruba. Niestety w ten sposób nie dało się wyleczyć mojego chorego biodra. Ale dzięki pomocy Ady odkryłam, że moje nogi mogą służyć do biegania.

Ze swoich pierwszych lat w haremie mam same dobre wspomnienia. Mój dziecięcy świat to kolorowe szklane paciorki, które nawlekałam na nitkę, kawałki drewna, przemieniane w lalki i skrawki tkanin, z których powstawały ubranka. Kapsle i otwieracze z puszek przydawały się w grach towarzyskich. Bawiąc się z innymi dziewczynkami, naśladowałyśmy wszelkie zabiegi upiększające, jakim poddawały się queens. Malowałyśmy się używając

czzerwonej gliny rozrobionej z wodą. Kreda służyła nam za szminkę lub puder. Po kryjomu używałyśmy też perfum naszych matek, chcąc pachnieć tak samo uwodzicielsko jak one.

Dorastałam wśród wielu dzieci. Najbardziej lubiłam bawić się z Efe i jej siostrą Jem - najmłodszymi córkami mamy Bisi. Efe była starsza ode mnie o dwa - a Jem o cztery lata. Mieszkanie mojej matki znajdowało się w tym samym dwupiętrowym budynku co mieszkania Ady i Bisi. Oba piętra połączone były stromymi zewnętrznymi schodami - idealnym miejscem zabaw. U góry przymocowałyśmy linę, która służyła nam do wspinania i bujania. Pokonywałyśmy lęk wysokości skacząc ze schodów, odgrywałyśmy też historię Roszponki. (Matka przetłumaczyła niektóre niemieckie baśnie i czytała je wszystkim dzieciom.) Jem, najstarsza z nas, chciała zawsze grać rolę biednej, zamkniętej Roszponki. Efe była księciem. Dla mnie pozostawała jedynie rola złej wiedźmy.

Z górnego podestu schodów mogłyśmy wyrzeć ponad wysokie mury otaczające harem. Był to więc nasz punkt widokowy łączący nas z sąsiadami - przynajmniej w wyobraźni. Jedną z naszych sąsiadek była Niemka, która mieszkała całkiem sama w ogromnym domu. Ponieważ nie miała rodziny, wyobrażałyśmy sobie, że jest czarownicą, która w baśni o Roszponce wykrada dzieci rodzicom.

Często jako pierwsze wiedziałyśmy kiedy do haremu wprowadzała się nowa żona ojca. Im bardziej znaczącą rolę odgrywał, tym bogatsze wydawały się kobiety, które poślubiał. Szczególnie mocno utkwilo mi w pamięci wprowadzenie się do haremu pani ubranej w złotą suknię. Jej rzeczy przyjechały dwoma samochodami. Jednak i ta queen musiała szybko przystosować się do naszych wewnętrznych zasad dotyczących stroju.

Pomijając różne święta, nasz rytm dnia w haremie był raczej monotony. Pobudka o wschodzie słońca, mycie w miskach, potem wspólna modlitwa i śniadanie z matkami na dziedzińcu każdego domu. Później następował podział pracy. Jedna grupa sprzątała dom, inna gotowała, jeszcze inna pracowała w ogrodzie. Co tydzień grupy zamieniały się zadaniami, a przydziałem zajmowała się mama Felicitas odpowiedzialna za sprawy organizacyjne.

Przed południem starsze dzieci szły na lekcje, które odbywały się w domu wspólnoty. Młodsze bawiły się lub pomagały matkom pracującym w domu lub ogrodzie. Około godziny jedenastej, po skromnym obiedzie, który składał się zazwyczaj tylko z rosółu lub miski ryżu, następowała poobiednia cisza. Można było położyć się spać albo posłuchać, jak starsi czytają lub opowiadają. Po południu, koło czwartej, harem znów ożywał. Pito herbatę i jedzono smażone potrawy. Potem starsze dzieci znów miały lekcje lub musiały odrobić zadania domowe, młodsze zaś bawiły się razem. Dzień kończył się wspólną modlitwą i kolacją około ósmej. O dziewiątej, wpół do dziesiątej harem znów zapadał w sen.



Każdy tydzień upływał według tego samego planu. W sobotę była wspólna, gruntowna kąpiel, podczas której żony pomagały sobie nawzajem. Nie lubiłam cotygodniowego tarcia ciała twardą szczotką, dzięki czemu nasza skóra miała stać się bardziej miękka. Mama za każdym razem szorowała mi skórę tak mocno, jakby chciała zetrzeć z niej brud z minionego tygodnia i ten, którego jeszcze nie było. Wreszcie przychodziła kolej na smarowanie oliwką i masaż. Lubiałam sobotnie wieczory i niedziele, gdy w świeżo upranych białych sukniach szliśmy do domu wspólnoty. Była to zazwyczaj jedyna okazja, żeby zobaczyć ojca. Stał przed nami w błyszczących jasnych szatach, mówił do swoich żon i dzieci, snuł opowieści.

Ojciec David miał niski głos. Bardzo lubiałam go słuchać. Mówił zazwyczaj dość długo. Często nie rozumiałam co opowiada, ale brzmienie jego głosu działało kojąco. Małe dzieci często zasypiały. Budziły się dopiero wtedy, gdy zaczynało się klaskanie, śpiew i tańce. W tej części cotygodniowego spotkania dzieci najchętniej brały udział.

Na niedzielnej mszy można było zobaczyć obce twarze. Wierni wchodzili do domu wspólnoty tylnym wejściem, do którego my się nie zbliżaliśmy. Byli to ludzie, którzy mieszkali w sąsiedztwie haremu, ale na mszę ubierali się podobnie jak my - na biało. Nazywaliśmy ich z szacunkiem „naszymi gośćmi”. Byli wśród nich mężczyźni, ale nigdy żaden z nich nie spróbował nawet spojrzeć na którąś z queens. I tak by się to nie udało, gdyż twarze kobiet przykrywały białe zasłony. Rozdawaniem jedzenia dzieciom zajmowały się wyłącznie najstarsze żony ojca, ale przygotowywał je cały harem.

Ponieważ ojciec David sam miał możliwość ukończenia jedynie czterech klas szkoły podstawowej, bardzo dbał o wykształcenie swoich dzieci. Gdy jego synowie mieli sześć lat, wysyłał ich do internatów rozsianych po całym kraju. W ten sposób zapewniał im solidne wykształcenie. Wielu z moich przyrodnych braci skończyło studia lub poszło do wojska. Niektórzy dziś piastują stanowiska polityczne. Dziewczętom nie wolno było opuszczać haremu, dlatego miałyśmy lekcje w domu wspólnoty. Co dzień rano musiałyśmy ubierać się w szkolny mundur, składający się z białej spódniczki do kolan, białej bluzki z długim rękawem i białej chustki, sztywno zawiązywanej na głowie. Na szczęście mogliśmy chodzić bosy, by z pokorą stąpać po ziemi, z której wyszliśmy i do której powrócimy, gdy nadejdzie nasz czas.

Prywatna szkoła w domu wspólnoty była całkiem sensownym rozwiązaniem, gdyż było nas - dziewcząt, zawsze dość dużo - czasami nawet ponad trzydzieści. Lekcje miałyśmy wspólne. Mama Nita była wykształconą, bardzo surową nauczycielką, dzięki czemu udawało jej się utrzymać nas w ryzach. Starsze siostry pomagały nam - młodszym. A od czasu do

czasu część zajęć prowadziła inna mama. Wtedy dzielono nas na grupy. Czasami Bisi uczyła starsze dziewczęta biologii. Moja matka rzadko znajdowała czas, żeby uczyć. Jeśli jej się udało, to wraz z najstarszymi uczennicami, zazwyczaj było ich tylko cztery lub pięć, rozwiązywała zadania matematyczne.

Mama Patty, mająca piękny głos, prowadziła zajęcia muzyczne i uczyła pieśni kościelnych, które wykonywałyśmy w chórze na niedzielnej mszy. Ponieważ jestem całkiem muzykalna, dostawałam od czasu do czasu solowe partie. Uwielbiałam, gdy ojciec patrzył na mnie oczyma błyszczącymi z radości.

Lubiłam chodzić do szkoły pewnie dlatego, że nauka przychodziła mi łatwo. Jem - moja starsza o cztery lata przyjaciółka, nazywana podobnie jak inne dziewczęta siostrą - wcale nie przepadała za nauką. Unikała szkoły, kiedy tylko mogła. Już z samego rana gdzieś się chowała.

- Siostró Jem! Gdzie jesteś? Idź do szkoły! - Szukałam jej po całym compound. W końcu „Do szkoły!” stało się moim przezwiskiem, a ponieważ później sama byłam najpilniejszą uczennicą, przyłgnęła do mnie opinia kujona. W rzeczywistości zaś pilnością chciałam zrekompensować sobie kompleksy z powodu mojej tuszy i kalectwa. Jem - która miała mi za złe, że ją demaskuję - znalazła wreszcie sposób na moją gorliwość. Zaczęła się naśmiewać z mojej nogi, zwracając tym samym na to uwagę swoim rówieśniczkom. Żadna z dwunastolatek nie chodziła już do szkoły. Gdy tylko dziewczyna dostawała pierwszej miesiączki, musiała opuścić dom dla dzieci i przenieść się do „kurnika”. Było to miejsce, w którym przygotowywano ją do roli żony i matki. Zazwyczaj dwa lub trzy lata później wychodziła za mąż.

Dzieci do sześciu lat mogły mieszkać ze swoimi biologicznymi matkami. Jeśli oczywiście dana queen nie urodziła kolejnego maleństwa. Wówczas, aby umożliwić jej pielęgnację niemowlęcia, jej rolę przejmowała inna żona. W ten sposób kobiety nawzajem sobie pomagały. Moja matka nie miała więcej dzieci, dlatego ojciec mógł przydzielać jej ważne zadania poza murami haremu, o czym opowiem później. Na szczęście przy moich ulubionych mamach, Bisi i Adzie, czułam się tak bezpiecznie, że łagodnie znosiłam wszystkie rozstania z moją własną matką.

\*\*\*

## **Wysokie mury.**

Dzieci w haremie bawiły się zazwyczaj z tymi, z którymi dzieliły podwórko. Mimo to znałam imiona również wszystkich innych mieszkańców. Oczywiście mnie też znali wszyscy.

Jeden z domów znajdował się na uboczu a jego podwórko graniczyło z murem. Mieszkanki tego domu raczej stroniły od towarzystwa i trzymały się z boku. Moja mama, mama Ada i mama Bisi nie były zadowolone, gdy z Jem i Efe chodiliśmy się tam się bawić. Wołały unikać niepotrzebnych kłótni, w tym domu bowiem mieszkała mama Idu - ta, którą ojciec poślubił krótko przed moją matką.

Kiedyś, musiałam mieć wówczas jakieś pięć lat, rozeszła się po haremie plotka, że Idu ma jakąś magiczną skrzynię, wyświetlającą ruszające się obrazy. Nikt z nas nie słyszał wcześniej o telewizji, nie miałyśmy nawet radia. Jednak mama Idu posiadała coś takiego. Niektóre kobiety, i wszystkie dzieci z jej domu, chętnie te obrazy oglądały. Zafascynowało nas to urządzenie, z którego mówili do nas obcy mężczyźni i kobiety, przynajmniej na początku. Mnie szybko znudziły duże głowy patrzące takim poważnym wzrokiem. Najczęściej bowiem można było obejrzeć programy edukacyjne, lekcje liczenia i pisanie.

Dlatego nie bardzo mogłam zrozumieć, dlaczego kobiety tak ekscytują się tym, że Idu posiada telewizor. Aż pewnego popołudnia na podwórku tegoż domu pojawił się ojciec. Nigdy wcześniej nie widziałam go w żeńskiej części haremu. Jeśli chciał skontaktować się z którąś z żon, posyłał do niej jedno z biegających wszędzie dzieci.

Ojciec David własnoręcznie odłączył urządzenie od prądu. Wywołał tym niebywale poruszenie. Kobiety krzyczały jedna przez drugą. W swoich białych sukniach, wymachując na oślep rękami, wyglądały jak stado spłoszonych ptaków. A ojciec stał po środku nich. Nie mam pojęcia, czy coś wtedy mówił, ale i tak nikt by go nie usłyszał.

Nagle wziął jedno ze stojących wokół krzeseł i postawił je przy murze. Potem przyniósł telewizor, stanął na krześle i wyrzucił urządzenie poza mury haremu. Najpierw usłyszałyśmy trzask, a potem widać było unoszący się dym. Wszystkie wpatrywałyśmy się w ojca Davida z otwartymi ustami. Tej chwili nigdy nie zapomnę. On, który zawsze był taki spokojny i dystyngowany, gwałtownie i osobiście zainterweniował.

- Słowa Bożego nie znajdziecie w tej skrzynce. To diabeł mówi z niej do was, pokazując wiele swoich twarzy - jego słowa przerwały milczenie.

Mama Idu, mająca wówczas mniej więcej tyle lat ile ja teraz, wysunęła się naprzód. Z hardą miną stanęła naprzeciw ojca. Dwie queens próbowały ją zatrzymać.

- O czym ty mówisz! Nie słuchałyśmy wcale głosu diabła! - powiedziała, dotykając palcem piersi ojca.

Idu odważyła się sprzeciwić ojcu! Zapanowała złowroga cisza. Ojciec David był spokojny.

- Czy twój ojciec nie nauczył cię, że trzeba być posłuszną swojemu mężowi? - spytał.

Przyjaciółki próbowały odciągnąć mamę Idu, która zrobiła coś absolutnie zabronionego. Słowo ojca Davida było niepodważalnym prawem i nikt nie odważył się mu przeciwstawić. Ona nic sobie chyba z tego nie robiła.

- Jestem za młoda, żeby odcinać mnie od świata! - wykrzyczała.

Byłam wtedy za mała, żeby zrozumieć o czym mówi mama Idu. (Później również nie słyszałam, żeby któraś z queens tak źle wypowiadała się o haremie.) Jednak - widząc reakcję innych żon i moich starszych siostr - nie trudno było się zorientować, że Idu popełniła straszliwy błąd. Nikt więcej się nie odezwał.

Ojciec David popatrzył na swoje żony.

- Teraz rozumiecie o czym mówię. Przez Idu przemawia diabeł. Grzeszy nie tylko przeciw swojemu mężowi, ale również przeciwko wspólnotocie. Nie ma dla niej miejsca pośród nas.

Nagle spojrzenie ojca padło na mnie. Moje serce zamarto ze strachu. Byłam pewna, że ojciec chce mnie ukarać, bo i ja słuchałam głosu diabła.

- Choga, biegnij do mamy Patty i mamy Felicitas. Niech tu przyjdą i spakują rzeczy Idu. Jeszcze dzisiaj nas opuszcza - powiedział.

Najszybciej jak tylko mogłam pobiegłam zawiadomić moje najstarsze mamy. Razem z moją mamą zajmowały się właśnie jakąś papierkową robotą. W jednej chwili rzuciły wszystko i pobiegły na miejsce zdarzenia. Chciałam iść z nimi, ale mama mi zabroniła. Nie zobaczyłam więc, jak Idu opuszcza harem. Starsze siostry, które przy tym były, opowiadały mi później, że Idu błagała ojca o przebaczenie i łaskę. Ale na próżno. Musiała opuścić harem, zostawiając w nim swojego czteroletniego synka. Należał bowiem do swojego ojca.

Wtedy nie potrafiłam sobie wyobrazić, co czeka Idu za murami haremu, które jej tak przeszkadzały, dla mnie zaś były ochroną. Spotkałam ją dopiero po dziesięciu latach. Na moje nieszczęście, jak się okazało. W ciągu tych dziesięciu ciężkich lat na jej drodze stanął wreszcie ten, którego ojciec tak stanowczo próbował pozbyć się z haremu. Idu spotkała diabła.

Ojciec David bardzo starał się ochronić nas przed światem zewnętrznym. Przynajmniej jeśli chodzi o wartości duchowe. W kwestii materialnej świat wdzierał się do haremu i nawet najwyższy mur by temu nie zapobiegł. Dzięki ropie Nigeria stała się zamożnym krajem, co dało się odczuć nawet w naszym ustronnym zakątku. Kobiety, z którymi żenił się ojciec, przywoziły ze sobą coraz bardziej wartościowe przedmioty. Żeby nikt nie czuł się poszkodowany, ojciec zadbał o zaopatrzenie queens w lodówki. Kiedy modne były wentylatory sufitowe, zamontowano je we wszystkich sypialniach. Dwa lata po

wyrzuceniu z haremu Idu ojciec poddał się w kwestii telewizorów. Pozwolił jednak oglądać telewizję jedynie dwie godziny dziennie i to wyłącznie programy edukacyjne, które oczywiście nie interesowały ani mnie, ani innych dzieci.

Mniej więcej w tym czasie, gdy ojciec wyrzucił telewizor, po raz pierwszy opuściłam harem. Powodem było moje utykanie, które stało się bardzo widoczne. Pewnego dnia matka dokładnie mnie umyła i zaprowadziła do jednego z wielkich samochodów ojca. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że dla ojca pracowali także mężczyźni, mieszkający w pobliżu haremu. Byli to jego (i nasi) ochroniarze.

Z podestu schodów wiele razy widziałam szeroką ulicę przed naszym haremem.

- Ale tu jest brudno - dopiero gdy znalazłam się na tej piaszczystej drodze, wyraziłam swoje wrażenia.

- Taki jest ten świat, Choga Regina - powiedziała mama, mocno trzymając mnie za rękę.

Jechaliśmy dość długo, aż znaleźliśmy się w całkiem innej okolicy, gdzie domy nie były otoczone wysokimi murami.

Na ulicach leżeli chorzy ludzie, a w otwartych śmierdzących kanałach gromadziła się brudna woda. Ten widok mnie zszokował. Jak cudownie było w naszym compound!

Mama zadbała o to, aby w domu jej przyjaciółki Amary obejrzała mnie pewna indyjska pani doktor. Amarę już znałam, ponieważ od czasu do czasu pojawiała się w haremie. Ojciec nigdy by się nie zgodził, żebym po prostu poszła do normalnego gabinetu lekarskiego. Stąd wziął się pomysł przywiezienia mnie do Amary i zorganizowania spotkania z lekarzem u niej. Pani doktor badała mnie w obecności obu kobiet. Nie mam pojęcia, co stwierdziła. W tamtej chwili kompletnie mnie to nie interesowało.

O wiele bardziej niepokoił mnie fakt, że dom Amary wyglądał zupełnie inaczej niż harem. Dotychczas zupełnie naturalnym widokiem były dla mnie kraty w naszych oknach w haremie. Dopiero w domu Amary uświadomiłam sobie ich istnienie. Tu ich bowiem nie było.

- Ależ u ciebie jest okropnie - wypaliłam bez namysłu. Kobieta wspominała te słowa jeszcze wiele lat później, gdy u niej mieszkałam. Dziś już nie potrafię zrozumieć, jak mogłam uważać życie w zamknięciu za piękne. Ale wtedy było zupełnie inaczej. Jako małe niewinne dziecko cieszyłam się, kiedy wracaliśmy do naszego odgradzonego murami świata. Cieszyłam się właśnie z tych murów, bo wierzyłam, że zapewnią mi bezpieczne schronienie.

Dziś wiem, że choćby nawet ze złota, kraty pozostaną kratami. Mój ojciec miał jednak uzasadnienie dla tych środków bezpieczeństwa.

- Wielu osobom nie podoba się jak tu żyjemy. Nie rozumieją, że nasza Rodzina jest czymś wyjątkowym, że żyjemy w niej dla innych. Tylko w ten sposób zdobywamy siłę, żeby pomagać innym. Na zewnątrz, w mieście, panuje egoizm, który zatruwa ludziom życie. Musimy się przed nim chronić - tłumaczył.

Nie mogłam wątpić w jego słowa po tym, co widziałam na ulicach miasta.

Dzięki wizycie u Amary mama zauważyła mój przesadny lęk przed życiem „na zewnątrz”. Dlatego od czasu do czasu zabierała mnie ze sobą do przyjaciółki. Jednak ta terapia nie przyniosła skutku. Być może dlatego mama zaczęła więcej opowiadać mi o swoim życiu w Niemczech, w gospodarstwie pośród zielonych łąk. Opowiadała mi o obcym kraju, w którym są góry pokryte śniegiem, i o dzieciach zjeżdżających zimą na sankach. Czy za tym tęskniła? Tak, ale znalazła sposób na tęsknotę.

\*\*\*

## **Tęsknota.**

Od czasu do czasu próbowałam sobie wyobrazić jak wygląda miejsce, w którym żyje moja siostra, Magdalena. Ale przecież nie miałam pojęcia jaka jest w dotyku zielona trawa!

- Chcesz, żebym ci trochę przywiozła? - spytała mama kiedy miałam cztery lata.

- A skąd ją weźmiesz?

- Przywiozę ci nasiona z Niemiec.

- Ja też chcę jechać do Niemiec! - zawołałam.

Tego życzenia mama nie chciała jednak spełnić. Dziś wiem, że nie byłoby to nawet możliwe, ponieważ nie miałam żadnych dokumentów. Ojciec nie zgłosił do urzędu moich narodzin. To jednak nie był prawdziwy powód, co mama wyznała mi już znacznie później. Ojciec David bał się, że jeśli obie wyjedziemy, to nie wrócimy już do Nigerii. Jeśli zaś ja zostanę w haremie, to mama na pewno do niego wróci.

- Czy ojciec David miał powody, by się bać? - spytałam matkę, kiedy byłam już dorosła.

- Kochałam twojego ojca i dobrze czułam się w haremie. Dlatego nie było najmniejszego powodu, żeby pozostać w Niemczech. Tym bardziej, że twój ojciec planował założyć nową farmę i miał to powierzyć mnie - odpowiedziała.

Mama wyjechała sama. Babcia Maria zostawiła testament, w którym podzieliła swój majątek pomiędzy wujka Xavera i moją mamę. Wujek otrzymał, oczywiście, gospodarstwo, mamie zaś przypadły w udziale pola i łąki. Jadąc tam nie liczyła na duży spadek. Jednak na miejscu okazało się, że na jej ziemi ma powstać duże pole golfowe i że te „nędzne łąki” są

dużo warte. Rodzina nie chciała jednak dopuścić do tego, żeby taki spadek dostał się w ręce „niewiernej żony”. Dlatego, zamiast planowanych dwóch tygodni, matka została w Niemczech aż trzy miesiące.

Gdy wróciła, przywiozła mi pudełko pełne nasion trawy. Mama Bisi przygotowała miejsce, kawałek twardej ziemi wielkości cztery na cztery metry, pomiędzy naszym domem a garażem. Sama je przekopała. Potem rozsypałyśmy na tam nasiona niemieckiej trawy. Miał tu powstać namiastka ojczyzny mojej siostry. Moim zadaniem było dbanie o to, żeby ten mały kawałek ziemi miał dostatecznie dużo wilgoci, co w porze suchej nie było wcale łatwe. Trzy razy dziennie podlewałam ziemię, a ona wciąż był sucha! Mama powiedziała, że z tych nasion wyrosnie bawarska łąka, dokładnie taka, jak u niej w domu. Ogrodziłam ją dookoła kamieniami i cieszyłam się, gdy po jakimś czasie zobaczyłam delikatny zielony meszek.

Byłam przekonana, że i tu w Afryce na łące wyrosną z czasem te białe kwiatki, z których Magdalena miała wianek na zdjęciu mamy. Ale mimo wszelkich wysiłków nie pojawił się ani jeden rumianek. Trawa była na początku mięciutka, jednak jej czubki szybko zrobiły się żółte. Później przez tydzień byłam chora i nie mogłam się opiekować moim kawałkiem Niemiec. Z wymarzonej łąki pozostały tylko wyschnięte i twarde źdźbła sterczące z popękanej ziemi. Afrykańskie słońce obeszło się z nimi okrutnie. I chociaż wylałam potem na nie mnóstwo wody, nie wyrosło już nic więcej. Pozótkłymi resztkami zajęła się w końcu koza.

Mama na pocieszenie mocno mnie przytuliła.

- Następnym razem, kiedy będę jechała do Niemiec, wezmę cię ze sobą. Będiesz mogła biegać po prawdziwej łące tak długo, jak tylko będziesz chciała.

Rok później matka znów poleciała do swojej ojczyzny, ale i tym razem nie mogła wziąć mnie ze sobą. Nie wiem, czy brak zaufania, jaki okazywał w tej kwestii ojciec, miał jakiś wpływ na ich związek. Matka nigdy nie dała tego po sobie poznać. Ale wiem też, jak bardzo zależało jej na tym, żebym wiedziała, że część moich korzeni jest w Niemczech.

Dlatego też dość wcześnie zaczęła dawać mi lekcje niemieckiego. Ze swojej drugiej podróży do Niemiec przywiozła całą skrzynkę książek. Nauczyła mnie wielu piosenek dla dzieci, później także wierszy, których uczyłyśmy się razem na pamięć. Moje ulubione siostry, Efe i Jem, śmiały się ze mnie, słysząc jak powtarzam te niezrozumiałe dla nich zdania. Mnie zaś rozpieierała duma. Mimo to, nic już prawie nie pamiętam. Oprócz jednego wiersza, który przejmował mnie dreszczem: „Wer reitet so spdt durch Nacht und Wind...” Z piosenkami jest nieco lepiej. „Ein Mdnlein steht im Walde, ganz still und stumm...” Mama ćwiczyła ze mną

w ten sposób prawidłową wymowę. Dziś mój synek Joshua także zna tę piosenkę. Chociaż nie jestem pewna czy wie o czym śpiewa.

W okresie między moim piątym a ósmym rokiem życia, mama rozpoczęła działania, dzięki którym miało się spełnić jej wielkie marzenie o powrocie do życia na wsi. Tak bardzo do niego tęskniła. Było to możliwe z dwóch powodów: pierwszy to nieoczekiwany spadek po babci, drugi - wielkie wizje mojego ojca, ten jego szczególny dar. Matka posiadała pieniądze niezbędne do zrealizowania kolejnej z nich.

Ojciec David słyszał o sukcesie pewnej farmy, znajdującej się nieco na północ od Abuja. Miasto to, od 1976 roku nowa stolica Nigerii, leży w centrum kraju, tysiąc kilometrów od Lagos. Na krańcach żyznego płaskowyżu JosPlateaus, w miejscowości Jeba, była do sprzedania zaniedbana farma. Ojciec, który miał liczne kontakty w całym kraju, ocenił, że położenie Jeba ma wiele zalet. Nowa stolica przyciągnie z czasem miliony ludzi, (obecnie jest ich siedemset tysięcy) a oni będą potrzebować jedzenia. Gdyby więc założyć farmę dostosowaną do potrzeb miasta, można by zarobić mnóstwo pieniędzy. Ojciec rozmawiał o tym z matką.

Jego pomysł przyjęła z entuzjazmem. Razem rozważali ten projekt, a mama była zachwycona położeniem i żyzną ziemią farmy. Poza tym te rozległe, lekko pagórkowate tereny szybko chwytają za serce. Ziemia została kupiona za pieniądze mamy. Jednak właścicielem był ojciec, który wysłał tam inną Rodzinę w celu prowadzenia farmy. Mama mogła tam jeździć tylko na kilka tygodni.

Na początku nic nie wiedziałam o planach kupna farmy w Jeba. Później mama usprawiedliwiała postanowienie ojca.

- To by było wbrew afrykańskim zwyczajom, gdybym tam wyjechała - mówiła.

Podczas swojej drugiej podróży do Niemiec mama nabyła maszyny do gospodarstwa. Wszystko to pochłonęło większość jej spadku, ale nie przyniosło zysku, jakiego spodziewał się ojciec. Być może to właśnie skłoniło go do zmiany zdania na temat „afrykańskich zwyczajów”. O ile wiem, moja mama była jedyną żoną, której ojciec pozwalał opuścić harem na dłużej, by po drugiej stronie murów załatwiać interesy w jego imieniu. Farmie musiał wtedy chyba zagrażać upadek.

Później mama znalazła odpowiednie uzasadnienie i dla tego zwrotu sytuacji.

- Przechodziłam wtedy menopauzę. Kobieta, które nie może już rodzić dzieci, ma prawo zająć się swoimi interesami - wyjaśniała.



Według nigeryjskich mężczyzn, samodzielne życie kobiety zaczyna się dopiero między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia. Wtedy, w 1984 roku, mama miała już ponad pięćdziesiąt lat.

Miałam prawie osiem lat, gdy mama oznajmiła mi, że opuścimy harem i wyjedziemy do Jeba. Chciało mi się płakać i krzyżeć, że wcale nie mam zamiaru nigdzie wyjeżdżać, opuszczać moich mam i siostr, że kocham mój dom i szkołę. Kocham mój mały świat, któremu nic nie brakuje. Zostałam jednak wychowana w przekonaniu, że nie wolno przeciwstawiać się żadnej z mam. Co najwyżej mogłam grzecznie zapytać, dlaczego coś się wydarzyło, lub dlaczego dorośli uważają coś za dobre. Oni za to musieli te pytania respektować i dać na nie rozsądną odpowiedź. Tak postępowali wszyscy. Dzieci były traktowane poważnie.

Mama cierpliwie przedstawiała mi powody, dla których musiałyśmy opuścić harem. Farma miała spełniać ważną rolę w zaopatrywaniu ludzi w pożywienie. Obecny zarządca nie potrafił obchodzić się z drogimi niemieckimi urządzeniami, które wciąż się psuły, a farma zaciągała coraz większe długi. Ojciec David zdecydował więc, że to ona powinna przejąć prowadzenie gospodarstwa. Ponieważ oznaczałoby to całkowitą rozłąkę ze mną, ojciec pozwolił mamie wziąć mnie ze sobą do Jeba.

- A dlaczego mama Bisi nie może pojechać z nami? Ona potrafi uzdrawiać rośliny! A mama Ada? Jest silna i potrafi budować domy! - tłumaczyłam.

Tak oto dziecko wpłynęło na los swoich matek. Chciałam je mieć blisko siebie, ponieważ kochałam je obie jak moją własną mamę. Bisi nie trzeba było długo namawiać. Jej córki, Jem i Efe, będące wówczas w wieku dwunastu i dziesięciu lat, pojechały razem z nami. Ponieważ mama Ada była właśnie w ciąży, ona też mogła opuścić harem.

Ale nawet w czasie swojej nieobecności wszystkie trzy mamy zachowały swoje pokoje w haremie. Inaczej wyglądałoby to jak wygnanie, podobnie jak Idu. Mama musiała jednak zrezygnować ze swego miejsca w „trybunale”, przez co straciła możliwość wpływania na losy innych żon ojca.

Pożegnanie z haremem było pełne łez. Sam ojciec pojawił się na naszym podwórzu i dawał nam ostatnie rady.

- Dlaczego nie jedziesz z nami, ojczy Davidzie? - spytałam. To była jedna z niewielu okazji zwrócenia się z pytaniem wprost do niego.

Ojciec ze zdziwieniem spojrzał na mamę. Potem wolno się nade mną pochylił i odpowiedział:

- Ojciec David zawsze jest z tobą, mała Chogo. Jednak niektórych spraw nie mogę załatwić sam. Możesz być dumna ze swojej mamy, Bisi i Ady. Rób zawsze to, co każą - tak jakbym ja do ciebie mówił.

- Ale będziesz nas odwiedzał?

- Tak często, jak tylko będę mógł. Nic się nie martw, na pewno spodoba ci się tam, dokąd jedziesz.

- To kobiety mogą podróżować same?

- Mądra z ciebie dziewczynka - powiedział wesoło ojciec.

- Nie, nie mogą. Musicie mieć kogoś do ochrony.

Ojciec David wysłał nas w konwoju samochodów. Już sama podróż była przygodą! Nigdy wcześniej tyle nie widziałam. Ogromne lasy i równie ogromne pustkowia. To wszystko przerosło moje wyobrażenia! Wtedy nie było jeszcze tak rozbudowanej sieci autostrad. Droga była w marnym stanie i ciągle trzeba było coś okrążyć.

Ojciec przydzielił ochroniarza do każdego z naszych czterech aut. Z powodu obecności mężczyzn przez całą drogę musiałyśmy mieć zasłonięte twarze. Po raz pierwszy ta zasłona zaczęła mi przeszkadzać, w samochodzie było bowiem gorąco i panował zaduch.

Po drodze nocowaliśmy u dwóch innych Rodzin. Przywieźliśmy im przede wszystkim materiały na ubrania. Przyjęto je z radością. Obie wizyty przerodziły się w wielkie świętowanie. Mama Ada i mama Bisi znały wiele z młodszych kobiet, które wychowały się w Lagos, a potem jako żony zamieszkały w nowych Rodzinach. Moja mama też była znana gospodarzom, ponieważ złożyła im raz wizytę w imieniu ojca. Wszyscy wiedzieli, że wciąż przypominała mężowi o problemach innych Rodzin. Żyły one tak jak nasza - tworząc wielką wspólnotę, chronioną murem i kratami - ale ich compounds nie były tak duże, jak nasze w Lagos.

\*\*\*

## **Życie na wsi.**

Myśląc o naszej farmie w pobliżu Jeba, wyobrażałam sobie compound podobne do haremu w Lagos. Spodziewałam się, że będzie to mała twierdza. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłam ogromną, otwartą przestrzeń bez wysokiego muru i krat. Zamiast tego biały kamienny dom z brązowym blaszanym dachem, postawiony tu dziesiątki lat temu przez jakiegoś Anglika.

Wcześniej nie widziałam takiego domu - z dużym hallem, salonem z kominkiem i szerokimi schodami na piętro. Odkąd ów Brytyjczyk się wyprowadził, dom przeżywał lepsze

i gorsze czasy. Z pierwotnego stylu zostały jedynie resztki. Mimo to, w porównaniu z naszymi skromnymi domami w haremie, robił na mnie wrażenie luksusowego. Przez pierwsze tygodnie my - dziewczęta godzinami wchodziłyśmy i schodziłyśmy po wspaniałych schodach. Aż pewnego dnia pod Efe załamał się jeden stopień i okazało się, że cała konstrukcja jest zmurszała. Sprawne ręce mamy Ady zaraz temu zaradziły. Zresztą nie tylko temu...

Poza domem farma składała się z nowych budynków z gliny, pokrytych dachem z liści palmowych, gdzie składowano żywność, oraz z rozpadającej się szopy na urządzenia i narzędzia gospodarcze. Nieco z boku znajdował się budynek z płaskim dachem, obecnie niezamieszkały, w którym dawniej spała służba Anglika. Obok domu ojciec Udoka postawił mizerną kaplicę, przypominającą wyglądem raczej szopę, która mieściła dokładnie dwanaścioro wiernych. Teren ogrodzony był zaledwie kilkoma płotami, ale i one wywróciły się podczas pierwszego wiatru.

Nie mając wówczas żadnego porównania, nie wiedziałam jak powinna wyglądać zadbana farma. Nie rozumiałam więc przerażenia mamy, która ubolewała nad stanem gospodarstwa kupionego za jej własne pieniądze. Z czasem jednak zrozumiałam, że żeby udało się przywrócić mu dawną świetność, wymagało ono ręki osoby tak energicznej i oddanej, jak moja matka. To przekroczyło możliwości Rodziny, która zarządzała farmą przez trzy lata.

Głowa Rodziny, ojciec Udoka, szybko wypowiedział się na temat ambitnych planów mamy.

- Wy, kobiety, nic tu nie zdziałacie! - mężczyzna nie miał najmniejszego zamiaru podporządkować się mamie.

W odpowiedzi ona zaangażowała do pracy towarzyszących nam ochroniarzy. Ich zadaniem było naprawienie połamanych płotów i zagonienie do zagrody biegających samopas zwierząt - kóz i kur. Ojciec Udoka szybko zrozumiał, że moja mama, Ada i Bisi wykorzystują nową szansę, która się im trafiła. Dwie z jego żon, mama Ngozi i mama Funke, zostały z nami na farmie. Były to starsze kobiety, których zamężne już córki mieszkały w sąsiedniej wsi. Dlatego nie miały ochoty jechać ze swym mężem tam dokąd wysłał go ojciec David. Córki mamy Ngozi i mamy Funke, jak również ich krewni, byli nieocenionymi pomocnikami na farmie wielkości dwudziestu hektarów.

Chociaż widziałam, że Bisi i Ada dzieliły miłość mojej mamy do farmy i pośród zielonych pagórków czuły się naprawdę dobrze, ogarniał mnie strach. Jakby mnie ktoś

opuścił. Dlatego przez pierwsze dni prawie wcale nie wychodziłam z pokoju na parterze, który dzieliłam z Efe i Jem. Mama miała niestety zbyt mało czasu, żeby się mną opiekować.

Moje siostry miały się przyuczać do pracy na farmie. Żeby więc całymi dniami nie siedzieć samotnie w pokoju, zaczęłam towarzyszyć im obu w pracy w polu. Zbliżała się właśnie pora zbiorów słodkiego ziemniaka yam. Mama Bisi i mama Ada z łatwością wykonywały ciężką pracę fizyczną, ale nam, miastowym dziewczętom, często brakowało tchu.

Yam ma grube korzenie. Wyciągnięcie ich z ziemi wymaga nie lada wysiłku. Trzeba przy tym umiejętnie je chwycić, żeby się nie połamały. Oczywiście na farmie nie pracowali mężczyźni, byliśmy więc zdane tylko na siebie. Dla kobiet i dziewcząt, które nam pomagały, było to normalne. We wszystkich gospodarstwach praca w polu należy do obowiązków kobiet. Ale ja miałam dopiero osiem lat! I w dodatku dotąd mieszkałam w mieście. Ze względu na moją pulchną sylwetkę, wyglądałam na silniejszą niż byłam w rzeczywistości. Dla wszystkich było więc oczywiste, że powinnam pomagać. Staralam się, jak tylko mogłam, żeby nikt ze mnie nie drwił, ale wyciąganie korzeni szło mi dość nieporadnie. Dlatego też szybko wyznaczono mi inne zadanie - przewożenie wyrwanych korzeni na taczce do domu. Stamtąd starym traktorem zawożono je na targ. Wysiłek był tak wielki, że nogi i plecy wciąż mnie bolały. Wieczorem jak kamień padałam na posłanie.

Po kilku miesiącach mama Ada wzięła mnie na stronę. Przyjrzała mi się dokładnie.

- Życie na wsi ci służy, moja mała. Już nie jesteś taka okrągłutka - powiedziała z uśmiechem.

Schudłam być może dlatego, że podczas ciężkiej pracy, do której w ogóle nie byłam przygotowana, nie miałam czasu nic podjadać. Nie spędzałam też dni na zabawie i leniuchowaniu jak kiedyś. Rzeczywiście, bardzo się zmieniłam. Wkrótce znałam na farmie każdy zakątek i już nie potrafiłam zrozumieć, jak mogłam żyć zamknięta za murem.

Rodzina ojca Udoki nie troszczyła się nawet o utrzymanie domu. Za pieniądze ze spadku mama kupiła nowy traktor. Gdy przybyliśmy do Jeba ten drogi pojazd stał od tygodni pod gołym niebem obok szopy, zupełnie niezabezpieczony przed wiatrem i deszczem. Musiałyśmy tygodniami czekać na przyjazd mechanika z częściami niezbędnymi do jego naprawy. Nową ciężarówkę, również kupioną przez mamę, oddano podobno do naprawy w Jeba. Gdy po jakimś czasie mama pytała w mieście, okazało się, że nikt jej tu widział.

O tym, że jako biała, a w dodatku samodzielna kobieta, mama nie miała na wsi łatwego życia, dowiedziałam się dopiero później. Długo trwało, zanim najważniejsi

mężczyźni w Jeba zaczęli ją szanować. Nastąpiło to dopiero wówczas, gdy zorientowali się, że praca matki i reszty kobiet może i im przynosić zyski.

Zajęcia lekcyjne nie były możliwe aż w takim zakresie, jak w haremie w Lagos. Ponieważ Jem i Efe nie chodziły już do szkoły, pozostałam jedyną uczennicą. Ale nikt nie miał czasu mnie uczyć. Dlatego na początku chodziłam w Jeba, miasteczku liczącym około dwóch tysięcy mieszkańców. Jeśli szłam na skróty, przez pola, marsz do szkoły trwał godzinę, ale ze względu na moją chorą nogę nie był przyjemny. Pewniejsza była ubita droga, na której łatwiej wypatrzeć węże, ale wtedy dojście do szkoły zajmowało mi trzy godziny. Dlatego zazwyczaj szłam przez pola, aż pewnego dnia zobaczyłam tuż przede mną węża. Co prawda mama Funke uspokoiła mnie, że był to całkiem nieszkodliwy osobnik. Chciała też przekazać mi swoją wiedzę o tych zwierzętach, aleja niezbyt dobrze rozumiałam tę bezzębną kobietę, mówiącą dziwnym dialektem. Poza tym istnieje około tuzina różnych rodzajów węży, które prawie niczym się od siebie nie różnią.

Nie były to jednak jedyne problemy związane ze szkołą. W czasie zbiorów, gdy potrzeba było rąk do pracy, okazywało się często, że tylko ja przychodziłam do szkoły. Trzy godziny w jedną stronę i trzy w drugą - na darmo. Muszę przyznać, że niektóre z niedogodności życia na wsi na początku bardzo mnie odstraszały. Żeby oszczędzić sobie długiego marszu, zakończonego rozczarowaniem z powodu braku lekcji, wkrótce w ogóle przestałam chodzić do szkoły.

Mama Bisi знаła wiele piosenek i rymowanek, którymi dodawała mi sił lub udowadniała, że nie mam racji. W owym czasie lubiła budzić mnie piosenką o takim tekście: „Na pastwisku stoi byk, stoi i trawę skubie. Wozu do miasta ciągnąć nie chce, bo ruszać się nie lubi. Lecz gdyby byk go ciągnąć chciał, nie byłby gruby, a siłę by miał”. Potem mama Bisi dawała mi całusa i mówiła:

- Ucz się, ucz i bądź silna jak twoja mama.

Ależ ja chciałam się uczyć! Ale tak jak kiedyś w haremie. Dziwiło mnie, że moje obie ulubione siostry zupełnie straciły chęć do nauki. W przeciwieństwie do nich, ja domagałam się swoich praw. Przynajmniej tak to odczuwałam. Wreszcie mama napisała list do ojca, w którym prosiła o przysłanie nauczycielki. Mijały tygodnie i nikt się nie pojawił. Aż pewnego dnia przyjechał jeden z wielkich samochodów ojca. Ojciec David przybył osobiście i przywiózł ze sobą nauczyciela! Wybrał dobrą porę roku na odwiedziny. W polu nie było teraz dużo roboty, a wiejący z północy harmattan roznosił po całym kraju ziarenka pustynnego piasku.

Ojciec chciał przede wszystkim zobaczyć się ze swoimi żonami i udowodnić im, że wciąż je kocha. Spędzał bardzo dużo czasu z moją mamą. Zauważyłam, że przez te dwa tygodnie jego pobytu odnosiła się do mnie inaczej. Była bardziej czuła i łagodna. W haremie nigdy nie zwróciłam na to uwagi, być może dlatego, że wokół nas zawsze było dużo ludzi i nie miałam z nią tak bliskiego kontaktu.

Nauczyciel, który przyjechał z ojcem, nazywał się Okereke. Oprócz mnie uczył też Efe oraz wnuki mamy Funke i mamy Ngozi, a także kilkoro innych dzieci, mieszkających w promieniu dwóch kilometrów. Jem wołała pracować w polu i nikt nie potrafił nakłonić jej do udziału w lekcjach. Okereke był stary jak świat, chudy i garbaty. Miał za sobą bardzo burzliwe życie, o którym opowiadał mi, gdy siedzieliśmy wieczorami na werandzie naszego domu, gdzie w dzień odbywały się lekcje.

Od niego dowiedziałam się prawie wszystkiego o historii naszego kraju. Pożyczył mi nawet kilka książek. Jestem mu za to bardzo wdzięczna. Poza tym był pierwszym mężczyzną, który poświęcił mi tyle czasu. Ojciec David pełnił ważną rolę dostojnej głowy Rodziny, ale nigdy nie był dla mnie tatą. Dziadka nie miałam. Okereke był więc zastępczym ojcem i dziadkiem, a także nauczycielem i gawędziarzem w jednej osobie.

Wiele lat pracował jako tłumacz u angielskiego gubernatora, potem zaangażował się w ruch walki o suwerenną Nigerię. Stał więc pomiędzy dwoma frontami. Otworzył mi oczy na to jak łatwo dokonały się przemiany w moim kraju. Okereke podziwiał mojego ojca i sposób, w jaki pomagał członkom swojej rodziny, dbając o ich utrzymanie. Dlatego zamieszkał z nami. Jego wynagrodzeniem było wyżywienie oraz pokój w odbudowanej części dawnego budynku dla służby. Nie mógł pracować fizycznie po torturach jakim poddawano go w więzieniu. Okazał się za to bardzo pomocny w pracy biurowej, niezbędnej przy prowadzeniu tak dużej farmy.

\*\*\*

## **Przepowiednia Bisi.**

Największym skarbem przy odbudowie farmy była pracująca bez znużenia Ada. W kilka tygodni po przyjeździe straciła swoje dziecko. Najprawdopodobniej zbyt ciężko pracowała. Wizyta ojca wpłynęła pozytywnie również i na nią. Częściej się śmiała, była bardziej rozmowna. Powód odkryłam dopiero kilka miesięcy później. Mama Ada znów była w ciąży. Wcześniej nic nie zauważyłam, ponieważ Ada zawsze chodziła w luźnym ubraniu, a w pracy wcale się nie oszczędzała.

- Ten, kto nie pracuje, jest niepotrzebny. Im wcześniej moje dziecko to zauważy, tym lepiej - powtarzała.

Mama Bisi była sprawczynią cudu kwitnienia. Na małym, ukrytym kawałeczku ziemi rosły przepiękne krzewy bugenwilli, które Bisi wskrzesiła do życia. Zazwyczaj - gdy szukałam jej wieczorem, żeby troszkę pogadać lub się poprzytulać - kierowałam się właśnie tam, gdzie usuwając uschnięte kwiaty rozmawiała ze swoimi roślinami.

Dlatego nie zdziwił mnie jej cichy głos, który usłyszałam zbliżając się pewnego wieczora do zakątka z kwiatami. Ku mojemu zdziwieniu nie była jednak sama. Towarzyszyła jej Ada. Dwie moje ulubione mamy siedziały w kucki pomiędzy krzakami.

Gdy mama Ada mnie zobaczyła, podniosła ostrzegawczo palec do ust, żebym się nie odzywała.

Dopiero po chwili dotarło do mnie co się tu dzieje. Mama Bisi pytała wyrocznie o przyszłość nienarodzonego dziecka Ady. Ojciec David, jak każdy wiedział, nie zgadzał się na tradycyjne przywoływanie przodków. Ale farma była daleko i mama Bisi, używając swoich starych muszli mięczaków, znów zajmowała się przepowiadaniem. Oczywiście po kryjomu.

Co dokładnie przepowiedziała tego wieczoru wyrocznia, tego nie wiem. Zrozumiałam tylko, że dziecko Ady zachoruje niedługo po urodzeniu i że wszyscy będziemy musieli o nie bardzo dbać. Jej pierwsza córka dożyła wieku zaledwie sześciu lat, a niedawno Ada poroniła. Nic dziwnego, że ta przepowiednia była dla niej szokiem.

- Czy ono umrze, jak tamto dziecko? - pytała.

- Nie „ono”, ale „ona” - dziewczynka! - poprawiła Bisi. Ponownie rzuciła muszle i analizowała ich ułożenie. - Twoja córka będzie czysta i niewinna jak kwiat. Dlatego jej przodkowie żądają, żeby miała na imię Susan.

Mama Ada była bardzo poruszona tą przepowiednią. Od razu udała się do naszej małej kapliczki i nie wychodziła z niej przez kilka dni. Nieprzerwanie się modliła i błagała Boga o pomoc.

Matka spostrzegła dziwne zachowanie Ady i spytała mnie o jego przyczynę, ponieważ wiedziała, że często przebywam z moją chrzestną. Aleja obiecałam, że nie pisnę ani słowa na temat przepowiedni. Mimo że Ada i Bisi były najlepszymi przyjaciółkami mojej mamy, obawiały się, że ta poinformuje ojca Davida o pogańskich obrządkach Bisi. Milczenie, które sama na siebie nałożyłam, wpędziło mnie tylko w chorobę. Dostałam wysokiej gorączki i biegunki. Mama Bisi bez namysłu porzuciła swoje codzienne obowiązki i opiekowała się mną.

Przez kilka dni byłam tak chora, że mama nie miała pojęcia co robić. Wtedy moja opiekunka położyła się obok mnie na moim posłaniu i gładziła moją mokrą od potu głowę.

- Choga, popełniłam straszliwy błąd - wyszeptła. - Wybacz mi moją głupotę. Wszystko opowiem twojej mamie. Nie możesz dłużej cierpieć przez to, że dorośli wymagają od ciebie milczenia o ich czynach.

- Ojciec David będzie na ciebie bardzo zły! A jeśli odeśle cię jak mamę Idu? - martwiłam się.

- To będzie znaczyło, że Bóg tak chciał - Bisi powiedziała to tak spokojnie, a dla mnie te słowa brzmiały strasznie. Stracić ją byłoby najstraszniejszą rzeczą na świecie.

- Mamo Bisi - spytałam po chwili - czy przodkowie mamy Ady są w niebie?

- Oczywiście, moje dziecko.

- To dlaczego mówią, że jej dziecko będzie chore? Dlaczego nie pomogą, żeby było zdrowe?

- Właśnie to robią! Informują nas o niebezpieczeństwie, jakie grozi dziecku.

- Ale Bóg chroni przecież wszystkie dzieci, mamo Bisi. Dlaczego nie ochroni też maleństwa mamy Ady?

- Będzie je chronił, ale musimy mu w tym pomóc.

- To ja szybko wyzdrowieję i będę opiekować się dzieckiem - obiecałam. Bisi pocałowała mnie, a ja poczułam kroplę spadającą na moją twarz. Nigdy przedtem nie widziałam mojej chrzestnej płaczącej.

Mama zarządzała farmą, ale jakoś do tej pory nie bardzo /dawałam sobie z tego sprawę, bo też i nikt ze mną o tym nie rozmawiał. Dopiero ta historia uświadomiła mi, jak szczególnie jest pozycja mojej mamy jako przedstawicielki ojca na farmie. (Później dowiedziałam się, że była jedyną kobietą, stojącą na czele jednej z Rodzin ojca.) Moja mama podeszła do sprawy przepowiedni dyplomatycznie. Po tym, jak jej współżona wyznała swój błąd, przyszła do mnie i wyjaśniła, że Bisi nie zrobiła nic złego.

Już następnego dnia gorączka zniknęła a dwa dni później mogłam się już bawić na dworze.

Skończyłam właśnie dziewięć lat, gdy przyjechał ojciec David, żeby ochrzcić trzytygodniowe dziecko Ady. Wybrał dla mojej najmłodszej siostry imię Rebecca, ale my od urodzenia nazywałyśmy ją Susan.

- Jak czuje się mała Sue? - pytałam mamy Ady zaraz po tym jak się obudziłam.



Byłam przecież przy tym, jak przodkowie zażyczyli sobie tego imienia. Kiedy nadszedł dzień chrztu, byłam bardzo ciekawa, jakie imię ojciec David nada mojej przyrodniej siostrze.

- Nadaję ci imię Rebecca Susan - usłyszałam. Odetchnęłam z ulgą. Promienny uśmiech pojawił się na twarzy mojej mamy, która jako chrzestna trzymała dziecko nad chrzcielnicą. Udało się! Zawsze, gdy chciała coś osiągnąć, działała po cichu i dyplomatycznie. Wszyscy byli zadowoleni z kompromisu, jaki osiągnęła. I tak nazywaliśmy moją małą siostrzyczkę zdrobniale Sue. Ojciec mieszkał przecież daleko. Sue, niezależnie od imienia, była jego córką i wychowywano ją w duchu jego nauk.

Już od pierwszej minuty malutkiej na tym świecie miałam do niej szczególny stosunek. Oczywiście nadal tak samo lubiłam Efe i Jem, ale teraz moją ulubioną siostrzyczką stała się właśnie Sue. Moje mamy nauczyły mnie wszystkiego, co powinnam wiedzieć o opiece nad niemowlęciem. Wkrótce nosiłam Sue przez cały dzień w chuście na plecach. Czułam się naga, gdy nie miałam jej przy sobie. Podczas lekcji z Okereke kładłam ją obok siebie na podłodze. A gdy zaczęła raczkować, uważaliśmy na nią wszyscy: ja, nauczyciel, a nawet inne uczennice i siostry. Ponieważ Sue przez długi czas była najmłodszą mieszkanką naszej farmy, kochali ją wszyscy. Kiedy mama Ada chciała ją zabrać ze sobą w pole, czułam się bardzo samotna. Sue stała się jakby częścią mnie. Najpiękniejsze było jednak to, że pierwszym słowem jakie wypowiedziała było moje imię. Chodziłam z nią wtedy po całej farmie i kazałam powtarzać to pierwsze słowo. Co prawda była to tylko druga sylaba mojego imienia, ale wszyscy się śmiali i cieszyli razem z nami. Śmiała się też i mała Sue!

Ponieważ o przepowiedni wyroczni wiedziały, oprócz mnie, tylko moja mama, mama Bisi i mama Ada, wszystkie cztery szczególnie uważaliśmy na malutką. Gdy tylko któraś z nas usłyszała jej płacz, rzucała wszystko i biegła do niej. Miało to nie najlepsze działanie wychowawcze, gdyż Sue szybko się zorientowała, że wystarczy tylko zakwilić, by skupić na sobie uwagę innych.

\*\*\*

## **Mój wybawca Corn.**

Pies nie jest szanowanym zwierzęciem w moim kraju. Ludzie sami nie mają zbyt wiele do jedzenia, nie chcą się więc dzielić. Dlatego psy same szukają sobie pożywienia. Te bezpieczne, które nie mieszkają na farmach, łączą się najczęściej w stada. Polują przede wszystkim nocą. Są wtedy krwiożercze i agresywne. Wiele razy nie mogłam zasnąć przy

akompaniamencie ujadającej sfory. Psy uważa się za brudne i niepożyteczne darmozjady, w przeciwieństwie do kóz czy kur.

Mimo to, na naszej farmie mieszkał pies i cieszył się nawet szacunkiem. Był bowiem bardzo pożyteczny, ponieważ posiadał szczególne zdolności: polował na węże. Musiał go tego nauczyć któryś z jego poprzednich właścicieli. Nazywał się Corn a zawdzięczał swoje imię kolorowi sierści, żółtej jak dojrzałe zboże.

Na początku bardzo się go bałam. Po pierwsze dlatego, że bałam się wszystkiego, czego nie znałam z Lagos. Po drugie byłam za mała, żeby odróżnić włóczęgę od oswojonego psa. Dlatego w miarę możliwości schodziłam mu z drogi. O jego wcześniejszym życiu wiedzieliśmy niewiele. Z relacji mamy Funke wynikało, że ojciec Udoka tak go wyszkolił, żeby wciąż znajdował się blisko dzieci. Gdy tylko któreś zapłakało, wystarczyło pięć sekund i Corn już przy nim był. Z nosem przy ziemi obwąchiwał okolicę w poszukiwaniu węży. Raz rzeczywiście jednego złapał. Całe zdarzenie widział przypadkowo Okereke. Podobno Corn błyskawicznie rzucił się na węża, złapał zębami tuż za głowę i kręcił nim tak długo, aż go ukatrupił.

- Na razie jest młody i szybki - mówił Okereke - ale pewnego dnia wąż będzie w końcu szybszy.

- I co się wtedy stanie? - spytałam.

- Trzeba będzie sprowadzić nowego psa albo samemu uważać na węże - odpowiedział nauczyciel, a po chwili namysłu dodał - Może nawet dobrze było by sprowadzić nowego psa. Corn mógłby wszystkiego go nauczyć, zanim będzie za późno.

- Sądzisz, że Corn nie dożyje starości? - spojrzałam na Okereke ze zdziwieniem.

- Taki jest bieg rzeczy. Pies to nie człowiek - odparł. Popatrzyłam na małą Sue, a potem na psa. Pomyślałam przy tym o wyroczni mamy Bisi - o tym, że musimy szczególnie uważać na Sue.

Od tego dnia inaczej patrzyłam na naszego czworonoga. Zaczęłam się z nim bawić, a on wszędzie towarzyszył mnie i Sue. Gdy mama Bisi powiedziała, że Corn jest zaniedbany i dlatego nie wpuści go do domu, tak długo męczyłam moją mamę, aż wyjaśniła mi, jak psa czesać i jak pozbawić go robactwa. Mama lubiła Corna. W gospodarstwie w Niemczech zawsze miała psy. Ale Corn pozostał dla niej, podobnie jak dla wszystkich innych, zwierzęciem spełniającym konkretne zadanie. Ja zaś stwierdziłam, że pies może być przyjacielem, do którego miło się przytulić. Mimo to, moje mamy nie pozwoliły mu wchodzić do domu. Bały się, że będę traktować go jak człowieka, przez co zatraci swój zwierzęcy

myśliwski instynkt. Efe i Jem popierały mnie w sprawie Corna - my trzy zawsze trzymałyśmy się razem - lecz, niestety, bezskutecznie.

Co robił Corn nocą, tego mogłam się jedynie domyślać. Czasami wracał ze świeżymi śladami walki, stąd wiedziałam, że rozprawiał się z okolicznymi bezpańskimi psami. Mama Bisi dawała mi jedną ze swoich nalewek, którą przemywałam rany walecznemu bojownikowi, dodając mu jednocześnie odwagi. Na szczęście Corn trzymał się zawsze w pobliżu mnie. Gdy pewnej nocy znów obudziło mnie ujadanie, otworzyłam okno. W ciemności usłyszałam cichy głos. To Corn siedział pod moim oknem. Trzymał straż. Uspokojona wróciłam do łóżka.

Potem znów zachorowałam. Mama twierdziła, że to przez miejskie życie jestem zbyt delikatna i szybko łapię każdą chorobę. Miałam gorączkę i leżałam na mojej macie na podłodze. Efe zaglądała do mnie co jakiś czas. Zmieniała mi zimne kompresy i podawała lekarstwa zrobione przez mamę Bisi. W południe w moim pokoju było strasznie gorąco. W przeciwieństwie do haremu, na farmie nie mieliśmy wiatraków przy sufitach. Okno musiało być zamknięte, żeby nie wleciało robactwo. Prosiłam mamę, która właśnie czytała mi jedną z niemieckich baśni, żeby choć na chwilę otworzyła okno. Po długim błaganiu wreszcie się zgodziła. Musiałam chyba zasnąć. Śniły mi się dziwne rzeczy. Gdy się obudziłam, mamy nie było w pokoju.

Nagle zdało mi się, że widzę jakiś podłużny, pełzający kształt. Coś długiego i czarnego wślizgiwało się do pokoju przez otwarte okno. Zanim dotarło do mnie, że to wąż, on z lekkim plaśnięciem spadł już na podłogę. Usiadłam i utkwiłam wzrok w zbliżającej się do mnie półtorametrowej bestii. Znajdowała się dokładnie w połowie drogi między mną a oknem. Po drugiej stronie była już tylko ściana. Nie miałam więc dokąd uciec. Gad podniósł głowę. Zasyczał wyczuwając blisko ofiarę.

Wreszcie udało mi się wydobyć z siebie głos.

- Mama! - krzyknęłam przeraźliwie.

Wąż zastygł w bezruchu. Spojrzałam na drzwi, ale nikt się nie pojawił. Bestia ruszyła dalej do ataku.

- Corn, chodź tu! - zawołałam odruchowo.

Być może pies - usłyszawszy mój pierwszy krzyk - wiedział już co się stało, gdyż jak błyskawica przeskoczył przez niski parapet i rzucił się na węża. Wszystko działo się w mgnieniu oka. Widziałam tylko żółty kłębek szalejący po podłodze. Po kilku chwilach zrobiło się znowu cicho. Bursztynowe oczy Corna patrzyły na mnie tak, jak gdyby chciały spytać: „Nic ci nie jest?” Między jego nogami leżało martwe ciało węża.

- Chodź tu! - zawołałam resztką sił i objęłam mojego wybawcę. Ale coś było z nim nie tak. Wił się po podłodze i szarpał zębami tylną łapę. W mojej głowie zabrzmiały słowa nauczyciela Okereke, że pewnego dnia wąż będzie szybszy od Corna. Odsunęłam głowę psa i zbliżyłam się do miejsca, wokół którego tak się gryzł. Pośród krótkiej sierści rozpoznałam dwie charakterystyczne kropki - ślad ukąszenia jadowitego węża!

Wołałam o pomoc tak głośno, jak nigdy dotąd. Mój wybawca nie mógł przecież umrzeć! Jako pierwsza wpadła do pokoju mama, potem Bisi, wreszcie Okereke. Stary nauczyciel pochylił się nad psem i pokręcił głową.

- Lepiej go stąd wezmę - powiedział.

- Co z nim zrobisz? - zapytałam.

- Pomogę mu skrócić jego cierpienia.

- Nie! - błyskawicznie wstałam i zagroziłam mu drogę. Okereke z psem na rękach kierował się ku wyjściu. - Corn nie może umrzeć!

- Nie uratujemy go - odparł nauczyciel. Odwróciłam się do mamy.

- Mamo, błagam. On uratował mi życie. Na pewno możesz coś zrobić! Było mi słabo, ledwo trzymałam się na nogach.

W końcu osunęłam się, na szczęście, prosto w ramiona mamy.

- Istnieje tylko jeden sposób - powiedziała mama. Zdjęła z głowy swoją chustkę i owinęła ją u nasady psiej nogi. Gdy ją zacisnęła, Corn zawył z bólu.

- Z trzema nogami nie będzie miał żadnych szans - powiedziała poruszona Bisi.

- Z trzema nogami? - wyjąkałam.

- Jeśli mamy go uratować, trzeba mu amputować nogę, i to jak najszybciej. Jeśli tego nie zrobimy, to umrze w strasznych męczarniach.

Wyrwałam się z jej objęć, pobiegłam do Corna i pogłaskałam go. Dyszał ciężko. Sierść miał mokrą od potu.

- No to szybko - podjęła decyzję Bisi. Kazała mi się z powrotem położyć. Okereke szybko wyniósł psa na dwór. Mama poszła za nim. Mama Bisi wzięła węża i też skierowała się ku drzwiom. Jednak w ostatniej chwili zawróciła, bez słowa podeszła do okna i zamknęła je.

Chwilę później usłyszałam przeraźliwe, krótkie wycie. Potem zapanowała straszna cisza. Zacisnęłam mocno oczy i zaczęłam szlochać.

Zobaczyłam go dopiero po tygodniu, gdy zrobiło mi się lepiej i mogłam wstać z łóżka. Na jego widok aż zakłuło mnie w sercu. Miał obandażowane ciało. Założono mu też

kaganiec, żeby nie mógł lizać rany. Ułożyłam jego głowę na swoich kolanach i godzinami ją głaskałam.

Pewnego dnia mama Bisi stanęła przede mną.

- Co to za życie dla psa myśliwskiego, Choga. Naprawdę chcesz, żeby do końca życia cierpiał? - zapytała.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Chrzestna miała pewnie rację. Mój wybawca wciąż leżał. Położyłam go na starym kocu i przysunęłam mu miskę z wodą. Co miałby jeść? /awsze sam szukał sobie pożywienia. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym jak to będzie. Karmy dla psów jeszcze wtedy nie było. Dopiero wiele lat później dowiedziałam się od matki, że w Niemczech już ją znano. Nawet dziewięcioletnie dziecko - jakim wówczas byłam - wiedziało, że w takim stanie Corn nie będzie mógł polować.

Następnego dnia, gdy znów siedziałam przy bezsilnym psie, zjawił się Okereke.

- Jeśli chcesz, żeby ten pies nauczył się znowu chodzić, musisz przestać go tak rozpieszczać - powiedział. - Wstań i zawołaj go. Spróbuj go rozruszać.

Próbowałam zachęcić Corna rzucając patyk, ale tylko śledził za nim bezradnie wzrokiem. Wreszcie postanowiłam poprosić o pomoc mamę Bisi. Spytałam, czy nie mam jakiegoś lekarstwa.

- Spróbować zawsze można - stwierdziła. - Jeśli taka jest wola Boga, to pies jednak przeżyje.

Mama dała mi dla Corna resztki jedzenia, oczywiście potajemnie, ponieważ sami nie mieliśmy go dużo. Były to przede wszystkim ugotowane korzenie yam z małutkimi kawałeczkami mięsa. Bisi dodała do tego swoje lekarstwo i wszystko razem wymieszała. Od czasu do czasu Corn dostawał także kość. Powoli rzeczywiście zaczął się podnosić. Był silnym psem o mocnych mięśniach nóg. Gdy po kilku tygodniach zdjęto mu bandaż, zdążył już przywyknąć do swojego losu. Wkrótce udało mu się chodzić na trzech nogach. Niezbyt szybko, mniej więcej tak jak ja, gdy bolało mnie biodro.

Corn nie opuszczał mnie ani na krok. Stanowiliśmy razem szczególną parę, gdy wieczorem kuśtykaliśmy z pola do domu. Nikt już nie wymagał od niego, żeby spał na dworze. Nocą kręciły się tu sfory psów, z którymi nie miałby już szans. Pozwolono mu kłaść się u moich stóp. Kiedy na dworze ujadały psy, czasem zrywał się na równe nogi i wył przez sen. Potem zataczał koło i kładł się znowu, wtulając nos w sierść.

- Kogo Bóg kocha, tego nie zostawi w potrzebie - mówił Okereke.

- Widzisz, Bóg kocha także zwierzęta, chociaż nie są ludźmi - odpowiadałam.

- Dobrze zrobiłaś walcząc o życie swojego wybawcy. Gdybym go zabił, zgrzeszyłbym wobec Boga. Nauczyłem się czegoś od ciebie, moje dziecko - rzekł mój stary nauczyciel i delikatnie pogłaskał mnie po głowie. - Przed Bogiem wszystkie stworzenia są równe.

Następnej niedzieli Okereke mógł wygłosić mowę do wszystkich. Opowiedział naszą historię. Odtąd ludzie traktowali Corna jak talizman, gdyż ocalił go Bóg. Nieco później dowiedziałam się, że na jakiejś odległej farmie też mieszkał pies, który łapał węże. Podobnie jak Corn, on też został przez jednego ukąszony. Wbrew tutejszym zwyczajom, zamiast zabić niepotrzebne zwierzę, troskliwie je pielęgnowano, aż wyzdrowiało tak jak nasz bohater.

\*\*\*

## Serce ojca.

Pewnego dnia, gdy wracałam z pola, z daleka zobaczyłam moją mamę i mamę Bisi stojące przed werandą. Było późne popołudnie. Słońce intensywnie prażyło. Nad rozgrzaną ziemią drżało ciężkie powietrze. Wydawało mi się, że te dwie sylwetki zlały się w jedną postać o dwóch głowach. Powiedziałam to mamie Adzie, która szła obok mnie, niosąc na głowie kosz pełen kukurydzy. Ja w chuście na plecach niosłam małą Sue, ręką zaś przytrzymywałam na głowie kosz, znacznie mniejszy niż Ady. Nigdy nie udawało mi się utrzymać ciężaru na głowie bez podtrzymywania ręką, jak to robiły dorosłe kobiety i wiele moich sióstr. Z powodu krótszej nogi idąc za bardzo kołyszę się na boki i wtedy wszystko spada. Małej Sue to bujanie bardzo się podobało i wołała siedzieć u mnie na plecach niż u swojej chodzącej prosto mamy. Obok mnie z wywieszonym językiem kuśtykał Corn.

Mama bez słowa wzięła ode mnie kosz. Rzadko okazywała mi czułość, więc ucieszyłam się z tej pomocy. Potem wzięła na chwilkę do ręki moje zakurzone warkocze.

- Jesteś bardzo dzielna, Choga - powiedziała.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Nie wiedziałam o co jej chodzi. Dlatego milczałam. Mama Bisi wzięła ode mnie Sue. Później - po wspólnej modlitwie - zjadłyśmy kolację razem z innymi żonami, siostrami i pracownicami, które w sezonie spały w ogromnym hallu naszego domu. (Na pewno ku zadowoleniu owego angielskiego właściciela, który go zaprojektował.)

Zanim poszłam spać, matka zawołała mnie na werandę. Siedziała tam Bisi i wyplatała kosz, który wraz z wieloma innymi chciała sprzedać na targu. Odkąd mieszkaliśmy w Jeba mama bardzo rzadko czytała mi baśnie lub coś opowiadała. Dlatego bardzo się ucieszyłam. Już miałam usiąść na podłodze u jej stóp, gdy mama powiedziała:

- Choga, zrób kilka kroków w tę i z powrotem.

- Po co?

- Chcę zobaczyć, jak chodzisz.

Zrobiłam to, o co prosiła. Dzień spędzony w polu bardzo mnie zmęczył, bolało mnie całe ciało.

- A teraz przenieś ciężar ciała na drugą nogę - powiedziała mama.

Spróbowałam. Po kilku krokach z przyzwyczajenia wróciłam do poprzedniej pozycji, która nie obciążała tak bardzo bolącej nogi.

- Twoja matka napisała do ojca Davida - włączyła się mama Bisi. - Wszyscy uważamy, że powinien ci pomóc lepiej chodzić.

Zdumiona spojrzałam najpierw na Bisi, potem na moją mamę.

- Nie macie prawa! - wykrzyknęłam.

- Trzeba coś z tym zrobić, zanim będzie za późno! Poprosiłam twojego tatę o wizytę u lekarza - mama była bardzo poważna i cały czas patrzyła mi prosto w oczy.

Nienawidziłam, kiedy ona lub ktokolwiek inny mówił o mojej nodze. Bolała mnie, to prawda, ale zdążyłam się do tego przyzwyczaić. Tak jak Corn, który na swoich trzech nogach potrafił już nawet biegać po okolicy.

- Pewnego dnia wyjdiesz za mąż i będziesz chciała urodzić dzieci - powiedziała mama Bisi. - Wtedy będzie już za późno na leczenie.

Zmieszałam się. Więc i moja chrzestna była w to zamieszana. Ona - która zawsze chętnie pocieszała, ale starała się nie ingerować w bieg zdarzeń - tym razem chciała pokierować moim losem.

- Nie chcę żadnego lekarza. Taką stworzył mnie Bóg.

Z dzisiejszego punktu widzenia wiem, że była to jednak tylko część prawdy. Ale nigdy nie chciałam być traktowana inaczej niż moje siostry. Nie chciałam niczym się wyróżniać, dlatego tak się wstydziłam, gdy ktoś głośno mówił o mojej nodze.

Kilka tygodni później mama poinformowała mnie, że musi opuścić farmę na jakiś czas. Znowu miała jechać do Niemiec po maszyny rolnicze, nasiona i nawozy. Nie tylko dla nas, ale i dla innych należących do ojca farm.

- Twój ojciec przyśle po nas samochód, który zawiezie nas do Lagos.

Właśnie bawiłam się z Sue.

- A czy Sue może jechać z nami? - spytałam. Mama roześmiała się i powiedziała, że moja mała siostrzyczka potrzebuje swojej mamy. Potem dodała:

- Zostaniesz kilka tygodni w haremie, Choga Regina. Nigdy wcześniej nie odważyłam się sprzeciwić mojej mamie. Ale teraz to uczyniłam.

- Aleja chcę zostać tutaj!

Mama cierpliwie mi wyjaśniła, że muszę pojechać do Lagos, żeby pójść do lekarza.

- Ojciec zgodził się, żeby w szpitalu obejrzał cię specjalista - mówiła.

Wówczas nie wiedziałam, że mama wielokrotnie prosiła ojca o zgodę na tę wizytę. A ja nie chciałam jechać. Uciekłam kryjąc się za krzewami bugenwilli zasadzonymi przez Bisi. Płakałam, jakby ktoś chciał wyrządzić mi wielką krzywdę. Do szpitala! Okropność! Tam idzie się wtedy, kiedy się jest chorym. Czy ja byłam chora? Mój świat rozsypywał się na kawałki. Corn tulił się do mnie chcąc mnie pocieszyć.

W końcu znalazła mnie Bisi, jej słowa trochę mnie uspokoiły.

- Mama zgodziła się, żebym z wami pojechała. Nie bój się, moja maleńka. Mama Bisi zawsze będzie przy tobie - obiecała. Corn nie mógł nam jednak towarzyszyć.

Wieczorem, gdy Jem wróciła z pola, opowiedziałam jej o planach naszych matek. Zamiast stanąć po mojej stronie, czego od niej oczekiwałam, Jem powiedziała:

- To fajnie, że chcą ci pomóc.

W dniu wyjazdu najtrudniej było mi się rozstać z Sue.

- Pilnuj jej dobrze - upominałam raz po raz Adę. Moja mama, uśmiechając się, powiedziała, że to w końcu mama Ada jest matką Sue! Ja jednak byłam niespokojna.

- Choga niedługo wróci - obiecałam młodej siostrzyczce.

- Choga wróci - powtórzyła Sue.

Gdybym tylko wiedziała, że po raz ostatni słyszę jak mówi, zaparłabym się rękami i nogami, żeby nie wyjechać z farmy.

Tym razem wybrano inną drogę do Lagos, odwiedziliśmy bowiem kolejne Rodziny. Wybraliśmy farmy, które tak jak nasza wytwarzały produkty rolne sprzedawane później na targach. Podobnie jak u nas, głównym zmartwieniem była ziemia która wysychała, mimo że w rzekach płynęła woda. Z podsłuchanych przeze mnie rozmów matki z zarządcami farm i głowami Rodzin wynikało, że najpilniejszą potrzebą są systemy nawadniające, przede wszystkim pompy, które użyłyby glebę.

Farmerzy odnosili się do mamy z głębokim szacunkiem, ponieważ wiedzieli, że w najbliższych dniach wybiera się do Niemiec po niezbędne urządzenia. Wszystkie trzy byłyśmy przyjmowane bardzo serdecznie. Moje mamy cierpliwie słuchały swoich rozmówców.

- Opowiemy o waszych problemach ojcu Davidowi, a on pomyśli jak je rozwiązać - zapewniały.



Rytm dnia w haremie nie zmienił się. W czasie naszej nieobecności mama Patty i mama Felicitas zgodziły się na kolejne dwa śluby ojca. Współżony mamy i moje przyrodnie siostry powitały nas w haremie raczej powściągliwie. Nie miały do nas zaufania. Poza tym zazdrościły nam naszej szczególnej pozycji, jaką nam przypisywały. Być może nie miały odwagi szczerze pytać nas o życie na wsi. Szybko przywykłam do miejskiej codzienności. Na farmie wciąż doskwierał nam brak jedzenia. Tu, w haremie, trudno byłoby w to uwierzyć. Dobudowano nowy dom, a stoły były jak zawsze suto zastawione. Wyglodniała rzuciłam się na słodycze. Jakbym chciała najeść się za wszystkie czasy.

Rzadko widywałam obie mamy. Spędzały dużo czasu z ojcem Davidem, do czego miały prawo. Ja miałam wtedy dziesięć lat i nadal mieszkalam w domu dla dzieci. Tym razem jednak w części dla starszych dziewczynek. Nie tylko ja się zmieniłam, moje siostry też. Wiele z tych, z którymi dorastałam, weszło już w okres dojrzewania albo nawet uchodziło za prawie dorosłe. Czasami czułam się naprawdę samotna. Moje życie w Jeba nikogo tutaj nie interesowało. Szybko przestałam o nim opowiadać. Za to kompletnie nie znałam się na sprawach kosmetyki i upiększania, co znowu było głównym tematem rozmów moich towarzyszek.

Dopiero teraz zauważyłam mury otaczające harem. Brakowało mi świeżego powietrza. Wdychałam spaliny samochodów i przeszkadzał mi hałas klaksonów. Widok nędznych krzewów w ogrodzie, które kiedyś wydawały mi się takie wspaniałe, jeszcze bardziej mnie zasmucał. Zaczęłam, tak jak mama Bisi, rozmawiać z kwiatami. Nie żałowałam im wody, której tak brakowało na farmie. Moje siostry śmiały się, że mam bzika na punkcie roślin. Robiły też nieprzyjemne uwagi na temat mojej nogi.

Mówiąc krótko: mój dom w haremie stał się obcy. Tęskniłam za Sue i za Cornem, którzy mnie potrzebowali. W haremie nie miałam co robić. Jediną przyjemnością była szkoła, do której chodziłam jeszcze chętniej niż kiedyś. I oczywiście rodzinne święta, podczas których mogłam śpiewać. Ojciec David siedział wówczas w pierwszym rzędzie i patrzył na mnie dobrotliwym wzrokiem. Później chwalił mój głos i zadbany wygląd. Pytał, czy dobrze mi się mieszka na farmie.

- Tam jest świetnie! - wypaliłam od razu.

- To brzmi niemal tak, jak gdyby tutaj nie bardzo ci się podobało - ojciec spojrzał na mnie swoimi dużymi dobrymi oczami.

- Ależ nie... Ale tam mamy psa, tutaj bardzo mi go brakuje - wybrnęłam jakoś z sytuacji. W końcu wiedziałam, że ojciec stawiał dobro haremowi ponad wszystko.

- Słyszałem jak walczyłaś o życie Corna - dodał. - Opowiadałem tę historię wszystkim, których spotkałem. Musimy bowiem szanować każde życie - powiedział ojciec i pocałował mnie w czoło.

Bardzo rzadko zdarzało się, żeby ojciec w ten sposób wyróżniał któreś ze swoich dzieci. W naszym świecie, w którym wszyscy byliśmy równi, pocałunek ojca był niczym pasowanie na rycerza.

Następnego dnia koło południa przysłała do nas, dziewcząt, mama Bisi. Trwały właśnie godziny odpoczynku, kiedy było za gorąco na naukę czy pracę. Bisi zaprowadziła mnie do mieszkania mojej mamy. W pierwszej chwili nie poznałam jej. Miała na sobie sukienkę do kolan i białą bluzkę. Jasne włosy, upięte nisko w kok, przykryła cienkim białym szalem. Wpatrywałam się w nią jak w obraz. Wyglądała przepięknie, zupełnie inaczej niż w białych sukniach, które nosiłyśmy tutaj. Przemieniła się w prawdziwą Europejkę. Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak ubranej, mama nie chciała bowiem się wyróżniać i pokazywać swoim współzonom w europejskim stroju. Dlatego Bisi przyprowadziła mnie aż tutaj.

- Choga Regina, zaraz jadę na lotnisko - powiedziała mama. - Nie wiem kiedy dokładnie wrócę. Obiecuj, że będziesz posłuszna, nawet jeśli będziesz miała inne zdanie. Pamiętaj jak w Jeba rozmawialiśmy o twoich problemach z chodzeniem? Twój ojciec zgodził się na to, żeby w szpitalu obejrzał cię lekarz. Bądź więc grzeczna. Mama Bisi zostanie tu i będzie się tobą opiekować - dodała. Moja chrzestna pokiwała wesoło głową.

Spojrzałam na zdjęcie mojej niemieckiej siostry Magdaleny, obok którego stała mama.

- A nie mogę jechać z tobą do Niemiec? - spytałam nieśmiało. Mama pokręciła przecząco głową. - Mamo, proszę! - spróbowałam ponownie. Nie ugięła się.

Dziś wiem, że i tym razem próbowała namówić ojca, żeby pozwolił zabrać mnie na operację do ojczyzny matki. Nie zgodził się. Po trosze ze względu na to, że nie miałam żadnych dokumentów (był problem łatwy do rozwiązania), ale przede wszystkim dlatego, że chciał wobec wszystkich swoich dzieci postępować sprawiedliwie i nie wyróżniać żadnego z nich zagraniczną podróżą.

Rozumiałam to i nie upierałam się dłużej. I tak czułam się wyjątkowo uprzywilejowana z racji wizyty w wielkim nowoczesnym szpitalu. Ojciec otwarcie okazywał mi dużo sympatii w czasie świąt rodzinnych, ale wiem, że to dzięki staraniom mamy wyraził zgodę wizytę u doktora.

Już sama wielkość kliniki mnie przerażała. Oczywiście od razu rozdzielono mnie z mamą Bisi, która musiała wrócić do domu. Lekarze badali mnie wielokrotnie. Najgorzej

wspominam to, że musiałam się rozbierać przed obcymi mężczyznami. Okropnie się wstydziłam i myślałam tylko o tym, jakby tu uciec. Raz nawet spróbowałam. Ucieczka zakończyła się już przy trzecich drzwiach, których w ogóle nie zauważyłam, bo były szklane. Uderzyłam w nie głową i nabiłam sobie niezłego guza.

W końcu pojawił się sam ojciec. Pierwszy raz osobiście troszczył się o moje zdrowie. Wezwano go, żeby porozmawiać na temat operacji, jaką lekarze planowali przeprowadzić. Jego reakcja była po mojej myśli. Wsadził mnie do jednego ze swoich wielkich samochodów i zawiózł do domu. O operacji nie było już więcej mowy. Jej koszt byłby wyższy niż roczne zarobki dwudziestu mężczyzn, jak wyjaśniła mi mama po powrocie z Niemiec. Rozumiałam to. Jeśli ojciec zgodziłby się na moją operację, musiałby w ten sam sposób zadbać o zdrowie mojego rodzeństwa, a na to nie było go stać.

Jednak mamę zdenerwowała wtedy taka decyzja ojca, o czym powiedziała mi dopiero dziesięć lat później. Dzięki sprzedaży ziemi po babci Marii mama miała tyle pieniędzy, że mogłaby wstawić mi nie jeden, ale dwadzieścia, a może i trzydzieści nowych stawów biodrowych. Jedynym efektem mojej wizyty w szpitalu była para butów z podwyższonym obcasem. Nosiłam je rzadko, bo mnie uwierały. W haremie nikt nie zwracał uwagi na to, czy je wkładam. A ponieważ mało kto nosił tam buty, ja też wolałam biegać boso. Kiedy mama wróciła z Niemiec, kazała mi nosić te buty, ale wtedy były już na mnie za małe, z czego bardzo się cieszyłam. W ten oto sposób mogłam spokojnie kuśtykać sobie dalej, do czego już się przecież przyzwyczaiałam.

Ledwo mama wróciła do haremu, zaczęłyśmy się pakować. Wracałyśmy do Jeba. Nie było mi szczególnie ciężko opuszczać compound, gdyż nie czułam się w nim tak jak kiedyś. W samochodzie mama - sądząc że śpię - zwierzała się mamie Bisi, swojej najlepszej przyjaciółce. Usłyszałam, że w Niemczech pokłóciła się ze swoją rodziną. Zarzucali jej, że trwoni swój spadek w Afryce. Pobyt w ojczyźnie był dla niej nieprzyjemny.

- Straciłam swoje korzenie - usłyszałam jej słowa.

W Jeba powitał nas Corn. Z radości machał ogonem i lizał mi dłonie, gdy tylko wysiadłam z samochodu. Okazało się, że tylko on tak serdecznie nas wita. Mama Ada spojrzała na nas ze smutkiem. Sue była ciężko chora: gorączkowała i wymiotowała. Była błąda i wycieńczona, nie miała siły mówić. Wszystkie cztery wiedziałyśmy, że to coś poważnego. Słowa przepowiedni Bisi wisiąły w powietrzu. Obie z mamą Adą nie odstępowałyśmy łóżka dziewczynki. Śpiewałyśmy jej i próbowaliśmy podawać jej wodę i lekarstwa. Bisi była przekonana, że to malaria.

W końcu moja mama zdecydowała, że trzeba zawieźć Sue do szpitala do Jos, oddalonego o sześćdziesiąt kilometrów. Musiała jednak omówić to z ojcem Davidem. W dzień targowy - jedyny, w którym mama była w mieście - musiała pójść na pocztę i stamtąd zadzwonić.

Ojciec nie zgodził się na kosztowną kurację swojej córki.

- To tylko dziewczynka, a Ada może jeszcze mieć wiele dzieci - odpowiedział załamany żonom, które modliły się o życie małej Sue.

Być może nawet w szpitalu nie uratowano by Sue. Była tak wycieńczona, że nieprzytomna leżała na swoim posłaniu obok nas. Śmierć przyszła we śnie. Już następnego dnia dziewczynka została pochowana. Bisi, Ada i moja mama wykopały grób obok krzewów bugenwilli. Malutka miała piękny pogrzeb. Nie było zbyt wielu osób, bo dzieci umierają tu często. Ale śpiewano modlitwy i pieśni. Dla mnie było to pierwsze zetknięcie się ze śmiercią. Jak każde dziecko nie potrafiłam jej zrozumieć.

„Bóg daje i zabiera” - brzmiał epigraf, który mama Ada wybrała dla swojego dziecka. Susan, nietknięty kwiatusek, miała zaledwie dwa i pół roku. Bóg podarował mi siostrzyczkę, którą pokochałam jak nikogo innego, a potem ją zabrał.

Stojąc nad jej grobem - porośniętym kwiatami wśród których pszczoły szukały pożywienia - myślałam o tym, że Sue jest już w raju. Czułam się nieskończenie samotna bez mojej siostrzyczki, którą tak bardzo chciałam się opiekować. Sama byłam jednak za mała, żeby móc ją ochronić. Nie mogły tego zrobić także Efe i Jem, choć wszystkie przyrzekałyśmy sobie strzec małej. Moim pocieszycielem stał się Corn - przyjaciel, który uratował mi życie.

Oczywiście ojciec David kochał i mnie, i swoją córeczkę Sue, którą widział dwa razy. Ale w tym czasie mieszkało w haremie ponad trzydzieści córek. Kiedy o tym rozmyślałam, zastanowiło mnie, czy serce ojca może naprawdę być aż tak pojemne, by zmieścić w sobie miłość do tylu dzieci. Wszyscy mieliśmy być tak samo traktowani i była to na pewno dobra zasada. Ale wówczas, mając dziesięć lat, po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czy kierując się nią można być sprawiedliwym wobec pojedynczego człowieka. Jeśli chodziłoby o mnie, nie odważyłabym się zadać głośno tego pytania. Ale Sue naprawdę potrzebowała pomocy ojca.

\*\*\*

## **Brat Jo.**

Niespodziewana śmierć Sue, trzy tygodnie po naszym powrocie na farmę, bardzo mnie zmieniła. Stałam się małomówna i nie miałam ochoty uczęszczać na lekcje Okereke.

Razem z Cornem zaszywaliśmy się w kryjówkach, gdzie nikt nie mógł nas znaleźć. Mama była w tym czasie bardzo zajęta, a moje matki chrzestne i siostry pomagały jej. Dla Ady ciężka praca była jedynym sposobem poradzenia sobie ze stratą Sue. Już prawie w ogóle się nie odzywała. Żeby nie nazywano mnie leniem, zabrałam się do wyplatania koszy. Od sztywnego palmowego łyka krwawiły mi palce, ale przynajmniej było widać, że coś robię.

W innej pracy na farmie nie mogłam pomagać. Mama zamówiła w Niemczech pompy wodne, które wkrótce miały zostać dostarczone. Najpierw trzeba było zamontować niezliczoną ilość rur do nawadniania. Wszyscy ciężko pracowali, nawet Okereke. Mama chciała bowiem wykorzystać najbliższy deszcz i tak nawodnić pola, żeby rośliny wzrastały po zakończeniu pory deszczowej. Jej sposób myślenia był bardzo europejski. W moim kraju ludzie po prostu cieszą się z tego, że pada. Mama planowała długoterminowo, a dzięki pieniądzom z Niemiec mogła te plany urzeczywistnić.

Pewnego wieczora, przy kolacji, dowiedziałam się, że mama poprosiła ojca Davida o kogoś do pomocy przy montowaniu systemu nawadniającego. Myślała przy tym o jakiejś młodej silnej kobiecie lub młodym małżeństwie, które mogłoby zamieszkać w dawnej służbówce. Na wsi szybko traci się poczucie czasu, dlatego nie wiem, ile trwało nasze oczekiwanie. Pewnego dnia usłyszałam odgłos silnika. Był to stary motor, który zbliżał się do nas po wyboistej drodze. Na motorze siedział młody mężczyzna. Corn, głośno szczekając, wybiegł mu naprzeciw.

Wszyscy byli akurat zajęci pracą na farmie. Siedziałam sama i wyplatałam kosze. Nieśmiało ruszyłam w stronę przybysza, nie zapominając o zakryciu twarzy białą chustą. Nie podchodząc zbyt blisko, spytałam czego sobie życzy.

- Mam się zgłosić do mamy Lisy - powiedział speszony i spuścił wzrok. Odparłam, że nie ma jej w domu. Spytał więc o mamę Bisi, ale odpowiedź była ta sama. Wtedy spojrzął na mnie bezradnie.

Był to szczupły mężczyzna, wyglądający raczej na chłopca, o odstających uszach i wielkich oczach. Po uciążliwej jeździe dotarł do nas cały spocony. Corn od razu położył się u jego stóp. Zaufałam psiej intuicji i zaproponowałam przybyszowi wodę. Wypił duszkiem.

- Ojciec David przysłał mnie do was - wyjaśnił - do pomocy.

Miał na imię Jo i był jednym ze starszych synów mamy Bisi. Gdy się urodziłam, nie mieszkał już w haremie, dlatego go nie znałam.

- Przyjechałeś nam pomóc? - spytałam zaciekawiona. Mężczyzna pokiwał głową. Było to zaskakujące z dwóch powodów. Po pierwsze, ponieważ pracą w polu zajmowały się kobiety, po drugie dlatego, że dotąd jedynym mężczyzną na farmie był stary Okereke. Jo

powiedział, że podróż do nas z Ibadan zajęła mu pięć dni. Wracając z Lagos jechaliśmy przez Ibadan, stąd wiedziałam, że to naprawdę długa droga. Zwłaszcza takim starym rozklekotanym motorem. Przyniosłam Jo gari i zupę z okry, które zostały nam ze śniadania. Zjadł z wielkim apetytem.

- Znasz się na pracy w polu? - spytałam. Jo opowiedział, że przez ostatnie sześć lat pracował na farmie w pobliżu Ibadan.

- Prowadzi ją ojciec Felix - dodał.

To imię nic mi nie mówiło, więc Jo wyjaśnił mi, że ojciec Felix jest jednym z zastępców ojca Davida w Rodzinie Czarnego Jezusa. Jego Rodzina w Ibadan należy do największych w kraju.

- Ale cieszę się, że mogłem się stamtąd wyrwać - powiedział Jo. Ojciec Felix był według niego wybuchowym człowiekiem. Kiedy się wściekał, potrafił uderzyć którąś z żon lub dzieci.

Nigdy nie widziałam, żeby mój ojciec tak się zachowywał. Dlatego patrzyłam na przybysza z niedowierzaniem.

- Ojciec Felix jest na pewno sprawiedliwym człowiekiem. W przeciwnym razie ojciec David nie darzyłby go takim zaufaniem.

Jo milczał, a ja więcej nie pytałam. Ale od tej chwili, zawsze kiedy była mowa o ojcu Felixie uważnie się przysłuchiwałam.

Jo zamieszkał razem z Okereke w dawnej służbówce. Mama Ada i mama Bisi pomogły mu urządzić pokój. Bisi właściwie nie знаła swojego syna. W chwili przybycia na naszą farmę miał dwadzieścia jeden lat, a od matki oddzielono go, gdy miał ich sześć. Było to zwyczajem w haremie w Lagos. Obie swoje młodsze siostry, Efe i Jem, także poznał dopiero na farmie. Wcześniej widywali się, co prawda, na różnych rodzinnych uroczystościach, ale nie były to okazje sprzyjające bliższemu poznaniu i dłuższej rozmowie. W gospodarstwie spotkali się więc jako całkiem obcy sobie ludzie.

Efe, która była bardziej otwarta, starała się być na farmie w pobliżu Jo. Jem, owszem, uważała brata za dobrego pracownika, ale poza tym twierdziła, że jest durniem. Jem miała wtedy czternaście lat i zaczynała interesować się chłopcami. Sądzę, że nie bardzo wiedziała, jak zachowywać się wobec tego obcego, umięśnionego mężczyzny. Mnie, dziesięcioipółletniej dziewczynce, obecność Jo nie zmąciła spokoju. Jego pojawienie się było po prostu miłą odmianą.

Z pomocą Jo udało się zainstalować system nawadniający, dzięki czemu następne zbiory były obfite jak nigdy dotąd. Mama musiała prosić o pomoc w polu kobiety z

oddalonych od nas wsi. Rok, w którym najpierw zmarła Sue a potem przybył do nas Jo, był od założenia farmy najlepszym dla niej czasem. Kiedy Ojciec David ponownie nas odwiedził, obiecał, że w nagrodę za tyle wysiłku, wybuduje dla nas większy kościół.

Co prawda mama planowała zainwestować zyski w kolejne systemy nawadniające, w nasiona i nowszy mocniejszy traktor, ale nie miała odwagi sprzeciwić się postanowieniu męża. Z perspektywy lat myślę, że miała pełne prawo do realizacji własnych planów, ponieważ farma zawdzięczała swój sukces urządzeniom kupionym za pieniądze z jej spadku. Zamiast tego powiedziała jednak:

- Nasz kościół jest rzeczywiście za mały i zaczyna się rozpadać.

Właściwie Jo powinien po udanych zbiorach wrócić do ojca Felixa do Ibadan. Ale pewnego dnia popsuł mu się motor i mój brat nie mógł znaleźć do niego odpowiedniej części zamiennej. Z tego powodu jego wyjazd się opóźnił, co mnie zresztą bardzo cieszyło. Jo potrafił odpędzać ode mnie złe myśli. Nigdy nie robił żadnych uwag na temat mojej nogi. Traktował mnie jak przyjaciela. W towarzystwie Corna chodziliśmy często wzdłuż rur nawadniających, sprawdzając czy dobrze są przykręcone. Przymykaliśmy studzienki, w których zbierała się woda i wyłączaliśmy z obiegu te, które wyschły. W krótkim czasie znałam nasze pola lepiej niż mama, której zdawałam dokładne relacje z naszych oględzin.

Pewnego wieczora usłyszałam rozmowę moich mam. Bisi chciała, żeby Jo został na farmie!

- Spójrz na Chogę, droga Liso - mówiła mama Bisi. - Dobrze jej robi przebywanie ze swoim starszym bratem. To dobry chłopak i bardzo pomógł naszej małej po stracie ukochanej siostrzyczki.

- Ojciec David nie jest zadowolony z tego, że Jo tak długo tu został - odparła moja mama. - Poza tym ojciec Felix go potrzebuje. Taka była umowa.

- Zastępca Davida ma dużą rodzinę, a nas jest tak niewiele - mama Bisi wysunęła rzeczowy argument. Miała racje. Nasze dwudziestohektarowe gospodarstwo prowadziło pięć dorosłych osób i trzy dziewczynki. Gdybyśmy nie miały pomocy przy zbiorach, większość owoców naszej ciężkiej pracy poszłaby na marne.

- Mimo to - mama była nieugięta - nie mamy prawa kwestionować postanowień ojca Davida.

- Mój syn powiedział, że bardzo cierpiał na farmie w Ibadan. Felix Egbeme to porywczy i niesprawiedliwy człowiek. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego ojciec David tak go ceni.

Nadstawiłam uszu nie ujawniając, że podsłuchuję.

- Nie zrozum mnie źle, Bisi - usłyszałam głos mojej matki - myślę o ojcu Felixie tak samo jak ty. Jednak sprawa jest bardziej skomplikowana niż ci się wydaje. To właśnie on powinien być tu, na naszym miejscu. Takie było pierwotne postanowienie naszego męża. Wiesz, że przekonanie go do tego, że my trzy tu sobie poradzimy, zajęło mi całe lata.

- Ojciec Felix nigdy nie zadałby sobie trudu, żeby odbudować tę farmę! - mama Bisi zaśmiała się szyderczo. - Praca nie należy do jego zainteresowań.

- Widziałam jego farmę. Jest marnym gospodarzem. Nie troszczy się ani o swoją ziemię, ani o maszyny - przytaknęła moja mama.

- Swoją ziemię! - wtrąciła zdenerwowana Bisi. - Jesteś zbyt skromna, Liso. Przecież to jest właściwie twoja ziemia.

- Nasza - poprawiła mama. Jej głos brzmiał dziwnie miękko. - Cieszę się, że możemy tu razem mieszkać.

- I jesteśmy szczęśliwe bez mężczyzny. Ojciec Felix nie dba o dobro swojej Rodziny. Myśli tylko o sobie - powiedziała rozczarowana mama Bisi.

- To prawda. Poza tym Jo jest twoim synem. Bardzo go lubię. Niech zostanie! Musimy tylko znaleźć jakiś sposób, żeby przekonać ojca Davida do tego pomysłu. Na pewno coś przyjdzie nam do głowy.

Spisek został przypieczętowany śmiechem. Kiedy ostrożnie się wychyliłam, zobaczyłam moje obie mamy w przyjacielskim uścisku. Można było wyczuć pomiędzy nimi prawdziwą więź, taką na dobre i na złe.

Następnego dnia opowiedziałam Jo o tej rozmowie. Na jego twarzy pojawił się przebiegły uśmiech.

- Mam pewien pomysł, który spodoba się ojcu Davidowi - Jo pokazał mi dwa podłużne i grube kawałki drewna. - Wyrzeźbię z tego krzyż do naszego ołtarza i figurę Chrystusa.

Na moich oczach Jo przystąpił do pracy. Wkrótce nie wystarczyło mi samo przyglądanie się. Zabrałam się za rzeźbienie drugiego kawałka drewna, który miał tworzyć poprzeczne ramiona krzyża. Mieliśmy tylko jeden hebel, jedną piłę i jeden nadający się do rzeźbienia nóż, ale już po kilku dniach można było z łatwością rozpoznać co robimy. Kilka dni później udało mi się podsłuchać kolejną rozmowę Bisi z moją mamą.

- Widzisz, ten chłopak jest tu naprawdę potrzebny - mówiła moja chrzestna.

- To jest właśnie ten pomysł, którego szukałyśmy, żeby przekonać ojca Davida - ucieszyła się mama. A mnie rozpieierała wewnętrzna radość, że się do tego troszkę przyczyniłam...



Wkrótce Jo przekazał mi dokończenie krzyża, sam zaś zabrał się za rzeźbienie figury czarnego Chrystusa. Na początku nie wierzyłam, że ze zwykłego kawałka drewna uda mu się wyczarować postać człowieka. Ukończone dzieło było tak dobre, że zachwyciło ojca Davida, który jeszcze w tym samym roku poświęcił nasz nowy kościół. Ponieważ w pobliżu naszej farmy można było znaleźć dużo odpowiednich kawałków drewna, Jo pozwolono założyć mały warsztat, w którym oprócz sztuki, mógłby tworzyć również krzesła i stoły. Nikt nie wspominał już o tym, że mój brat musi nas opuścić. Z czasem Jo nauczył mnie trochę podstaw rzeźbiarstwa. Co prawda nigdy nie udało mi się wyrzeźbić Chrystusa, ale na proste figurki zwierząt mój talent wystarczał.

W czasie gdy nie było pracy w polu, do warsztatu zaglądało coraz więcej kobiet, które w sezonie pomagały przy zbiorach. Przychodziły także moje siostry, Jem i Efe. Z ogromną radością pokazywałam im czego nauczył mnie Jo. W ten sposób powstała prawdziwa mała produkcja drewnianych figurek, naczyń i madonn, szybko i z wprawą rzeźbionych przez mojego brata. Mama postanowiła, że spróbujemy sprzedać je na targu, dzięki czemu zyskamy trochę pieniędzy na utrzymanie.

Gdy minęło już niebezpieczeństwo, że Jo będzie musiał opuścić naszą farmę, jakoś udało mu się zreperować motor. Mój brat zaproponował, że pojedzie nim na targ. Twierdził, że wcześniej często pomagał sprzedawać różne produkty na rynku. Mama Bisi miała pojechać razem z nim.

Gdy następnego ranka usiadła na motorze razem z synem, wszyscy wybuchnęli śmiechem. Była po prostu za duża.

- Weź Chogę - zaproponowała. - Ona jest drobna, możecie więc przewieźć dużo rzeczy - ucałowałam moja chrzestną w oba policzki. Nie mogła mi sprawić większej radości!

- Ale załóż zasłonę na twarz! - zawołała mama, gdy wyszłam na podwórko i szykowałam się do drogi.

Na plecach miałam wielką chustę wypełnioną rzeźbami. Oprócz nich spakowałam kilka glinianych misek z warzywami - niemiecką specjalnością mamy, bardzo przez wszystkich lubianą.

Jazdę motorem wyobrażałam sobie jednak nieco inaczej. Jo chyba też, bo nie ujechaliśmy zbyt daleko. Z dwiema osobami i tyloma bagażami motor był przeciążony, szybko więc pękła opona. Na szczęście na złej drodze nie mogliśmy szybko jechać, upadek był więc łagodny. Oboje tak bardzo cieszyliśmy się na ten targ, że nawet nie przyszło nam do głowy, żeby zawrócić. Zamiast tego pchaliśmy motor aż do Jeba. Zakładaliśmy, że podróż będzie trwała najwyżej trzydzieści minut. Tymczasem zajęła nam trzy godziny. Lepsze

miejsca były już pozajmowane. Musieliśmy zadowolić się tym, które było wolne. Rozłożyliśmy nasze maty z rafii.

Warzywa, które mama przyrządziła według niemieckiego przepisu, rozeszły się bez problemu. Natomiast moje figurki sprzedawały się kiepsko. Podobne, a nawet ładniejsze, oferowały również inne kobiety na targu. Za to madonny, których za pierwszym razem wzięliśmy tylko cztery, wrywano nam dosłownie z rąk. Za zarobione pieniądze mogliśmy naprawić oponę. Reszty zostało jeszcze więcej niż się spodziewaliśmy.

Od tego dnia z niecierpliwością wyczekiwałam soboty. Sukces madonn przekonał mamę. Od razu przerwaliśmy się na wykonywanie właśnie tych figur. Jo nauczył Efe, Jem i mnie jak rzeźbić twarze. Tygodniowo robiliśmy co najmniej trzy, a w najlepszych czasach nawet sześć sztuk!

W przeciwieństwie do nas, dziewcząt, Jo widział już kawałek świata. Podczas rzeźbienia wypytywałyśmy go ciągle o mnóstwo rzeczy. Na początku był nieśmiały, potem jednak opowiadał coraz chętniej. Najczęściej o ojcu Felixie i farmie koło Ibadan. Życie tam nie wydawało się tak beztroskie jak w haremie ojca Davida. Co prawda ojciec Felix miał znacznie mniej żon niż mój ojciec, ale wszystkie patrzyły na siebie z zazdrością. A głównym tematem były pieniądze. Zawsze ich brakowało, dlatego ciągle na wszystkim oszczędzano.

Mój brat opowiadał o świecie, który był mi zupełnie obcy. W Lagos niczego nam nie brakowało. W Jeba mama musiała borykać się z różnymi problemami, ale tutaj mieliśmy też niewygórowane potrzeby. Żadnej z nas, nawet próżnej Jem, nie przyszło do głowy, żeby mieć więcej niż trzy sukienki na cały rok. Jedną na niedzielne msze i dwie na co dzień, noszone na zmianę. Codziennie trzeba było je prać, ponieważ biały kolor jest zupełnie niepraktyczny do pracy w polu. Bardzo lubiłam ten okres mojego życia. Żyliśmy wtedy tak skromnie.

Z tego co opowiadał Jo wynikało, że życie w Ibadan było zupełnie inne. Zdaje się, że to przez samego ojca Felixa ciągle brakowało tam pieniędzy. Zamiast troszczyć się o swoich podopiecznych, okazywał względy wciąż nowym kobietom, rozpieszczając je prezentami. Każda z nas musiała właściwie sama stworzyć sobie obraz tego człowieka, ponieważ Jo w swoich opowieściach tylko niejasno napomykał o pewnych sprawach, na przykład o dzieciach ojca Felixa, z których nie wszystkie pochodziły z prawego łoża.

Miałam więc dość złe zdanie o zastępcy mojego ojca. Ale cóż on mnie obchodził? Ibadan było przecież daleko stąd. Słuchałam tych opowieści głównie z tego powodu, żeby móc bardziej cieszyć się moim życiem na farmie. Wszystko było tu takie małe, przewidywalne i spokojne. Często na dłużej zaglądałam do naszego małego kościoła, klęczałam przed czarnym Jezusem i dziękowałam Bogu, że tak bardzo się o nas troszczył.

\*\*\*

## Grzech.

Motor Jo był już stary i mój brat musiał o niego bardzo dbać. Jednak nawet to nie pomogło i pewnego dnia w drodze na targ silnik ostatecznie odmówił posłuszeństwa. Na szczęście było to niedaleko od Jeba. Podczas gdy ja zajęłam się sprzedażą naszych towarów, mój brat udał się do warsztatu. Po raz pierwszy sprzedawałam sama, co zresztą nie robiło mi wielkiej różnicy. Jo znalazł sobie na targu kolegów i zazwyczaj gadał z nimi przez cały czas, stojąc gdzieś w pobliżu. Za to ja starałam się zachowywać w sposób jak najmniej rzucający się w oczy i raczej unikałam kontaktu z innymi ludźmi. Wystarczyło, że mój biały strój wyróżniał się wśród kolorowo ubranych kobiet. Zazwyczaj rozluźniałam chustę tak, że zakryte miałam właściwie tylko włosy. W ten sposób łatwiej było mi znieść upał.

Targ w Jeba bardzo rzadko odwiedzali Europejczycy, gdyż turystyczne atrakcje JosPlateaus (ciekawe formacje skalne, park Yankari czy słynny skansen w Jos) znajdują się około sześćdziesięciu kilometrów stąd. Ale właśnie tego dnia zjawił się na targu biały mężczyzna, który stanął przy mojej macie. Wlepiłam w niego wzrok, chociaż moje wychowanie mi tego zabrania. Mężczyzna pochylił się nad rozłożonymi przede mną towarami i kolejno brał je do ręki.

- To nie wygląda na pochodzące z tych stron - powiedział po angielsku.

- Wszystko robimy sami - odpowiedziałam. Nieznajomy wziął do ręki jedną z glinianych mis z warzywami.

- Zrobiła to twoja matka? - zapytał. Pokiwałam głową. - A skąd ona pochodzi?

- Z Niemiec. Zrobiła to według niemieckiego przepisu. Smakuje wyśmienicie - wyjaśniłam, i podałam cenę.

- Jak masz na imię? - spytał tym razem po niemiecku. Odpowiedziałam bez zastanowienia.

- To ty mówisz w moim języku?

Mężczyzna chciał się jak najwięcej o mnie dowiedzieć i usiadł koło mnie na ziemi. Mimo że zazwyczaj handel szedł dobrze, tym razem żadna z moich stałych klientek nie miała odwagi podejść bliżej. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Co powiem w domu, gdy wrócę bez zarobku? A na domiar złego jeszcze ten zepsuty motor, na który z pewnością potrzeba dużo pieniędzy!

Wreszcie biały mężczyzna zainteresował się madonnami, z których zostały jeszcze cztery. Pytał, dlaczego sprzedaję „właśnie to”, a nie tradycyjne afrykańskie wyroby.?’

- Ponieważ Madonna jest bardzo piękna - odpowiedziałam szczerze.

- Ale ona jest czarna - stwierdził.

- Tak - spojrzałam na niego zdziwiona.

Nad tym nigdy się nie zastanawiałam. Dla mnie Jezus Chrystus też był czarny. Innego nie znałam.

- Wiesz co - powiedział nieznajomy - kupię od ciebie wszystkie twoje madonny i wszystkie warzywa.

- Ale naczynia muszę dostać z powrotem. Mama potrzebuje ich do następnych porcji - odparłam. Wszystkie moje klientki zawsze zwracały naczynia.

- Ok. Będziesz tu w następną sobotę? - mężczyzna przez chwilę się zastanawiał. Skinęłam głową. Cudzoziemiec bez pytania położył przede mną kilka banknotów. - Wystarczy? - Energicznie wzięłam pieniądze, przeliczyłam i pokiwałam głową. - A więc do zobaczenia za tydzień. I jeśli możesz, przywieź więcej - pozbiierał swoje zakupy i odszedł. Siedziałam w milczeniu przed matą, na której zostały tylko dwie puste miski, zwrócone dziś rano przez jedną z klientek.

Gdy przyszedł Jo, nie wiem który już raz przeliczałam pieniądze od białego mężczyzny. Suma, jaką mi dał, była równa utargowi z siedmiu sobót. Jo oniemiał. Opowiedziałam mu, co się wydarzyło. Potem ruszyliśmy pieszo w stronę farmy. Słońce prażyło, a powietrze było suche. Od długiego marszu bolały mnie nogi.

- A co z motorem? - spytałam. Aż do tej chwili zupełnie o nim zapomniałam.

- Mechanik z warsztatu twierdzi, że potrzebny jest nowy silnik. Ale jest bardzo drogi.

- Ile kosztuje? - Gdy Jo podał cenę, szybko przeliczyłam w myślach. Jeśli mój klient przyszedłby trzy razy, wystarczyłoby pieniędzy. Nie musiałabym iść pieszo. Wyczerpana usiadłam na piaszczystej ziemi.

- Mama Lisa nie oczekuje aż tylu pieniędzy - powiedziałam wreszcie. - Możemy część zachować. I następnym razem również - zastanawiałam się głośno, nie patrząc na brata. - Mógłbyś wtedy naprawić motor.

- To grzech, Choga. Nie można tak nawet myśleć. Te pieniądze należą do Rodziny. Nie możemy ich zatrzymać.

- Tak, wiem - wstałam i poczłapałam dalej. Po chwili musiałam jednak znów się zatrzymać.

- Poniosę cię - powiedział Jo. Wziął mnie na plecy i niósł przez całą drogę aż do farmy. Już prawie zmierzchało, gdy wreszcie dotarliśmy do domu.

Nie chciałam grzeszyć. Ale nie chciałam też chodzić pieszo na targ i z powrotem. Jedynym wyjściem był czterokołowy wózek ręczny, taka stabilna, ale i ciężka przyczepka. Gdy była załadowana, mógł ją pociągnąć jedynie taki silny mężczyzna jak Jo. Nie przyszłoby mi nawet do głowy, żeby na niej usiąść i kazać się ciągnąć, jak jakąś księżniczkę.

Musiałam znaleźć jakieś wyjście. Opowiedziałam matce o białym mężczyźnie i przekazałam jej zarobione pieniądze, ale nie wszystkie. Nikt się o tym nie dowiedział, ponieważ Jo przy tym nie było. Zatrzymałam jedną czwartą sumy. Zapakowałam w plastikową torebkę i schowałam ją do blaszanej puszki. Tę zaś zakopałam pod krzewami bugenwilli. Było mi wstyd, że ani przez chwilę nie miałam wyrzutów sumienia. Byłam nawet troszkę dumna ze swojego sprytu. W tym momencie nie myślałam o moich starszych siostrach, które harowały znacznie ciężiej niż ja.

Mama nie przejęła się zbytnio motorem Jo.

- Poradzimy sobie i bez niego - powiedziała. - Mamy przecież jeszcze stary traktor. Okereke może wozić cię nim na targ. Jeśli ten Niemiec będzie chciał kupić więcej, lepiej nawet wziąć traktor i przyczepę.

Zbliżał się właśnie okres dojrzewania batatów, Jo był więc niezbędny do pracy przy zbiorach. Gdy dotarliśmy do miasta, moja obawa, że Okereke będzie przez cały czas siedział ze mną, okazała się zbyteczna. Nauczyciel wysadził mnie na targu i pojechał dalej.

Tym razem Niemiec przyszedł ze swoją białą żoną i czarnym pracownikiem. Kobieta wskazała na marynowane warzywa i wykupiła prawie wszystkie, oddając w zamian stos pustych, umytych naczyń. Powiedziała, że smakowały wyśmienicie i wypytywała o moją matkę. Ta zaś jeszcze w domu kategorycznie zabroniła mi zdradzać, gdzie znajduje się nasza farma.

- A dlaczego? - spytałam mamę.

- Chcemy mieć tutaj spokój - odpowiedziała. Zgodziłam się z nią.

- Jesteście jedynymi Niemkami jakie mieszkają na farmie? - chciała dowiedzieć się kobieta na targu.

- Jestem Nigeryjką - odpowiedziałam.

Spytali, czy byłam już w Niemczech i kim jest mój ojciec. Byłam zła. Pomyślałam o mojej blaszanej puszcze i o pieniądzech, które chciałam zarobić na naprawę motoru Jo.

- Mogę prosić o pieniądze? - spytałam cicho. Mężczyzna sięgnął do torby i położył przede mną mały stos banknotów. Pośpiesznie je schowałam, nie przeliczając dokładnie. Widziałam, że dostałam więcej niż pierwszym razem.

Wtedy nieznajomi znów poruszyli temat czarnych madonn i chcieli wiedzieć, dlaczego je rzeźbimy. Pytali, czy ja też wierzę w to, że Jezus był czarnoskóry.

- Tak - odpowiedziałam.

- A twoja mama też w to wierzy? - pokiwałam głową - Ale nie zawsze przecież wierzyła w takiego Jezusa Chrystusa?

Pamiętam, że spojrzałam na buty obojga. Były ze skóry, z nowej skóry.

- „Musi być bardzo przyjemnie chodzić w takich butach” - pomyślałam. Przypomniałam sobie Magdalene, moją niemiecką siostrę. Czy ona też nosiła takie buty biegając po zielonej łące pełnej rumianków?

- Daj dziecku spokój - powiedział mężczyzna. Jeszcze raz dał mi pieniądze i wziął pięć madonn, które wyrzeźbiliśmy w ostatnim tygodniu. Z powodu zbiorów batatów nie mieliśmy czasu wykonać więcej, mimo że ja sama zrobiłam trzy.

- Jesteś szczęśliwa, moje dziecko? - spytała Europejka. Wciąż patrzyłam na jej buty. Miała białe szczupłe stopy.

- Mogę przymierzyć pani buty? - wypaliłam bez skrępowania.

Kobieta odpięła sandały i podała mi. Włożyłam je i wstałam. Były o wiele za duże. Mimo to zrobiłam kilka kroków.

- Mój Boże, ona jest kaleką - usłyszałam głos kobiety za moimi plecami.

- Przecież ona cię rozumie! - szepnął jej mąż.

Buty były mięciutkie, zupełnie inne niż te, które dostałam w Lagos, i w których czułam się na jak na szrudłach. Te tutaj bardzo miło było mieć na nogach. Oddałam je właścicielce. Włożyła je bez słowa i odeszła wraz z mężem. Nigdy jej już nie widziałam. Mężczyzna przyszedł jeszcze trzy razy ze swoim pracownikiem, za każdym razem wykupując prawie cały towar jaki miałam i płacąc sownie.

Czwartą część każdego z tych utargów chowałam w bieliźnie. Gdy oddawałam mamie resztę, niepostrzeżenie zaszywałam się w mojej kryjówce i przekładałam pieniądze do puszek. Niestety ani Niemiec, ani jego żona nie pojawili się więcej, więc znów zarabiałam tyle co przedtem.

- Szkoda - mówiła mama - te pieniądze bardzo nam się przydawały.

Kiedy tylko nadarzała się okazja, wyciągałam moją puszkę i przeliczałam kolorowe banknoty. Miesiącami musiałabym jeździć na targ, żeby tyle zarobić. Teraz pojawił się zupełnie inny problem: jak mam dać te pieniądze Jo? Bez wątpienia spyta mnie, skąd je mam. Miałam w rękach tyle pieniędzy i nie wiedziałam, co z nimi zrobić. Pewnej niedzieli

siedziałam w kościele i spoglądałam na czarnego Jezusa, wyrzeźbionego przez Jo. Wydało mi się, że do mnie przemówił:

- To grzech.

Od tej chwili przed każdym wyjazdem na targ wyciągałam z mojej puszkii kilka banknotów i chowałam pod ubraniem. Wieczorem dokładałam je do utargu i wszystko razem oddawałam mamie.

Wiedziałam, że te pieniądze bardzo się nam przydają. A jednak mama, zauważywszy wyższe zarobki, upomniwała mnie, żebym więcej nie podnosiła cen.

- Ludzie są biedni, Choga Regina. Pomyśl o tym i postępuj po chrześcijańsku. Żądaj tylko tyle, ile rzeczywiście musisz wziąć za dany towar i nie oszukuj nikogo.

Nie miałam więcej odwagi oddawać mamie pieniędzy z mojej puszkii. Pozostałam przy dotychczasowej kwocie.

Wtedy, pewnego dnia, na targu moją uwagę przykuła handlarka sprzedająca buty bardzo podobne do tych, jakie nosili Niemcy. Gdy zaciekawiona kręciłam się wokół jej stanowiska, namówiła mnie do przymierzenia. Pasowały jak ulał. Jednak ich nie kupiłam, mimo że stać mnie było na trzy pary. Nie wiedziałam, kiedy miałabym je nosić. Nikt z mojego otoczenia, nie używał butów - poza matką, która jadąc w pole, musiała naciskać ciężkie pedały traktora.

W ten oto sposób przygoda z białym małżeństwem była dla mnie nauką, jak obchodzić się z pieniędzmi. Otóż posiadanie to nie wszystko. Trzeba wiedzieć, jak je wydawać. To doświadczenie pozostawiło we mnie ślad do dziś. Dlatego zupełnie nie rozumiem, dlaczego jedni jeżdżą drogimi samochodami, inni zaś muszą chodzić pieszo, bo są zbyt biedni. Ci ostatni zawsze będą patrzeć na bogatych z zazdrością. A zazdrość nie powinna istnieć na świecie.

\*\*\*

## **Niespełniona prośba.**

W pewnym okresie mocno wyrosłam. Mając niecałe trzynaście lat byłam prawie wzrostu mamy. Niestety pogorszyło to stan mojej nogi. Za to żyjąc na farmie rozkwitałam.

- Będiesz śliczną młodą kobietą - powiedziała mama Bisi, a moja mama przyznała jej rację.

- Ojciec David na pewno niedługo poszuka ci jakiegoś młodego męża - dodała Ada.

Popatrzyłam na nie zdziwiona.

- Mnie nikt nie poślubi, przecież jestem kaleką.

Żadna z mam nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Wtedy moja mama wstała i pogłaskała mnie po głowie.

- Co ty wygadujesz, Choga Regina? Kto ci naopowiadał takich rzeczy? - powiedziała łagodnym tonem.

- Ktoś - wzruszyłam ramionami. Mama próbowała mnie wypytać, ale nic nie powiedziałam.

Tymczasem Jo zaczął rzeźbienie nowej figury Madonny. Była większa od tych, które sprzedawaliśmy na targu. Mój brat poświęcał tej pracy wiele czasu i często miałam wrażenie, że nie chce, żebym się przyglądała. Gotowy posąg zobaczyłam dopiero w Święta Bożego Narodzenia. Mama Ada i mama Bisi specjalnie zbudowały mały ołtarzyk w podłużnej części naszego nowego kościoła. Madonna miała na sobie długą białą suknię. Obie mamy twierdziły, że wszystkie kobiety oczekujące dziecka powinny modlić się do „białej Madonny”. Dlatego często można było zobaczyć klęczące przed nią ciężarne kobiety z okolicy.

Jo stworzył przepiękną figurę. Użył całkiem jasnego drewna. Mama Bisi twierdziła, że wyrzeźbiona postać jest bardzo podobna do mnie, ale ja zupełnie tego nie widziałam. Gdy tylko zobaczyłam jasną Matkę Chrystusa, przypomniały mi się słowa kobiety z targu, że mama nie mogła zawsze wierzyć w czarnego Jezusa Chrystusa. Te słowa zapadły mi głęboko w pamięć.

Spytałam więc matkę:

- Czy Jezus i Maryja byli czarni, czy biali? A może tacy jak ja?

Zamiast odpowiedzi usłyszałam pytanie, dlaczego chcę to wiedzieć. Opowiedziałam mamie wreszcie historię z Niemcami.

- W Niemczech ludzie wierzą w białego Jezusa - przyznała mama.

- Ale on był przecież czarny - powiedziałam.

Mama opowiedziała mi historię wyrzucenia ojca ze szkoły, które było przyczynkiem do założenia Family Of The Black Jesus.

- Ale właściwie to, jaki kto ma kolor skóry, nie powinno odgrywać żadnej roli. Ważne, żeby być dobrym człowiekiem - dodała.

- A jeśli będę kiedyś miała dzieci jaką będą miały skórę? - spytałam.

- Bóg nie patrzy na kolor skóry, ale na czystość serca - usłyszałam odpowiedź.

Długo zastanawiałam się nad tą rozmową. Chętnie spytałabym o zdanie moje siostry lub Jo, ale nie odważyłam się. Bałam się, że mnie wyśmieją. Gdy pewnego ranka klęczałam przed białą Madonną, już sama nie wiedziałam, czy mam Ją prosić o dziecko białe - czy czarnoskóre. Wtedy wpadłam na pewien pomysł.



- Sama nie mogę się zdecydować, obdarz mnie więc dzieckiem, które będzie wyglądało jak moja mała siostra Sue - modliłam się.

Później pomyślałam, że znacznie ważniejsze jest co innego. Dziecko musi być zdrowe. Dlatego modliłam się, żeby moje maleństwo nie umarło, zanim samo nie będzie rodzicem.

Gdy opuściłam kościół, doznałam olśnienia. Wiedziałam już, co zrobić z oszczędnościami. Wyrzebałam spod krzaka bugenwilli moją puszkę i przeliczyłam zawartość. Potem pogłębiłam dołek i z powrotem wsunęłam do niego puszkę.

Kiedy ponownie stanęłam przed Madonną, wiedziałam już o co dokładnie chcę Ją prosić.

- Pomóż mi znaleźć lekarza, który uzdrowi moje dziecko, jeśli zajdzie taka potrzeba - błagałam. - Resztą zajmę się sama.

Byłam bowiem przekonana, że te pieniądze dostały mi się nieprzypadkowo. Dzięki nim mogę pomóc komuś, kto sam jest bezradny. Ta myśl mnie uspokoiła i poczułam się rozgrzeszona z tego, że nie oddałam mamie całego zarobku.

Tak myślałam mając trzynaście lat. Mój świat był mały. Nie wiedziałam, że życie dorosłych jest znacznie bardziej skomplikowane.

Nasza farma stała się jednym z najlepszych gospodarstw ojca Davida. On sam odwiedzał nas co kilka miesięcy. Kiedy u nas przebywał hucznie świętowano, zapraszając najbardziej wpływowych mężczyzn z Jeba. Ojciec chciał pokazać, że on - człowiek z odległego Lagos - liczy się i w tej okolicy. Compound było wtedy pełne obcych ludzi, których serdecznie gościliśmy. Były śpiewy, tańce i rozdawanie posiłków biednym dzieciom. Mama kontynuowała te tradycje, ale nie na taką skalę, jak robił to ojciec. On w swoich przemowach wciąż podkreślał, że farma tak dobrze się rozwija dzięki temu, że jesteśmy bogobojnymi ludźmi. Mnie nigdy by nie przyszło do głowy, że ta ciężka praca jest po to, żeby zebrać dobre plony.

Raz podsłuchiłam rozmowę mamy z ojcem Davidem. Chodziło o stary traktor, którym jeździliśmy na targ.

- Ciągłe się psuje - narzekała mama. - Naprawy pożerają więcej pieniędzy niż ten pojazd jest wart. Handlarz w Jeba może sprzedać mi prawie nowy w całkiem dobrej cenie. Zaoszczędziłam już potrzebne pieniądze.

- Macie przecież drugi traktor, który jeszcze jeździ. Inni mają tylko stare maszyny. Nie sądzisz, że lepiej byłoby pomyśleć najpierw o tych, którzy mają gorzej.

- Masz rację, Davidzie, jeśli ta farma dobrze funkcjonuje, to wszyscy z tego korzystają.

- Ale mimo to uważasz, że potrzebne wam dwa traktory?

- Farma ich potrzebuje. My żyjemy bardzo skromnie. Cieszymy się po prostu z każdego dnia. Wiesz, że nie wymagam niczego, co nie przyniesie korzyści wszystkim.

- Możesz mówić tylko za tych, których znasz. Ja muszę troszczyć się o dobro wszystkich - uciął rozmowę ojciec.

Moja matka wstała i poszła do swojego pokoju, znajdującego się obok mojego. Po krótkiej chwili wróciła niosąc plik banknotów, które ojciec od razu schował pod ubraniem. Oczywiście nie powinnam była podsłuchiwać tej rozmowy, więc nie było mowy o zadawaniu jakichkolwiek pytań. Ale i bez nich rozumiałam zachowanie ojca. Kierowały nim chrześcijańskie zasady.

Kilka dni po odjeździe ojca okazało się, że mama miała rację. Stary traktor zupełnie się popsuł i stanął w stodole. Musieliśmy powrócić do wariantu z wózkiem ręcznym. Wózek był tak ciężki, że sama nie dałabym rady zaciągnąć go na targ. Dlatego towarzyszył mi Okereke. Wyruszyliśmy jeszcze przed wschodem słońca z mocno przeładowanym wózkiem. Posapując ślimaczym tempem poruszaliśmy się naprzód. Zarówno dla nauczyciela, jak i dla mnie był to zbyt wielki wysiłek.

Staruszek, choć niechętnie, musiał skorzystać z mojej pomocy: on ciągnął, ja pchałam. Gdy dotarliśmy na targ było prawie południe i wielu klientów już sobie poszło. Ponad połowę naszych towarów musieliśmy więc zabrać z powrotem. Zwątpienie jest złym towarzyszem drogi. Zmierzchało, gdy wreszcie dotarliśmy do domu. Przez następne dwa dni prawie nie mogłam chodzić, tak bardzo bolały mnie nogi. Dodatkowo dręczyło mnie poczucie winy, że nie potrafię pomóc mojej Rodzinie.

Mimo to, oczywistym był dla mnie marsz do miasta w następną sobotę. Żadna z moich obu siostr nie odważyła się podjąć tego zadania: Jem nie potrafiła dostatecznie dobrze liczyć, a Efe była zbyt nieśmiała, żeby zażądać od klientki pieniędzy. Prawdopodobnie wszystko by rozdała. Dlatego znowu mógł mi towarzyszyć Jo, który co prawda chętnie zajmował się „kobiecą robotą” w polu, ale jeszcze chętniej przyglądał się interesom w mieście. Nie uszliśmy jednak daleko. Nadwyrężenie z zeszłego tygodnia dało się we znaki.

- Idź dalej sam - powiedziałam. - Sprzedasz wszystko także beze mnie. A ja poczekam tu, aż będziesz wracał.

- Chcesz tu cały dzień leniuchować, a ja mam się użerać z kobietami na targu! - Jo spojrzał na mnie spod oka. - W końcu wrócę z kilkoma kobo, a ty na mnie nakrzyczysz, że dałem sobie wejść na głowę. O nie, wolę już tak.

Po tych słowach Jo posadził mnie na wózku i sam ciągnął i towary, i mnie do miasta. Oczywiście miał dobre intencje. Jednak bezczynne siedzenie na wózku, podczas gdy mój brat pocił się ze zmęczenia, upokarzało mnie jeszcze bardziej, niż czekanie na niego przez cały dzień przy drodze. Nie chciałam, żeby traktował mnie jak kalekę.

- A czy to twoja wina, że nie możesz sprawnie chodzić - odparł Jo. - Masz za to mądrą głowę. Pasujemy do siebie: sprytna siostra i silny brat.

Nie tylko w takich momentach trochę żałowałam, że Jo jest moim bratem.

- Kobieta, z którą się ożenisz, będzie miała dobrze - powiedziałam.

- Ja wiem, z kim bym się ożenił.

- Znam ją? To jedna z dziewcząt, które nam pomagają?

- Znasz ją, ale nie doczekasz się mojego ślubu z nią. - Nie miałam pojęcia, że Jo jest nieszczęśliwie zakochany!

- No, powiedz, kto to! - naciskałam.

- Nie ma mowy - odpowiedział brat. Gdy to mówił, widziałam tylko muskularne ramiona, poruszające się w rytm jego kroków.

Dwa tygodnie później matka obserwowała nas, gdy wracaliśmy z targu. Ja siedziałam, Jo ciągnął. W jej oczach wyczytałam wyraźne niezadowolenie. Gdy mój brat oddalił się do siebie, mama powiedziała:

- Jo nie jest twoim sługą, Choga Regina. Rozumiem, że chodzenie sprawia ci ból, ale tak nie można. Musimy znaleźć inny sposób dostarczania towarów do miasta.

- Ale dla Jo to nie problem. On robi to chętnie - odważyłam się cichutko zaprotestować.

- Wiesz dobrze, że nie o to chodzi - ucięła mama.

W ten sposób skończyły się moje cotygodniowe wyjazdy na targ. Zamiast tego pewnego dnia pojawiły się ciężarówki, które zabrały nasze towary. Sobota, dotąd najważniejszy dzień tygodnia, stała się dla mnie nagle zupełnie zwyczajna. Od razu straciłam zapał do rzeźbienia madonn. Nie mogłam ich już przecież sprzedawać. Sama byłam temu winna, bo nie potrafiłam chodzić jak inni.

Podczas niedzielnych mszy klęczałam przed białą Madonną i zaklinałam Ją, żeby uczyniła ze mnie dziewczynkę taką jak inne. Taką, która może pracować i do czegoś się przydaje. Madonna nie spełniła jednak mojej prośby. Wymagałam od Niej zbyt wiele.

\*\*\*

## Naręczona w studni.

Pewnego dnia znów przyjechała do nas ciężarówka, która wzbijała za sobą tuman kurzu. Myślałam, że jak zwykle weźmie plony do miasta. Ale okazało się, że ta wizyta dotyczyła Jem. Mężczyzna, który przyjechał samochodem, chciał zabrać ze sobą córkę mamy Bisi, żeby ją poślubić. Moja siostra miała wtedy siedemnaście lat i była już w wieku, w którym Afrykanka zwykle rodzi dzieci. Jednak nikt nie powiedział ani jej, ani jej matce, że ojciec David znalazł dla niej męża! Ojciec Sunday zajechał, co prawda, białym mercedesem-furgonetką, co znaczyło, że jest ważną głową Rodziny, ale miał już z pięćdziesiąt lat, a do tego był gruby i o głowę niższy od Jem.

- Nie chcę być żoną takiego starego mężczyzny! - krzyczała Jem, gdy tylko zobaczyła swojego narzeczonego.

Obróciła się na pięcie, uciekła i gdzieś się schowała. Wszyscy musieliśmy jej szukać. Bez skutku. Dopiero po dwóch dniach przypadkowo znalazłam jej kryjówkę w starej, wyschniętej studni. Siedząc w niej przypomniła mi nasze dawne zabawy w Roszponkę na schodach w haremie. Zawsze chciała być uratowana, ale na pewno nie przeze mnie... Od czasu jej złośliwości na temat mojej nogi nasze stosunki nie były najlepsze. Na farmie - w przeciwieństwie do Efe - trzymała się ode mnie raczej z daleka, spędzając czas z dziewczynami, które pomagały w polu i były w jej wieku.

W tej chwili była załamana, a ja szczerze jej współczułam. Uważałam za niesprawiedliwość, że musi wyjść za mężczyznę trzy razy starszego od siebie. Dlatego wróciłam do domu i potajemnie przyniosłam jej swoją porcję jedzenia, nie mówiąc nic nawet jej własnej siostrze.

Z głębokiej kryjówki patrzyły na mnie jej błyszczące oczy.

- Przykro mi, Choga, że tak źle cię traktowałam - powiedziała.

Bezradnie wzruszyłam ramionami.

- Nie możesz przecież zostać tu na zawsze - stwierdziłam.

- Wolę siedzieć tu, w studni, niż poślubić tego faceta. Kiedyś musi przecież odjechać. Będę tu siedzieć tak długo, jak długo ty nie dasz mi umrzeć z głodu.

Ale wszystko potoczyło się inaczej niż planowałyśmy obie z Jem. Naręczony pojechał do miasta, zadzwonił do ojca Davida i opowiedział mu co zaszło. Wrócił na farmę i zadowolony wysiadł z samochodu. Starłam się być w pobliżu mojej mamy, mamy Bisi i ojca Sunday'a, bo chciałam usłyszeć co mówią.

- Ojciec David jest mądrym człowiekiem - zaczął ojciec Sunday. - Powiedział, że Efe jest również w wieku, w którym powinna już wyjść za mąż.

- Tak powiedział ojciec David? - spytała moja mama tak cicho, że ledwo dosłyszałam.

- Kilka miesięcy temu skończyła dopiero piętnaście lat - stwierdziła matka dziewczyny. W głosie mamy Bisi można było wyczuć niemal błagalny ton skierowany do narzeczonego.

- Efe, chodź tutaj! - zawołał ojciec Sunday rozkazującym tonem.

Niedaleko stodoły moja przyrodnia siostra zajęta była właśnie swoją ulubioną zabawą - rzucaniem kamyków do zardzewiałego garnka. He kamyków wypadnie, gdy podniesie się garnek, tyle się będzie miało dzieci.

Tego popołudnia Efe musiała przerwać swoją zabawę, gdyż właśnie rozpoczęło się jej dorosłe życie. Ojciec Sunday przyjrzał się dokładnie swojej przyszłej żonie.

- Jesteś ślicznym dzieckiem - stwierdził ze znawstwem. Efe zawstydzona wpatrywała się w ziemię. - Przystaję na propozycję ojca Davida! - oznajmił po chwili. - Twój ojciec powiedział, żebym cię od razu zabrał.

- Dokąd? - spytała zaskoczona dziewczyna.

- Zostaniesz żoną ojca Sunday'a - powiedziała mama Bisi prawie szeptem.

- Ale Jem... - Efe przerwała, spojrzała na kamienne twarze mojej mamy i Bisi.

Zrozumiała o co chodzi. Potem minęła moją kryjówkę i pobiegła do naszego wspólnego pokoju. Ruszyłam za nią. Leżała na macie i płakała. Głaskałam ją i próbowałam pocieszyć, ale mówiłam same głupoty. Kryjąc Jem, pchnęłam w ramiona tego starego mężczyzny siostrę, którą tak bardzo kochałam. Niechcący doprowadziłam do tego, że Efe musiała pójść w ślady Jem.

Otworzyłam szeroko okno.

- Uciekaj, sestro! Szybko, wtedy cię nie zabierze! Odwróciła się do mnie i spojrzała zapłakana.

- To nie mam sensu, Choga. I tak mnie znajdą.

W milczeniu spakowała swoje drobiazgi i dwie sukienki. Było tego tak niewiele, że zmieściło się do tekturowego pudełka. Objęłyśmy się, a potem wyszła z pokoju.

Żeby nieszczęście się nie powtórzyło, Efe została od razu zapakowana do samochodu. Wraz z narzeczoną dostała jeszcze yam, kukurydzę i nasiona. Po czym odjechała do Kaduna, do Rodziny, której głową był ojciec Sunday.

Mama Bisi była bardzo zła na swoją córkę Jem, która przyniosła jej tyle wstydu. Kobieta, z której ust nie słyszałam nigdy ani jednego złego słowa, aż kipiała z wściekłości.

Mój stary nauczyciel Okereke wyjaśnił nam, że poślubienie dziewczyny w taki sposób jest czymś normalnym.

Poszłam do mojej mamy i spytałam, czy i mnie ktoś pewnego dnia po prostu zabierze.

- Twój ojciec znajdzie ci męża, gdy przyjdzie na to czas - odpowiedział mama.

- A czy nie mogłabym go przedtem przynajmniej poznać?

- Miłość między mężczyzną i kobietą przychodzi z czasem - uspokajała mnie mama.

W końcu wszystkich nas uczono, że małżeństwa zawiera się, żeby mieć dzieci. Zgodnie z tą nauką zachowanie Jem było samolubne i podyktowane próżnością. To nie dziewczyna szuka sobie narzeczonego. To jej ojciec musi zadbać o to, żeby znaleźć męża, który będzie ją utrzymywał i szanował. Razem stworzą dom, który będzie opoką dla ich dzieci. Taki jest sens małżeństwa. Trzymając z Jem przeciwstawiłam się woli ojca, kierującego się dobrem mojej siostry.

Matka podejrzewała, że coś wiem i spojrzała na mnie ostrym wzrokiem.

- Wiesz, gdzie jest Jem, prawda?

Nie mogłam kłamać, więc odpowiedziałam twierdząco.

- Co z nią będzie? - spytałam.

Matka wzięła moje ręce i trzymała w swoich.

- Zobaczę, co mogę dla niej zrobić, Choga Regina. Ale ojciec David może być na nią bardzo zły.

- Zabierze ją stąd? - zapytałam.

- Córnka musi być posłuszna swojemu ojcu. Słowo mężczyzny nie jest nic warte, jeśli nie słuchają go jego własne córki. - Nie musiała mi mówić, że nigdy nie powinnam się tak zachować.

Mama Bisi przeczuwała, że zachowanie Jem będzie miało przykre konsekwencje. Być może wiedziała to ze swoich zakazanych wróżb? Wzięła mnie na stronę i powiedziała:

- Biegnij do Jem i powiedz, żeby natychmiast przyszła i okazała skruchę.

- Czy on już pojechał? - spytała moja siostra, gdy pod wieczór zjawiłam się w jej kryjówce.

- Wziął Efe. To ona będzie teraz jego żoną - opowiedziałam Jem całą historię.

- No to się udało! - wypaliła Jem. - Teraz pomóż mi wyjść.

Spojrzałam w dół, gdzie siedziała i poczułam coś, czego do tej pory nie znałam: wzburzenie.

- Czy ani trochę nie żal ci Efe? - spytałam wreszcie, zaskoczona jej obojętnością.

- Ojciec David tak zdecydował. Taka była wola Boża. To Bóg chciał żeby Efe wyszła za ojca Sunday'a.

Zatkało mnie. No jasne, to Bóg jest odpowiedzialny za wszystko! Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Z nakazu mojej i swojej mamy Jem całe dni spędzała w kościele i modliła się o przebaczenie. Ale według mnie nigdy naprawdę nie żałowała swojego zachowania. Gdy wieczorem zrobiłam z Cornem rundę po okolicy, wyrzuciłam z siebie całe moje rozczarowanie opowiadając mu wszystko.

Modlitwy Jem nie powstrzymały, niestety, ojca od przyjazdu do nas dokładnie tydzień później. Jeszcze zanim wysiadł ze swojego samochodu, kierowanego przez jednego z jego ochroniarzy, wiedziałam, że będzie awantura. Czym prędzej pobiegłam do pokoju matki, uchylłam okno i wsunęłam w nie kawałeczek drewna. Liczyłam na to, że rozmowa odbędzie się właśnie tam, i że w ten sposób będę ją mogła usłyszeć.

Miałam szczęście.

- Postawiłaś mnie w niewiarygodnej sytuacji, Liso. Wiadomość o postępkach Jem obiegnie wszystkie Rodziny - usłyszałam głos ojca.

- Bardzo tego żałuję, a dziewczyna została już za to odpowiednio ukarana. Ale czy nie mogłeś uprzedzić mnie i Bisi o tej decyzji nieco wcześniej? Miałybyśmy czas, żeby przygotować na to naszą córkę - powiedziała poruszona matka.

- Ojciec Sunday jest w Kaduna znaczącą osobą. Nie mogłem nie spełnić jego życzenia - ojciec zupełnie zignorował słowa mamy! Zamiast tego ciągnął dalej:

- Muszę w wyraźny sposób zaznaczyć swój autorytet. Inaczej stracę twarz.

- Jaka jest więc twoja decyzja? - spytała krótko matka. - To jest nasza najważniejsza farma. Przejdzie więc w ręce prawdziwej Rodziny, w której panuje posłuszeństwo.

- Popełniłam błąd, Davidzie, ale nie musisz mi za to odbierać farmy.

- Nie odbiorę ci jej. Ta farma należy do Rodziny i będzie przez nią prowadzona.

- Przez kogo? - spytała mama.

- Ojciec Felix przybędzie tu za kilka dni. Chciałbym, abyś zapoznała go ze wszystkim. Gdy tylko to nastąpi, zabiorę ciebie i resztę kobiet - słowa ojca wbiły się w moje serce niczym sztylet. Dlaczego nam to robił? Przecież to był nasz dom! Usłyszałam, jak mówi dalej: - Wiem, że uszanujesz moją decyzję, Liso. Tak będzie najlepiej. Jesteś potrzebna w Lagos.

- Komu? Tobie? - matka zaśmiała się gorzko. - Tak, mnie. Jestem...

- A ty co ty tutaj robisz, moja mała? - mama Bisi nakryła mnie podczas podsłuchiwania. Położyłam palec na ustach licząc na ciąg dalszy rozmowy, ale ona bez ceregieli wyciągnęła mnie z ukrycia.

- Ojciec David wysłał nas z powrotem do Lagos! - wyrzuciłam z siebie, jak tylko odeszliśmy nieco dalej od domu.

- Tak czułam! - jęknęła mama Bisi. - Co mówili? - okazało się, że i dla mojej ukochanej mamy podsłuchiwanie nie zawsze jest złe... Gdy powtórzyłam jej wszystko, co usłyszałam, wzięła mnie w ramiona.

- Nie możemy tracić nadziei, moja maleńka. Życie jakoś musi toczyć się dalej - powiedziała.

- Mamu Bisi, czuję się winna. Nie powinnam pomagać Jem.

- Nonsens! - odparła. - Co się miało stać, to się stało. To nie twoja wina. Ale nie jestem pewna, czy mężczyźni zawsze podejmują właściwe decyzje, nie pytając swoich żon o zdanie. Jedno drzewo to jeszcze nie las, a sam mężczyzna to jeszcze nie rodzina. - Na więcej niż tę odrobinę krytyki mama Bisi się nie odważyła. A przecież całe jej dotychczasowe życie miało się właśnie zmienić.

Nawet w obliczu swojej porażki mama znalazła jeszcze słowa, którymi usprawiedliwiała przed nami postanowienie ojca.

- Jest nas tu za mało, żebyśmy mogli, na dłuższą metę, dobrze prowadzić gospodarstwo. Ojciec David znalazł mężczyznę, który jest przyzwyczajony do życia na farmie - powiedziała moja mama do Bisi i Ady, Funke, Ngozi, Jem i do mnie, a także do naszych pomocnic, starego nauczyciela Okereke i do Jo.

Kiedy przekazała, że naszym następcą będzie ojciec Felix ze swoją Rodziną, spojrzałam na Jo i na mamę Bisi, którzy stali obok Jem. Zdawało mi się, że czytam w ich myślach.

Bisi wiedziała co naprawdę o zastępcy swego męża sądzi moja mama. Uważała go za nędznego farmera. A Jo? Powiedział mi później:

- Dlaczego nie mogę uwolnić się od ojca Felixa? Ten kraj jest tak wielki! Czy on nie może zamieszkać gdzieś, gdzie mnie nie ma?

Ojciec Felix zjawił się ze swoimi trzema żonami i pięciorgiem dzieci kilka dni później. Jego najstarsze córki były w moim wieku. Mój ojciec został jeszcze tylko jeden dzień, który spędził wyłącznie z nowym zarządcą farmy.

Wreszcie nadeszła chwila odjazdu. Ojciec zabrał mamę Bisi i Jem ze sobą do Lagos. Obie wdrapały się na bagażnik otwartej ciężarówki ojca i pomachały nam. Jeszcze długo stałam bez ruchu, wpatrując się w tuman gęstego kurzu oddalającego się powoli. Było mi strasznie smutno. Aż do tego dnia mama Bisi była zawsze przy mnie. Jej utrata była najgorszą z możliwych ceną za nieposłuszeństwo Jem.



Wiedziałam, że tak na to patrząc, postępuję bardzo egoistycznie i walczyłam ze łzami, cisnącymi mi się do oczu. Według mnie, ukaranie nas wszystkich za nieodpowiednie zachowanie jednego człowieka było niesprawiedliwe, ale nie wypowiedziałam głośno tych słów. W głębi ducha rozumiałam bowiem Jem, która sprzeciwiła się swojemu małżeństwu z nieznanym sobie mężczyzną.

\*\*\*

## **Wielbłąd i słoń.**

Na pierwszy rzut oka ojciec Felix sprawiał wrażenie całkiem sympatycznego. Mimo że mnie, czternastolatce, i tak wydawał się strasznie stary (później dowiedziałam się, że miał wtedy czterdzieści sześć lat), wyglądał dość młodo. Był szczupły i często się śmiał. Jednak jego śmiech mi się nie podobał. Wydawał się sztuczny. Ojciec miał duże białe zęby, które chętnie pokazywał, przez co wyglądał niczym drapieżne zwierzę. Po tym wszystkim co usłyszałam od Jo, byłam święcie przekonana, że ojciec Felix tylko udaje miłego. Najbardziej nie podobały mi się jego dłonie i oczy. Te ostatnie ciągle były w ruchu, jakby chciał nimi kogoś złapać. Dziwiło mnie jak to możliwe, że mój ojciec, który znał się na ludziach, nie zorientował się, jaki naprawdę jest jego zastępca. Ale byłam też zła na siebie za moje negatywne nastawienie do ojca Felixa. Przecież jak dotąd znałam tego człowieka tylko ze słyszenia. Chociaż nie uszło mojej uwadze, że Corn skwitował przybycie nowej głowy Rodziny groźnym warczeniem. A mój wybawca znał się przecież na ludziach.

Wystarczyło spojrzeć na ojca Felixa a wiadomo było na kim się wzorował. Ubierał się jak mój ojciec - w szeroką babarigę z białego przetykanego złotem materiału. Na głowie zaś nosił taką samą wysoką czapkę. Różnił się jednak od ojca Davida samą posturą - był szczuplejszy i niższy.

- Ojciec, który chciałby być wysokim człowiekiem - orzekła mama Ada. Mogła tak mówić, bo była od niego o pół głowy wyższa!

Mój ojciec porusza! się powoli i dostojnie, dzięki czemu swoją obecnością robił wrażenie, Felix zaś miał w sobie jakiś wewnętrzny niepokój. Na farmie wciąż pojawiał się w miejscu, w którym nikt się go nie spodziewał. Być może dla zarządzającego gospodarstwem jest to dobra taktyka, gdyż dzięki temu nikt nie zaniedbuje swojej pracy. Felix jednak nie udzielał żadnych rad jak ulepszyć to czy tamto. Lubi! za to rozmowy o rzeczach nieistotnych. Jednym słowem - odciągał ludzi od pracy.

Być może tak to po prostu odbierałam, bo byłam do niego uprzedzona. Za to pracownicy na farmie lubiły takie rozmowy, bo Felix bardzo serdecznie się do nich odnosił.

Moja mama nie poświęcała im tyle uwagi. Co dzień rano przydzielała każdemu robotę i informowała, gdzie będzie ją można znaleźć w ciągu dnia, w razie pytań. Był to jasny system.

Gdy tylko ojciec z mamą Bisi i Jem wyjechali, ojciec Felix chciał postawić cały dom na głowie. Moja mama i Bisi zajmowały pokój sąsiadujący z tym, w którym mieszkałam z Efe. Pokój mamy był dawniej biblioteką angielskiego właściciela. Był duży i przestronny. Znajdował się tuż obok wejścia, dzięki czemu jego lokatorka wiedziała, co się dzieje w domu.

Żeby poinformować nas o nowym przydziale pokoi, Felix zwołał wszystkie kobiety w hallu. Jo i Okereke byli zajęci, nie mogli więc wziąć udziału w tym zebraniu. Ich jednak zmiany i tak nie dotyczyły, więc niewiele stracili. Obaj starali się schodzić z drogi ojcu Felixowi. Nowy zarządca zaczął od mamy.

- Lisa będzie mieszkać razem z Adą, Ngozi i Funke. Dotychczas te trzy kobiety zajmowały dawną sypialnię

Anglika, leżącą na pierwszym piętrze.

- Gdy tylko mąż mnie stąd zabierze, mój pokój będzie do twojej dyspozycji - odpowiedziała mama serdecznie, lecz stanowczo.

- Nie zgadzasz się ze mną? - zasyczał cicho Felix.

- Proponuję, żebyś najpierw w spokoju zorientował się, które miejsce najbardziej ci odpowiada. Za kilka miesięcy będziesz prowadził ten dom i całą farmę po swojemu - powiedziała mama spokojnie.

Felix zerwał się z krzesła, na którym siedział.

- Nie jesteś Afrykanką. Jak wszyscy biali traktujesz czarnego jakby był twoim służącym! - zagrział.

- Czy uszanowanie kobiety, która doprowadziła farmę do takiego stanu, jaki mamy dzisiaj, zależy od koloru skóry? - spytała mama Ada. - Jesteś jeszcze gościem w tym domu i żadna z nas nie będzie akceptować tego, że obrażasz naszą współżonę Lisę.

Felix objął zgromadzone wzrokiem pełnym wściekłości. Spośród jego żon żadna nie odważyła się nawet spojrzeć mu w oczy.

- W drugim domu będą mieszkać kobiety pomagające w polu.

- Czy to dobry pomysł, żeby umieścić je razem z Okereke i Jo? - spytała matka.

- Wygląda na to, że nie podoba ci się żaden mój pomysł! - wyszczał Felix.

- Nie miałam zamiaru podważać twojego autorytetu. Ja nigdy nie omawiałam spraw związanych z prowadzeniem farmy przy wszystkich. Ale ty tak właśnie chciałeś - odpowiedziała mama.

- Dobrze. W takim razie poczekamy aż ty i twoje współżony wyjedziecie. Najwyraźniej nie jesteś w stanie się ze mną porozumieć - wycedził Felix.

- Znasz historię o wielbłądzie, który spotkał słoń? - spytała Ada.

- Tak, znam - ryknął przyszły zarządca. Obrócił się i rozwścieczony wypadł z domu.

- Nie zna jej - powiedział Ada - bo zachowuje się przecież jak ten słoń. - Wszystkie kobiety roześmiały się. Nawet żony Felixa pozwoliły sobie na uśmiech.

- Opowiedz mi historię o wielbłądzie i słoniu - poprosiłam Adę, gdy wieczorem siedziałyśmy na tarasie, a u mych stóp jak zwykle leżał Corn.

- Wielbłąd i słoń weszli do gęstego lasu - zaczęła mama Ada. - Wielbłąd kosztował twarde liści, ponieważ żył na pustyni i nie miał na co dzień tyle zieleni. Słoń zaś, idąc, wrywał wszystkie młode drzewa stojące mu na drodze i zrobił szeroką przesiekę.

- Dlaczego to robisz? - spytał wielbłąd.

- Słoń potrzebuje miejsca - odpowiedział słoń i brnął dalej. Gdy przeszli las, znaleźli się na wielkiej pustyni. Słoń słał się z głodu, podczas gdy wielbłąd spokojnie przeżuwał jedzenie. W końcu słoń padł z wyczerpania. Wielbłąd spytał:

- Po co ci twoja siła, jeśli zużywasz ją na to, żeby niszczyć wszystko dookoła i na końcu umrzeć z głodu na pustyni? - Słoń nie odpowiedział wielbłądowi, bo w tym momencie zdechł.

- Jak myślisz, Choga Regina, czy ojciec Felix zrozumiałby tę historię? - moja mama stanęła za nami.

Pokręciłam głową, gdyż i dla mnie ta opowieść nie była jasna.

- Nie sądzę - stwierdziła mama Ada. - Słonie niszczą wszystko, co znajdzie się na ich drodze, podczas gdy wielbłąd zaopatry się na gorsze czasy.

- Uważasz, że my obie jesteśmy wielbłądami? - z uśmiechem powiedziała moja mama.

- Te zwierzęta nadają się do pracy - stwierdziła mama Ada i złożyła ręce na plecach tak, że utworzyły garb.

W odpowiedzi moja mama splotła swoje ręce tworząc trąbę.

- Nie mogę! - Parsknęła śmiechem. - Wiecie, że w Niemczech jest przysłowie, które mówi, że słoń w składzie porcelany wszystko potłucze.

- Czy w Niemczech też są wielbłądy? - spytała z zainteresowaniem mama Ada.

- Ale tylko z dwiema nogami! - śmiała się mama.

- Takie jak do ojciec Felix! - krzyknęłam wesoło. Mama pracowała dalej jak dotąd, jeżdżąc codziennie z mamą Adą i Jo traktorem na pola, gdzie było zawsze dużo roboty. Ojciec Felix nie chciał im towarzyszyć.

- Babska robota! - brzmiał jego komentarz.

- Czy nie powinienesz lepiej poznać jak funkcjonują drogie systemy nawadniające, które tu zainstalowaliśmy? - pytała matka, która była bardzo dumna ze swoich niemieckich metod polepszenia plonów. On jednak nie interesował się ani nawadnianiem pól, ani różnymi rodzajami warzyw, które uprawialiśmy.

Moim zadaniem było jak zwykle troszczenie się o dom oraz karmienie kur i kóz. Wolny czas wykorzystywałam na realizację mojego nowego zadania. Tanim kosztem zbudowaliśmy szklarnię, w której zaczęłam hodować pomidory. Był to pomysł mamy. Ona pokazała mi jakie to łatwe. Pod warunkiem, że się dba o odpowiednie nawodnienie. Wreszcie znalazłam idealną dla mnie pracę - dającą nadzieję na dobre zbiory i jednocześnie niezbyt ciężką fizycznie.

Żony Felixa przez całutki dzień gotowały. Stały głowa przy głowie i chichotały. Zużywały prawie całe nasze zapasy, które z dnia na dzień topniały. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, jak niewiele nam tu było potrzeba! Już w pierwszy weekend ojciec Felix kazał zabić połowę kur i kozę.

- To nie skończy się dobrze - komentowała mama Ada, starannie dobierając słowa, bo nie mówiła zbyt wiele. - Jeśli oni będą dalej żyć w ten sposób, to wkrótce zjedzą swoją własną przyszłość.

Jednak byliśmy bezradne, a nasze dni na farmie - policzone. Ojciec Felix postanowił sam zawozić nasze plony do miasta. Podczas swojej pierwszej wyprawy do Jeba zrobił wielkie zakupy. Za zarobione pieniądze kupił tuzin kur i nową kozę. Przywiązano ją do kołka, żeby nie mogła swobodnie biegać, i regularnie tuczono, aby jak najszybciej nadawała się do zjedzenia. My nigdy nie postępowaliśmy z naszymi kozami w ten sposób. Nasze zwierzęta miały swobodę i mogły się nią cieszyć.

Ojciec Felix dzielił stworzenia na dwa rodzaje: użyteczne i niepotrzebne. Do tej ostatniej grupy zaliczał oczywiście Corna, mojego trójnogiego ulubieńca, który przez cały czas trzymał się mojego boku.

- Ten pies tylko brudzi, a w końcu zeżre nas ze skórą i kośćmi - powtarzał często Felix. Corn tak przyzwyczał się do przebywania wśród ludzi, że chętnie podbiegał do każdego, żeby go powąchać.

- On ma pełno robactwa! - krzyknął pewnego razu Felix z odrazą i odgonił psa. Od tego dnia starałam się uważać, żeby Corn nie znalazł się w jego pobliżu. Ale co będzie, kiedy wrócimy do haremu?

Ojciec Feliks szybko zaczął się u nas nudzić. Wciąż jeździł po okolicy wielkim białym samochodem. W swojej naiwności myślałam, że odwiedza sąsiadów, żeby się im przedstawić.

Jo oświecił mnie jednak:

- Felix zachowuje się tu dokładnie tak jak w Ibadan: rozgląda się za kobietami.

- Chce je tu sprowadzić i się ożenić? - spytałam. Brat spojrział na mnie pobłaźliwie.

- Felix żeni się tylko wtedy, kiedy musi - wymamrotał tajemniczo.

Nie rozumiałam tej uwagi. Cudzołóstwo było przecież zabronione.

Nowy gospodarz ustanawiał swoje własne prawa. Wkrótce miałam się o tym przekonać na własnej skórze. Szybko znalazł moją kryjówkę wśród krzaków bugenwilli. Chowałam się tam razem z Cornem. Głaskałam go i czule do niego mówiłam. Jeśli wkrótce miała wybić jego ostatnia godzina, to niech chociaż ostatnie dni przeżyje szczęśliwie. Najpierw dziwiłam się, że ojciec Felix tak miło ze mną rozmawiał, gładził po głowie, podziwiał moją jasną skórę i chwalił moją pracowitość. Ale później, kiedy przysuwał się coraz bliżej i bliżej, zaczęłam się go bać i uciekłam razem z Cornem.

Przestraszona pobiegłam do mamy, ale ona rzuciła na mnie tylko zdziwione spojrzenie. Powiedziała, że jestem przecież jeszcze dzieckiem, niewiele starszym od córek Felixa. Mama poradziła mi, żebym na przyszłość trzymała się możliwie blisko innych.

- Wtedy nie będzie cię mógł więcej prześladować - powiedziała. To oznaczało, że musiałam w najbliższym czasie zrezygnować z mojej kryjówki.

Jestem jeszcze dzieckiem, tak powiedziała mama. W noc po tym, jak wymówiła te słowa, moje dzieciństwo jednak się skończyło. Dostałam pierwszej miesiączki dokładnie dwa miesiące po moich czternastych urodzinach. Myślę, że bardziej niż poplamionym prześcieradłem byłam przerażona tym, że według zasad mojego ojca nadszedł czas, aby poszukać mi męża. Z duszą na ramieniu zakradłam się do mamy i wyznałam jej swoje „nieszczęście”.

- Ojciec Felix absolutnie nie może się o tym dowiedzieć - zdecydowała natychmiast - bo od razu poprosi ojca Davida o twoją rękę - zrobiła pauzę i stanęła z założonymi rękami. - Być może nie będzie tak dugo czekał - dodała. Moje serce na chwilę przestało bić. - Tu cię nie ochronię, Choga Regina. W haremie jesteś przynajmniej bezpieczna.

Mama kazała mi natychmiast wszystko sprząć. Potem pobiegłam do białej Madonny podziękować za jej opiekuńczą dłoń, która nade mną czuwa. Przez nieposłuszeństwo Jem

została zniszczona nasza mała rodzina, ale ja znów poczułam silną tęsknotę za bezpiecznymi murami haremu. Ponieważ Felixowi nie udało się pokonać mojej mamy i grupy zaprzyjaźnionych z nią kobiet, naciskał ojca Davida, żebyśmy jak najszybciej opuściły farmę.

Mama Funke i mama Ngozi otrzymały od Felixa pozwolenie przeniesienia się do swoich córek w okolicy Jeba. A my: moja mama, mama Ada i ja nie musiałyśmy tym razem jechać do Lagos samochodem dostawczym. Ojciec David sam bowiem przyjechał po nas jedną ze swoich wielkich limuzyn. Urządzając wielkie święto na cześć ojca Felix chciał mu pokazać, że w czasie minionych trzech miesięcy na dobre przejął farmę. Zaproszono tłum gości z okolicznych wsi i bawiono się do rana.

Ta noc była ważna, gdyż wtedy właśnie ojciec Felix zorientował się, że wielu gości szuka bliskości Corna. Głaskano go, bo wciąż jeszcze krążyła o nim opinia, że przynosi szczęście. Ojciec nie wierzył w takie przesady, chociaż tolerował psa na swojej farmie. Felix z uwagą przysłuchiwał się historii o tym, jak pies uratował mi życie. Przez cały czas przychodziły dotknąć Corna młode dziewczęta i kobiety. Zastępca ojca nie spuszczał więc mego ulubieńca z oka. Gdy tylko jakaś ładna kobieta ostrożnie zbliżała się do zwierzęcia, bojąc się go dotknąć, Felix już przy niej był i próbował dodać odwagi. On, który przez tyle dni wyzywał Corna od „darmozjadów”, prowadził teraz dłoń kobiety po złotej sierści psa. Jednocześnie nawiązywał konwersację z nieśmiałą pięknoscią.

Młoda kobieta uśmiechając się głaskała psa, a Felix troskliwie obejmował ją ramieniem. Przez cały czas stałam w pobliżu i aż kipiałam ze złości. Jak on mógł tak nikczemnie wykorzystać wiarę w Boga tylko po to, żeby zdobywać kobiety.

Temu Corn zawdzięczał w końcu swoje życie. Kaleki pies przyciągał kobiety. To wystarczyło, żeby Felix, wąż w ludzkiej skórze, ruszył do ataku.

Byłam świadoma, że pożegnanie z farmą będzie również rozstaniem z moim ukochanym bratem.

- Co będzie z Jo? - spytałam matkę ostatniego wieczoru - Zostanie odesłany do innej Rodziny?

- A jak myślisz, czego chciałby twój brat? Pytałaś go?

- On twierdzi, że chętnie by tu został. Gdyby nie było ojca Felixa - odpowiedziałam.

Mama uśmiechnęła się.

- Nie możemy wysłać słonia na pustynię. Będziemy więc potrzebować wielbłąda, który nakarmi i słonia, i jego trzodę.

- A jeśli ojciec Felix się nie zgodzi?

- Jako nowy zarządca nie chciał się niczego nauczyć. To nie było mądre z jego strony.  
Zobaczysz co zrobię jutro.

Rano, w dzień odjazdu, gdy spakowałyśmy wszystkie nasze rzeczy do samochodu ojca i włożyłyśmy już nasze podróżne ubrania, przybiegła nagle jedna z pomagających na farmie kobiet. Była bardzo zdenerwowana.

- Mamo Liso! - wołała z daleka. - Pompa przy stawie się popsuła. Woda zaleje pola.  
Chodź szybko!

Mama wskazała na swoją czyściutką białą suknię.

- Tym może zająć się przecież ojciec Felix. Teraz on odpowiada za farmę.

Felix stał obok w swoim połyskującym złotym ubraniu i nawet się nie ruszył.

- Nie jestem mechanikiem.

Ojciec David patrzył to na jedno, to a drugie.

- Czy nie pokazałaś mu, jak wszystko działa? - spytał mamę.

- Pokazałam mu wszystko, co chciał zobaczyć - odpowiedziała mądrze mama.

- A gdzie jest Jo? - Mój ojciec rozejrzał się.

- Wraca do Ibadan, tak jak sobie tego życzyłeś - odpowiedziała mama. - Jest u siebie i pakuje swoje rzeczy.

Ojciec David zrozumiał. Ja też. Fakty wystarczą za tysiąc słów. Wolnym krokiem ojciec ruszył w stronę służbówki. Widzieliśmy jak rozmawia z Jo. Potem skinął na swego zastępcę i odszedł z nim na bok. W efekcie mój brat mógł zostać, ojciec nadał mu nawet tytuł zarządcy technicznego. Moja mama wyjęła z samochodu swój słomkowy kapelusz, w którym pracowała w polu, i włożyła go na głowę Jo.

Nic więcej nie mogła zrobić, żeby uratować ziemię, którą kupiła za swój spadek po matce. To ona zamieniła farmę w kwitnące gospodarstwo, zapewniające wyżywienie wielu ludziom. Sama nigdy jednak tego nie powiedziała. Była na to zbyt skromna. Ale taka była przecież prawda.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedział Jo, podając mi dłoń na pożegnanie.

Robił to nieco wstydliwie i sztywno. Ja nie mogłam wydobyć z siebie słowa, więc tylko pokiwałam głową. Mój wzrok padł na Corna, który patrzył na mnie pytająco, bo nie rozumiał co się dzieje.

- Weź go na ręce, gdy będziemy odjeżdżać - poprosiłam - bo inaczej będzie próbował biec za samochodem.

- Będę go dobrze pilnował - obiecał Jo - do czasu aż wrócisz.

- A jeśli nie wrócę?

- Wrócisz. Nie znasz powiedzenia: „Twój własny cień nigdy nie będzie szybszy od ciebie”?

- A gdzie jest mój cień?

Brat nie odpowiedział. Wziął Corna na ręce i odwrócił się. Miałam wrażenie, że ten pies to moje serce, które Jo trzymał w rękach, żeby pozostało w Jeba. Płakałam jak małe dziecko, a moi rodzice nie odezwali się ani słowem. W pewnym momencie mama położyła dłoń na mojej głowie i pogłaskała mnie.

- Łzy nie odmienią losu - powiedziała mama Ada, która dobrze wiedziała, o czym mówi. Usłyszałam, jak moja mama rozmawia z ojcem Davidem. Mówili chyba od dłuższej chwili. Głosy mieli przyciszone.

- Ośmieszylaś Felixa przed wszystkimi kobietami, Liso. Czy to było naprawdę konieczne? - pytał ojciec.

- Znasz opowieść o wielbłądzie i słoniu? - odpowiedziała pytaniem mama. Usłyszałam cichy śmiech ojca.

- Słonie nie są złe, choć nie są najlepszymi strategami. Tu masz rację. Ale za to wiadomo, że słonie ze szczególną troską zajmują się swoją rodziną.

- One za dużo niszczą, Davidzie. Wielbłądy mają może kiepską reputację, ale jedno musisz im przyznać: nie są wymagające.

- Widziałaś już jakiegoś wielbłąda, Liso? - spytał rozbawiony ojciec David.

- Nie - przyznała mama.

- Słonia też pewnie nie. Felix jest jak słoń, masz rację. Ale powinnaś być ostrożna zbliżając się do niego.

- Musiałam tak postąpić, Davidzie. Inaczej nigdy by do niego nie dotarło, że nie potrafi prowadzić farmy. Zrobiłam to dla dobra nas wszystkich.

- Oby było to też dla twego dobra, Liso - powiedział ojciec, a mama zamilkła.

W Lagos przypomniałam sobie, że pod krzewem bugenwilli zostawiłam swoją puszkę. Zwierzyłam się mamie Bisi, z którą się tam spotkałam.

- Świetnie - ucieszyła się. - To znaczy, że pewnego dnia wrócisz do miejsca, w którym tak długo byłaś szczęśliwa.

Te słowa były dla mnie prawdziwym pocieszeniem. Gdybym wiedziała, w jakich okolicznościach przyjdzie mi powrócić na farmę!

\*\*\*

**Król i błazen.**



Nasz powrót do haremu i tym razem nie wzbudził żadnego entuzjazmu. Współżony mamy były tak zajęte sobą, że prawie nas nie zauważyły. Jedna czy druga zadała kilka pytań, ale ogólnie harem nie interesował się tym, co działo się poza jego murami.

Jedynie mama Bisi serdecznie nas powitała, porywając od razu w ramiona. Ukradkiem otarła łzę.

- Jak to dobrze, że znów mam was przy sobie! - wciąż powtarzała.

Ja też cieszyłam się, że znów się z nią spotkałam. Niestety miałam pewien dylemat. W haremie miałam jak dawniej zamieszkać w domu dla dzieci, choć od czasu pierwszej miesiączki nie byłam już dzieckiem. Obie z mamą chciałyśmy to jednak jak najdłużej utrzymać w tajemnicy. Moja miesiączka była, niestety, nieregularna i czasem rano okazywało się, że mam zabrudzone prześcieradło. Wtedy musiałam być bardzo ostrożna, żeby nikt się nie zorientował. Zazwyczaj udawałam ból głowy lub brzucha i nie wstawałam z innymi. Później po kryjomu przemycałam brudne rzeczy do mamy, żeby tam je uprać. Ukrywanie prawdy jeszcze bardziej wzmogło w haremie moją samotność, którą odczuwałam już poprzednim razem. Byłam obca, nie miałam się z kim bawić. Często chodziłam przygnębiona. Bardzo tęskniłam za Jebą. Wciąż myślałam o Cornie i miałam nadzieję, że Jo jakoś dogaduje się z Felixem.

Z niewielu przyjaciółek z dzieciństwa żadnej nie zastałam już w haremie. Ojciec, wydając je za mąż, umieścił je w innych Rodzinach. Dzięki temu umacniał więzy pomiędzy wspólnotami rozrzuconymi po całym kraju. Gdy któraś z moich sióstr wychodziła za mąż w naszym domu wspólnoty, ojciec podkreślał wówczas, jak ważne jest trzymanie się razem. Zgodnie z tą myślą upływało nasze życie. Podczas takich imprez ukradkiem przyglądałam się przybyłym gościom, szczególnie obserwując zza swojej zasłony młodych mężczyzn. Czy z którymś z nich stanę w niedalekiej już przyszłości przed ojcem, żeby usłyszeć od niego błogosławieństwo na nową drogę życia? Ciągle przyłapywałam się na porównywaniu wszystkich mężczyzn do Jo, który traktował mnie z takim szacunkiem i zrozumieniem.

Jem, nieposłuszna córka, nie wyszła za mąż w Lagos. Gdy przybyłam do haremu, ojciec zdążył już odwiedzić ją do Warri, przemysłowego miasta na południu Nigerii. Tylko mama Bisi mogła wziąć udział w weselu.

- Jem jest głupia - mówiła Bisi - ale życzyłam jej więcej szczęścia niż bycie żoną tego mężczyzny. Ta jej ucieczka była bez sensu! Jej obecny mąż nie jest wcale młodszy od ojca Sunday'a. Sądzę, że wasz ojciec chciał ją ukarać za to nieposłuszeństwo, żeby to była nauka dla innych. A jak ona mieszka! Nie tak wygodnie, jak u ojca Sunday'a. Warri jest

obrzydliwe, a dom Jem jest bardzo ubogi. Jako trzecia żona swojego męża urodziła mu dziecko w wieku dziewiętnastu lat.

Pewnego dnia spotkałam mamę Bisi w ogrodzie haremu. Obcinała właśnie dzikie pędy młodego drzewka limonkowego. Byłam pewna, że jak zwykle będzie rozmawiać ze swoją rośliną, wyjaśniać jej, że wprawdzie chwilowo zadaje jej ból, ale dzięki temu będzie potem lepiej rosła. Zdarzało się jej nawet śpiewać. Ale tym razem pracowała w milczeniu. Przyglądałam się jej przez chwilę, ale w ogóle mnie nie zauważyła.

- Mamó Bisi, dobrze się czujesz? Jesteś chora? - spytałam w końcu.

Pracowała dalej, jak gdyby nie słyszała mojego pytania. Gdy się do mnie odwróciła, spojrzała na mnie tak, jakby po raz pierwszy mnie widziała. Mówiła:

- Wiem, moja malutka, że nie jesteś szczęśliwa. Popatrz jednak na to młode drzewko. Stoi tu w pełni sił, a mimo to muszę pozbawić je młodych gałęzi. Ono nie rozumie, że robię to dla jego dobra. Ja to wiem i dlatego to robię. Nawet jeśli mamy nogi, ręce i głowę, jesteśmy jak to drzewko limonkowe. Wciąż coś nam obcinają. Stajemy się coraz więksi, rany się zblizniają i w innym miejscu dalej rośniemy. Chociaż to boli - czasem przez całe życie. Biedne drzewo nie może się bronić. Przyjmuje swój los a my nie słyszymy jego krzyku rozpaczny.

Moja ulubiona mama znów odwróciła się w stronę drzewa. Dotknęła koniuszkami palców jego delikatnej kory i zaczęła śpiewać piosenkę dla dzieci, którą niegdyś często nuciła. Bardzo ją lubiłam, przypomniła mi moje dzieciństwo.

„Pewien król miał błazna, z którego był bardzo dumny. Ale pewnego dnia rozłościł się, zdjął z głowy koronę i rzucił ją w ulubieńca. Ten złapał ją i powiada: „Tak, jestem błaznem, ale teraz mam koronę, więc nazywaj mnie królem błaznem”. Tańczył i śmiał się, ale król bez korony nic sobie z tego nie robił. Pewien król miał błazna, z którego był bardzo dumny.

Gdy byłam dzieckiem, mama Bisi, śpiewając tę piosenkę, tak śmiesznie poruszała biodrami, że zawsze mnie tym rozśmieszała. Ale tym razem jej piosenka brzmiała smutno.

W tym momencie odwróciła się do mnie. Jej oczy pełne były łez. Moja ukochana chrzestna, którą od dziecka bardzo szanowałam, stała się nagle taka mała. Przerosłam ją już o głowę.

- Niech Bóg cię chroni, moja mała - powiedziała nagle i wzięła mnie w ramiona. - Cokolwiek postanowi twój ojciec, nigdy mu się nie sprzeciwiaj. On wie co jest dla ciebie dobre. Obiecuj mi to, bo nie zniosłabym utraty kolejnej córki.

To był jej sposób na przekazanie mi wiadomości, że Jem nie żyje. Zmarła w swoim domu, daleko stąd.

W moim kraju zmarłych chowa się w dniu śmierci lub krótko potem, ponieważ jest gorąco i wilgotno zarazem. Ale prawie zawsze pogrzebowi towarzyszy wielka stypa. W przypadku Jem było inaczej. Mama Bisi nie mogła się pożegnać ze swoją najstarszą córką. Ojej śmierci dowiedziała się od ojca Davida. On nie wybaczył swojej córce nieposłuszeństwa i nie wyprawił uroczystej stypy.

Widziałam Jem, jak siedzi tam w dole, w studni, do której sama wskoczyła. Przechyliła głowę na bok i patrzyła na mnie smutno swoimi wielkimi oczyma. Wtedy nie przypuszczałam, że właśnie wskoczyła do swojego własnego grobu.

Ślub z mężczyzną z okolic Warri przyniósł jej śmierć. W delcie Nigru wydobywano dużo ropy. Płynęła różnymi naziemnymi rurami z dżungli do tankowców na wybrzeżu, które rozwoziły ją do rafinerii. Rurociągi biegły często przez wsie i osiedla, gdzie ludzie, mimo bogactw naturalnych, żyli w biedzie. Często więc wiercili w rurach otwory, żeby móc sprzedać trochę ropy. Nie zawsze udało się przy tym uniknąć kontaktu z otwartym ogniem. Było to wręcz na porządku dziennym. Doszło do eksplozji. Moja siostra, wraz ze swoim dzieckiem na plecach, znajdowała się niemal w miejscu wybuchu. Jem tak lubiła odgrywać rolę Roszponki i zostawać uwolniona. W prawdziwym życiu nie było już dla niej ratunku.

Nie mogłam się skoncentrować na niedzielnych, rodzinnych uroczystościach. A wcześniej tak je lubiłam, bo tłum wiernych dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Niestety nie mogłam też śpiewać w chórze, gdyż „od wieków” nie chodziłam na próby. Moje myśli były teraz gdzie indziej, błędziły w mojej nieznannej przyszłości, o której przypominała mi obecność obcych mężczyzn w domu wspólnoty.

Być może mama miała rację twierdząc, że miłość przyjdzie później. Ale co będzie, jeśli nie przyjdzie? Czy nie byłoby lepiej, gdyby dwoje ludzi poznało się, zanim przysięgną sobie wierność na zawsze. Jaki był sens karania córki i odbierania jej prawa wyboru po to, żeby ojciec nie stracił swojego autorytetu? Czy ojciec David nie przypominał trochę tego króla, który rzucił koroną w swojego błazna?

Nie nadszedł jeszcze odpowiedni czas, a ja nie miałam prawa zadać głośno tego pytania. Obwinałam się, że w ogóle przyszło mi ono do głowy, że myślę tylko o własnym szczęściu, a zapominam o dobru Rodziny. Dziś jednak wiem, że Rodzina może być szczęśliwa tylko wtedy, gdy każdy z jej członków jest zadowolony. Ci, którzy dziś stoją na czele Family Of The Black Jesus, widzą to jednak inaczej. Są to mężczyźni, którzy jak mój ojciec czują się wśród swoich żon jak ów król, dumny ze swego błazna.

Gdy ojciec David pojawił się kilka miesięcy później w domu wspólnoty, zauważyłam, że nie ma w nim dawnego blasku. Sprawiał wrażenie sztywnego i błyszczał, jak gdyby się bardzo pocił. Gdy wygłaszał krótką mowę do Rodziny, wciąż gubił wątek i musiał zaczynać od nowa. Moja mama, siedząca dokładnie przede mną, wymieniała zaniepokojone spojrzenia z Bisi. Ciało miała wyprężone, gotowe, żeby wstać. W końcu ojciec David znów rozpoczął wątek, i znów przerwał. Oparł się o drewniany pulpit, a potem po prostu upadł, pociągając go za sobą.

W pierwszej sekundzie nikt się nie ruszył. Potem skoczyła moja mama, a za nią mama Bisi, która nie była tak sprawna. Wreszcie zerwały się z miejsc wszystkie żony Davida. Otoczyły go i postawiły na nogi. Stał osłabiony pośród nich. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Był bardzo bolesny. Człowiek, od którego biła zawsze taka siła, musiał teraz wesprzeć się na swoich żonach.

Ojciec David wyglądał, jakby nie wiedział gdzie jest. Potem powiedział coś na ucho mojej mamie i ta odeszła od grupy żon. Tymczasem w sali zapanował niepokój. Wierni rozmawiali na temat zdarzenia. Mniejsze dzieci zaczęły krzyczeć. Moja mama postawiła pulpit. Potem podniosła obie ręce i nienaturalnie głośno zaczęła odmawiać „Ojcze nasz”. Już po kilku pierwszych słowach zgromadzeni ucichli. Potem wszyscy wypowiadali słowa modlitwy. To był niesamowity moment. Wszyscy modlili się. W tym czasie ojciec, podtrzymywany przez kilkanaście kobiet, opuścił dom wspólnoty.

Nagle przyszło mi do głowy, że z wszystkich swoich żon ojciec David wyznaczył właśnie moją mamę, żeby poprowadziła spotkanie do końca. Kłóciło się to w moich oczach z faktem, że jednocześnie zabrał jej farmę, ponieważ nie potrafiła zapanować nad nieposłuszną Jem. W tym momencie przypisał jej przecież jeszcze większy autorytet.

Ojciec zniknął prawie na rok. Co prawda wszyscy wiedzieliśmy, że przebywa w swoim domu, ale poza trzema żonami: Patty, Felicitas i Lisą, nikt z nas go nie widywał. Moja mama zmieniała najstarsze współżony w opiece nad chorym. Spała nawet w jego domu. Gdy ją widziałam, miała poważny i skupiony wyraz twarzy. Na moje pytania, co będzie z ojcem, odpowiadała, że wkrótce wyzdrowieje. Ponieważ wszystkim mówiła to samo, wszystkich w haremie dręczyło jedno pytanie: na co choruje ojciec David? Wciąż pojawiali się różni mężczyźni z wielkimi torbami. Zazwyczaj byli to biali. A ponieważ biali dotąd nie wchodzili do haremu (chyba że bocznym wejściem od ulicy), mogli to być tylko lekarze. Było ich tak wielu, że zaniepokojone queens doszły wspólnie do wniosku, że sytuacja jest poważna.

Zacząłam patrzeć na ojca krytycznym wzrokiem nastolatki. Jego nagła niemoc zdystansowała mnie do niego. Ale było dla mnie oczywiste, że był naszym „królem”. Jeśli coś było z nim nie tak, to wszyscy mieliśmy powód do zmartwień.

\*\*\*

## **Kurnik.**

W haremie nie miałam dużo roboty, przynajmniej w porównaniu z farmą, gdzie przydawałam się do pomocy wszędzie. Tutaj mogłam czasami pomóc w kuchni, zamieść podwórze, popilnować młodszych dzieci. Zdarzało mi się też, niestety rzadko, pomóc w szkole lub posprzątać w domu wspólnoty. Staralam się pomagać gdzie się dało, ale miałam poczucie, że wszystko robię nie tak. Już nie pasowałam do haremu. Włóczyłam się więc z jednego podwórza na drugie i przyglądałam dokładnie wszystkiemu.

Podczas jednego z takich spacerów zobaczyłam kobietę, której twarz wydała mi się znajoma. Przyglądałam się jej bezwstydnie i w końcu ją rozpoznałam. To była Idu, którą ojciec prawie dziesięć lat wcześniej wyrzucił z haremu, ponieważ nie chciała zrezygnować z posiadania telewizora. Przestałam się już w tym wszystkim orientować. Jak ona się tu dostała? Czy ojciec przyjął ją z powrotem? Nie odważyłam się do niej podejść i spytać. Dlatego zwróciłam się do mamy Ady, pierwszej osoby napotkanej po drodze.

- W sercu ojca Davida jest wiele miejsca - odpowiedziała moja chrzestna, co wcale nie wyjaśniło mi sytuacji.

Bardziej rozmowna była mama Bisi, która powiedziała mi, że jakieś dwa lata temu mama Idu poprosiła ojca o łaskę i wybaczenie tamtego zachowania. Był to mniej więcej w czasie, kiedy wróciłam z Lagos do Jeba. Dlatego jej tu nie spotkałam.

Smutny los Jem pokazał jak bardzo surowy jest mój ojciec i że nie zmienia on raz podjętej decyzji. Tym bardziej zdziwiło mnie jego łagodne podejście do Idu. Już jako dziecko uważałam, że niesprawiedliwie potraktował Idu w sprawie telewizora. Ustępstwo oraz to co mówiła mama Ada na temat miejsca w sercu ojca były jednak dowodem, że potrafi on zadośćuczynić sprawiedliwości.

Mama Idu miała w haremie niewiele przyjaciółek, podobnie jak ja. Gdy pewnego dnia zajęta byłam jakąś smutną samotną zabawą, przysiadła się do mnie i wciągnęła do rozmowy.

- Jesteś córką mojej ważnej współżony z Niemiec - zaczęła. - Co słyhać u ciebie i twojej matki?

Ośmielona opowiedziałam jej o naszej farmie i życiu na łonie natury. Nie wspomniałam jednak ani słowem, dlaczego się skończyło.

Gdy wspomniałam o Jo i naszych madonnach, mama Idu zaproponowała:

- To może zacznij znów rzeźbić?

Wyjaśniłam jej, że tu w haremie nie da się znaleźć odpowiedniego drewna. A jeśli nawet, to zostanie zużyte do palenia w piecu. Parę dni później Idu zaskoczyła mnie przynosząc kilka sztuk dobrego drewna. Wreszcie znów miałam coś do roboty! Z całego serca byłam jej wdzięczna. Siedziałyśmy razem na jej podwórzu. Ja rzeźbiłam, ona zaś opowiadała o swoich losach po wydaleniu z haremu.

Idu jeździła od Rodziny do Rodziny. Gdziekolwiek się nie pojawiła, wszędzie była znana jako nieposłuszna żona.

- Wciąż byłam żoną twojego ojca, której nie mógł oglądać żaden inny mężczyzna. Wprawdzie wszędzie mnie przyjmowano, ale nikt nie cieszył się z mojej obecności. Dawano mi zawsze najbrudniejszą robotę. Gdy przyjeżdżała ciężarówka żeby zabrać rzeczy wykonane w danym gospodarstwie i przeznaczone dla innej Rodziny, zabierałam się razem z nią. Moje życie przypominało tułaczkę Nomadów.

Idu powiedziała mi, że takie przemieszczanie się od jednej do drugiej Rodziny nie jest niczym niezwykłym. Niespotykane było jednak to, że w ten sposób podróżowała kobieta w wieku rozrodczym, która powinna zajmować się dziećmi.

Idu potrafiła opowiadać bardzo obrazowo, a ja lubiłam jej słuchać, tak samo, jak opowieści Jo o życiu w Ibadan. Ona też tam mieszkała. Od razu przypomniał mi się ojciec Felix, który jak wąż podpełzał i do mnie. Nagle mama Idu spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Znasz ojca Felixa, prawda? Z pewnością spotkałaś go w Jeba - powiedziała.

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Czułam się, jakby Idu przejrzała mnie na wylot. Przez cały czas doskonale wiedziała, dlaczego musiałyśmy wyjechać z Jeba! Milczałam.

- Ojciec Felix jest ważną osobą - ciągnęła. - Jeśli twój ojciec nie wyzdrowieje, to on zostanie głową całej Rodziny.

Spojrzałam na nią przestraszona. To byłoby straszne! Przecież on w ogóle nie interesował się dobrem naszej farmy. Jak miałby więc kierować haremem?

Mama Idu uśmiechnęła się.

- Nie lubisz go? - domyśliła się. Brzmiało to tak, jak gdyby ona naprawdę go cenila.

Pokręciłam głową.

- Dlaczego nie zostałaś u niego? - zebrałam się na odwagę żeby zadać to pytanie.

- Oficjalnie wciąż jestem żoną twojego ojca. On nigdy by na to nie pozwolił, żebym poślubiła innego mężczyznę - wyjaśniła.

To zdanie męczyło mnie przez całą noc. Czy to oznaczało, że mama Idu najchętniej wyszłaby za ojca Felixa?

W haremie świetnie opanowałam ukrywanie mojej miesiączki. Matka zrobiła bawełniane podpaski, dzięki którym nie brudziłam łóżka. Zmieniałam je w pokoju mamy. Przed chorobą ojca dawałam je mamie do wyprania. Potem nie miała na to czasu. Dlatego prałam je sama. Najpierw przynosiłam wodę z jednej z naszych studni i wносиłam ją do mieszkania mamy. Któregoś razu natknęłam się na Idu, która spytała co zamierzam robić.

- Muszę coś uprać - powiedziałam. Dziwnie na mnie spojrzała. Zazwyczaj prano swoje rzeczy w wyznaczonym miejscu obok kuchni.

- Coś się zabrudziło w mieszkaniu mamy - dodałam i ruszyłam z wiadrem dalej.

Następnego dnia mama Idu zawołała mnie do siebie, do domu dla dzieci, gdzie jej zadaniem była kontrola czystości. Wskazała na moje łóżko. Była na nim plama, bez wątpienia plama krwi. Poczulałam paniczny strach. Odruchowo sprawdziłam czy mam podpaskę. Mama Idu poparzyła na mnie przebiegle.

- Czy twój ojciec o tym wie? - spytała.

- O czym?

- Stałaś się kobietą.

- Proszę - błagałam - niech to zostanie między nami! Gwałtownie złapałam prześcieradło zdejmując je do prania.

- Nie chcę nagany od mamy Felicitas - odpowiedziała chłodno. - Dziewczęta, które dostały pierwszej miesiączki, nie mogą mieszkać w domu dla dzieci.

Wyszłam ze spuszczoną głową, trzymając pod pachą zwinięty dowód winy. Najchętniej zdzierałabym się po głowie za tę nieostrożność.

W pokoju mamy rozłożyłam prześcieradło nad miską. Plama była jeszcze wilgotna. Jak to możliwe, jeśli od trzech godzin jestem na nogach? W tej chwili przypomniałam sobie, że moja piżama i bielizna były czyste.

To nie była moja krew! Mama Idu zastawiła na mnie pułapkę! Urządziła to tak, że sama się przyznałam. Jak mogła być tak podła. Zdobyła moje zaufanie, żeby potem mnie zdradzić! Nie wiedziałam co robić. Chciałam poradzić się mamy. Jednak ona była zbyt zajęta ojcem. Mama Felicitas i mama Patty również nie mogły mi pomóc. Przez jakiś czas nic się działo. Później prawie zapomniałam o tej wpadce. Unikałam jednak towarzystwa mamy Idu. Ku mojemu zaskoczeniu dalej mogłam mieszkać w domu dla dzieci.

Mój ojciec już od pół roku był chory i najwyraźniej ci wszyscy lekarze niewiele mogli pomóc. Przez jakiś czas krążyły nawet plotki, że nie ma go w haremie, że wyjechał leczyć się za granicą. Atmosfera wśród queens była napięta. Żony kłóciły się między sobą o kolejność gotowania, prania i sprzątanania compound. Kiedy ojciec David był zdrowy, harem żył ściśle ustalonym rytmem, przez niego wyznaczanym. Gdy zachorował, najważniejsze żony - Patty, Felicitas i moja mama - nie miały aż takiego poważania, aby móc stworzyć nowy plan dnia. Przede wszystkim nie było na to czasu, gdyż ojciec wymagał ciągłej opieki. W duchu łudziłam się, że w tym całym zamieszaniu moja miesięczka pójdzie w niepamięć.

I wtedy pewnego dnia ktoś brutalnie mnie obudził ściągnając ze mnie pościel.

- Mówiłam przecież! Ona nie może dłużej mieszkać w domu dla dzieci. - To mama Idu przyszła z grupą kobiet. Wszystkie patrzyły na mnie. To był kolejny raz, gdy zawiodły moje środki ostrożności i zabrudziłam łóżko.

Młodsze dziewczęta chichotały, gdy pakowałam swoje rzeczy. Mając prawie piętnaście lat wyprowadziłam się z domu dla dzieci. Na zawsze. Nigdy nie przypuszczałam, że moje pożegnanie z dzieciństwem będzie takie upokarzające. Umieszczono mnie w budynku, nazywanym - niezbyt przyjemnie - „kurnikiem”. Mieszkały tam dojrzałe płciowo dziewczęta, do których teraz i ja oficjalnie należałam. Znajdowały się pod szczególnym nadzorem queens dbających o to, żeby dziewczęta nie miały żadnych kontaktów z mężczyznami.

Tak bardzo brakowało mi wtedy wsparcia mamy! Chciałam, żeby jakoś mnie pocieszyła, żeby zapobiegła temu, co powracało jako koszmar w moich snach: wymuszonemu małżeństwu z obcym, nieznanym mi mężczyzną, którego nie będę kochała, tak samo, jak i on mnie. Kilka tygodni później mama znalazła trochę czasu, żeby wysłuchać moich trosk, ale nie wydawała się szczególnie zaniepokojona.

- Twój ojciec nie będzie w najbliższym czasie wyprawiał wesela. Nie ma teraz na to sił - powiedziała tylko.

- A co mu jest? - chciałam wiedzieć.

- Nabawił się ciężkiego zapalenia płuc. Prawdopodobnie przeziębził się, gdy wracaliśmy z Jeba i zbagatelizował to - twierdziła mama.

- A gdy wyzdrowieje? Za kogo będę musiała wyjść? Mamo, proszę, powiedz mu, że nie chcę wychodzić za mąż wbrew swojej woli.

- Moje dziecko, tak na pewno mu nie powiem. Ale zaufaj mi, znajdę odpowiedni sposób.



W „kurniku”, gdzie mieszkałam wraz z trzema innymi dziewczycami, mama Uloma, która sama wydała za mąż sześć córek, wyznaczyła nam, przyszłym narzeczonym, niezwykle ważne zadanie. Każda z nas musiała sobie uszyć suknię ślubną.

Umiałam zajmować się roślinami, umiałam rzeźbić, ale szycia unikałam zawsze jak ognia. Moje ściegi były krzywe. Miałam pokłute całe palce, a przede wszystkim brakowało mi ochoty do takiej pracy. Wmówiłam sobie, że jeśli nie uda mi się uszyć sukni, to może nie będę musiała wyjść z mąż...

Ale mama Uloma mnie przejrzała.

- Chcesz, żeby cała wspólnota cię wyśmiała, gdy wejdiesz do kościoła w takiej sukni? - pytała.

Pochlipując prućem ściegi i zaczynałam robotę od początku, chcąc przynajmniej oszczędzić sobie wstydu przed ludźmi. A jeśli chwilowo nie szylałam jak opętana, żeby naprawić swoją nadwątloną reputację, musiałam wraz z moimi towarzyszkami wysłuchiwać szczególnych lekcji mamy Ulomy. Bardzo poważnym tonem objaśniała nam jak mamy obsługiwać naszym przyszłym mężom.

Najważniejsza zasada brzmiała: nigdy mu się nie przeciwstawiaj. Po drugie: w okresie płodnym bądź do dyspozycji męża. Po trzecie: dziel się wszystkim ze swoimi współżonami. Po czwarte: jeśli urodzisz syna, wychowaj go w szacunku dla ojca i tak, żeby zadbał o ciebie na starość. Po piąte: jeśli urodzi się dziewczynka, wolno ci karmić piersią tylko rok. Potem musisz przygotować się do kolejnej ciąży.

Zdaje się, że w haremie wszystkie kobiety kierowały się tymi zasadami. Bycie kobietą oznaczało podporządkowanie się, rodzenie jak najwięcej dzieci i rezygnację z wszelkich swoich zainteresowań (chyba, że służyły one całej wspólnoty). Ja jednak miałam szczęście poznać inne życie. Byłam świadkiem, jak moja mama sama, bez męskiej pomocy prowadziła farmę. Jako dziewczynka jeździłam do miasta i targowałam się z kobietami o ceny towarów. Wiedziałam dobrze, że kobieta potrafi więcej niż tylko być posłuszną. Co gorsza, poznałam ojca Felixa, który jako głowa Rodziny powinien być dla niej wzorem skromności i odpowiedzialności, a tymczasem w ogóle nie troszczył się o swoje żony i dzieci.

A życie Jem? Im dłużej słuchałam mamy Ulomy, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że można było uniknąć tragicznego losu mojej siostry.

Gdybym nie zaznała życia w Jeba, prawdopodobnie słuchałabym nauk mamy Ulomy, siedząc w milczeniu na podłodze jak inne dziewczęta. Tymczasem z dnia na dzień dojrzywała we mnie potrzeba głośnego protestu. Myślałam tylko jedno: nie chcę! Ale dokąd miałam się udać? Na to pytanie nie znałam odpowiedzi. Dlatego dalej słuchałam wskazówek Ulomy

dotyczących prowadzenie domu i seksualnych obowiązków dobrej żony. I milczałam. Przez cały czas czułam, że zbliża się ten dzień, którego tak panicznie się bałam. I wiedziałam, że będę musiała zrobić to, przeciw czemu buntuje się cała moja dusza.

Moje ciało zareagowało jak zwykle w takich sytuacjach. Zachorowałam. Objawy jak wcześniej: wysoka gorączka, majaczenie i trzęsące zimno. Mama Uloma próbowała najpierw okładów. Potem zaczęto podejrzewać, że mam zapalenie opon mózgowych, bo skarżyłam się na bóle głowy. Wiedziałam, że choroba ta jest zakaźna, więc nie zdziwiło mnie zachowanie Ulomy. Kazała zamknąć mnie w osobnym budynku, gdzie nikt nie mógł mnie odwiedzać. Miałam wreszcie spokój, nie musiałam szyć sukni ślubnej i wysłuchiwać rad jak być dobrą żoną. Tylko strasznie nudziło mi się w tym małym pokoiku.

Wreszcie przyszła mnie odwiedzić mama. Miała zakryte usta, żeby uniknąć zarażenia. Martwiła się o mnie, a ja nie mogłam się doczekać, kiedy wszystko jej opowiem. Moje serce pełne było obaw. Mówiłam i mówiłam - bez przerwy, a mama, siedząc obok mnie, słuchała w milczeniu.

Potem zdjęła maseczkę ochronną i na jej twarzy zobaczyłam delikatny uśmiech.

- Moja mała Choga - powiedziała i pogłaskała mnie po głowie. Tego mi było potrzeba! Przytuliłam się do niej i rozplakałam. Jakby ze łzami miały opuścić mnie moje troski.

- Nie jesteś chora - stwierdziła mama. - A w każdym razie nie masz zapalenia opon mózgowych.

- To co mi jest?

- Po prostu nie chcesz być dorosła - odpowiedziała. Potem dotknęła mojej brody i uniosła moją twarz. - Ale masz już prawie szesnaście lat. W tym kraju to wiek, w którym dziewczyna wychodzi za mąż. Nie możemy udawać, że jest inaczej.

- Nie chcę wychodzić za mąż, mamó.

Spojrzała na mnie smutnym wzrokiem, jakby mnie rozumiała.

- Muszę pomyśleć co dalej, Choga Regina. Do tego czasu dzielnie zwalczysz twoje zapalenie opon mózgowych. Rozumiesz? - pocałowała mnie w czoło. - Niezbyt często mówiłam ci, że cię kocham, prawda? Ale tak właśnie jest. A teraz odpocznij. Niedługo znów przyjdę.

Założyła z powrotem ochronę na usta i wyszła z pokoju. A ja popatrzyłam na sufit i wyobraziłam sobie łagodne wzgórza, na których leżała nasza farma. Gdybym mogła tam jeszcze wrócić!

Mama nie wezwała do mnie lekarza, bo i po co? Zamiast niego zjawiała się jej przyjaciółka Amara, żeby zapewnić queens i moje siostry, że nie stanowią już dla nich zagrożenia.

Po raz ostatni widziałam Amarę jako dziecko, gdy oglądała moją nogę. Przytyła, jej postać wypełniała prawie cały pokój. Przystawiła sobie krzesło do mojego łóżka i spojrzała mi głęboko w oczy. Nic przy tym nie mówiła. Nie wiedziałam jak mam się zachować, spuściłam wzrok i czułam jej spojrzenie na mojej skórze. Gdy odważyłam się ponownie podnieść wzrok, zielarka wciąż jeszcze na mnie patrzyła.

- Dobra z ciebie dziewczyna - powiedziała wreszcie i dotknęła moich lodowatych rąk. Nie wiedziałam, co powiedzieć. - Czego byś najbardziej chciała?

- Chciałabym do domu! - odpowiedziałam spontanicznie.

- A gdzie jest twój dom?

Zabrał go ojciec Felix. Harem też nie był już moim domem. Zrezygowana wzruszyłam ramionami.

- Bóg jest twoim domem - powiedziała Amara. - Mieszkasz w Jego domu, a On mieszka w tobie. Zaufaj, a On cię ochroni. Nigdy nie zostawi cię w potrzebie - uściśnęła moje ręce - choć czasami tak nam się wydaje. To próby, na które nas wystawia. Ciebie też czeka wielka próba, ale ona cię wzmocni. Przed nią nie da się uciec - Amara spojrzała mi w oczy - bo i tak cię dogoni.

Uśmiechnęła się do mnie serdecznie, otworzyła swoją torbę ze zwierzęcej skóry i podała mi woreczek z szeleszczącą zawartością.

- Nie przyszłam tu tylko po to, żeby ci prawić morały, moje dziecko. Z tych ziół co wieczór, przed pójściem spać, zaparz sobie herbatę. Przyjdę do ciebie za kilka tygodni, żeby zobaczyć, czy ci pomogły - mówiła.

Zastosowałam się do zaleceń Amary, chociaż herbatka z szarozielonych liści miała gorzki smak. Po około tygodniu mój strach związany z przyszłością zniknął. Wróciłam do „kurnika” i zabrałam się za kończenie sukni. Doszłam do wniosku, że nikt nie ucieknie przed swoim przeznaczeniem, ale że można zrobić coś lepszego: wzmacniać się, żeby w chwili próby być naprawdę silnym.

Przez ponad rok piłam herbatkę Amary, nie pytając nawet, z jakich ziół się składa. Innym odpowiadałam, że to z powodu przebytego zapalenia opon mózgowych, bo nie chciałam, żeby ktokolwiek poznał prawdę. Wiara w Boga dawała mi siłę, ale herbata Amary dawała siłę wierzyć w Niego nawet wtedy, gdy nadchodziło zwątpienie.

Być może to była moja pierwsza prawdziwa lekcja dorosłości. W świecie, w którym zasady ustalają mężczyźni, kobiety potrzebują czegoś więcej niż tylko wiary. Na wszelki wypadek zachowałam te przemyślenia dla siebie...

\*\*\*

## **Wizja Idu.**

Mój ojciec nie nosił korony, a i tak bił od niego blask, jakiego nie miał nikt inny. Emanowała od niego siła i mądrość, które sprawiały, że wydawał się nietykalny. Wszyscy widzieliśmy w nim naszego władczy opiekuna.

Dlatego jego widok po chorobie był dla mnie tak szokujący. Musiałam dokładnie mu się przyjrzeć, żeby w ogóle rozpoznać w nim ojca Davida - głowę wielkiej wspólnoty wiernych. Ubrany w swoje długie białe szaty, ozdobione na piersi złotymi niciami, nie stanął jak zwykle przed nami, lecz usiadł na krześle z wysokim oparciem. Przez to wyglądał obcojak gość.

Najbardziej jednak przeraził mnie jego wygląd. Zeschuplał, przez co sprawiał wrażenie kruchego. Pomimo, a może właśnie z powodu zdobnych szat widać było, jak bardzo wychudł. Skórę miał szarą, a oczom brakowało dawnego blasku. Jego ręce leżały luźno na oparciu krzesła, a mimo to okazała bransoleta zegarka na drobnym przegubie wydawała się być ciężarem. Miałam wrażenie, że ojciec David stał się za mały na pełnienie tak ważnej funkcji, jaka mu przypadła. Mimo to wydawał się spokojny i opanowany.

Dom wspólnoty powoli wypełniał się. Kobiety, mężczyźni i dzieci zajmowali miejsca, a każdy odgłos odsuwanej krzesła burzył podniosłą atmosferę ponownego spotkania. Ojciec David siedział nieruchomo. Nie patrzył na żadne ze swoich dzieci, ani na żadną żonę. Wyglądał niczym wyrzeźbiona w drewnie figura ludzkiej wielkości, w której nie było życia.

Gdy wszyscy już siedzieli, podniósł do góry otwarte dłonie dając znak, żebyśmy się podnieśli i wspólnie pomodlili. Jego głos, rozpoczynający „Ojcze nasz”, brzmiał mocno jak zawsze. Zakończył modlitwę głośnym „Alleluja”, a mama Patty zaintonowała pieśń, którą wszyscy podjęli. Śpiewając Patty jak zwykle głośno klaskała, a chór uderzał w dzwonki i kołatki. Poważna atmosfera szybko zniknęła, a wspólny śpiew około trzystu głosów brzmiał wesoło i dodawał otuchy.

Byłam ciekawa, czy ojciec David się podniesie, czy będzie miał siłę przemawiać jak dawniej przez pół godziny tak jak dawniej. Chciałam też wiedzieć, czy doda nam otuchy i wyjaśni swoją długą nieobecność. Jednak on przez cały czas siedział na swoim krześle, trzymając się oparcia. Gdy przemawiał, krzesło aż drżało od wielkiej siły jego słów. Już na

początku wskazał na temat swojego kazania: śmierć i zmartwychwstanie. Nie wspomniał wprost o ostatnich dziesięciu miesiącach swojej choroby. Opisał je cytatami z Biblii. Dopiero teraz z przerażeniem zrozumiałam, jak blisko był śmierci.

Tymczasem świętowaliśmy powrót ojca kolejnymi pieśniami. Zapanowała euforia i nikt oprócz niego nie siedział już na swoim miejscu. Wszyscy tańczyli. Wiele osób wznosiło ramiona do nieba, wyśpiewywało swoją radość. Rodzina znów czuła obecność swojego serca - bijącego mocno.

Nieczęsto zdarzało się, żeby zgromadzenia przeradzały się w tak niekontrolowany wybuch radości. Czasami w takie dni usłyszeć można było przeraźliwy głos którejs z kobiet.

Reszta zebranych powoli milkła, aż słychać było tylko jeden głos - kobiety, która doznała łaski i miała wizję. Do owej pamiętnej niedzieli przeżyłam takie zdarzenie dwa lub trzy razy. Mieć wizję było czymś szczególnym, oznaczało bowiem, że w danym momencie przemawiał do zebranych głos Boga. Kobiety, które podczas uroczystości miały wizje, mogły przy innych świątecznych okazjach ozdabiać swój strój liliową szarfą opasającą biodra. Do końca życia miały pozycję wybranych przez Pana.

Tamtego dnia dość późno dotarło do mnie co się dzieje, tak bardzo byłam przejęta słabością ojca. Raz po raz mój wzrok wędrował w jego stronę. Wciąż siedział na swoim krześle, choć głośnym klaskaniem i silnym głosem podsyczał atmosferę euforii.

Na środku wokół jednej z kobiet skupiły się inne - ubrane na biało. Zmienionym głosem mówiła coś niezrozumiałego. Powtarzała wiele razy te same słowa.

Najprawdopodobniej jako jedyna zauważyłam, jak ojciec podnosi się z krzesła. Przychodziło mu to z trudem. Odczekałam chwilę i nasze spojrzenia spotkały się. Podbiegłam do niego i uklękłam obok, żeby mógł się na mnie wesprzeć. Skorzystał z mojej pomocy! Gdy już wstał, poczekał, aż i ja się podniosę. Ojciec David położył rękę na moim ramieniu i dostąpiłam zaszczytu prowadzenia go przez tłum wiernych, który z szacunkiem rozstępował się przed nami. Powoli zbliżaliśmy się do wizjonerki.

Była nią mama Idu. Jej ciałem wstrząsały drgawki, oczy miała zamknięte, a jej usta drżały. Nie rozumiałam, co mówi, gdyż używała swojego języka z północy kraju. Byliśmy przekonani, że w tym momencie objawia się w niej wola Boża.

Jedna z kobiet, pochodząca z tej samej okolicy co mama Idu, zaczęła spontanicznie przekładać słowa wizjonerki na angielski.

- Nadszedł czas - tłumaczyła, a my z ojcem staliśmy blisko siebie przed Idu - kiedy Bóg żąda aktu pokory. Znaku, którym ojciec wyrazi swą wdzięczność za wyzdrowienie. Najukochańszą ze swych córek, nad którą trzyma rozłożone dłonie, żeby ją chroniły, bo jest

najsłabsza, tę córkę niech wyda za mąż za człowieka, który stoi najbliżej niego, aby tym samym wzmocnić między nimi więzy miłości.

Kilka kobiet wyprowadziło mamę Idu z domu wspólnoty. Kobieta, która w stanie transu doznała wizji, nie może być dłużej wypytywana. Przez następne dni trzeba się nią opiekować, aby wróciła do zdrowia. To zadanie przypadło mamie Bisi.

Mówiąc szczerze, niewiele zrozumiałam z wizji mamy Idu. Nie miałam pojęcia, o którą córkę mogło jej chodzić, a już na pewno nie wiedziałam, którego mężczyznę miała na myśli. Moje życie zmieniało się na moich oczach, a ja z początku nawet tego nie zauważyłam. Dwa dni potem, wieczorem, mama przyszła po mnie do „kurnika” i zabrała do swojego mieszkania. Zamknęła dokładnie drzwi, usiadła obok mnie na sofie i wzięła za rękę.

- Choga Regina - powiedziała i spojrzała na mnie uważnie - muszę powiedzieć ci dziś coś bardzo ważnego. Wiesz, że cię kocham i zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy. Ale mój wpływ ma granice.

Czułam, że nadeszła chwila, której tak się bałam od momentu, gdy po raz pierwszy na farmie zbrudziłam krwią prześcieradło.

- Kto to? - spytałam z wyrzutem.

- Słyszałaś, co Idu mówiła przedwczoraj w domu wspólnoty? Twój ojciec jest przekonany, że jej wizja dotyczy ciebie i ojca Felixa.

Myślałam, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Patrzyłam na mamę tępych wzrokiem i miałam nadzieję, że zły sen zaraz minie.

- Ale przecież ja nie jestem najukochańszą córką ojca - powiedziałam przez łzy.

- Ależ jesteś, Choga Regina. Właśnie ty nią jesteś. Każdy widział jak staliście razem z ojcem podczas wizji Idu, jak ojciec trzymał rękę na twoim ramieniu. Gdy padły słowa: „najukochańsza córka, nad którą ojciec trzyma rozłożone dłonie”, nawet ja od razu wiedziałam, że chodzi o ciebie. Ojciec umożliwił ci życie, które uczyniło cię szczęśliwą. A teraz jest przekonany, że posyłając cię do Jeba uczyni dla ciebie jak najlepiej.

- Ale ojciec Felix... - nie mogłam wymówić ani słowa więcej! Głos uwiązał mi w gardle. Nawet perspektywa powrotu na farmę nie pocieszyła mnie w obliczu faktu, że muszę poślubić akurat tego przebiegłego człowieka, o którym żaden z moich najbliższych nie wypowiedział ani jednego dobrego słowa.

- Człowiek, do którego twój ojciec jest tak przywiązany, nie może być zły. Oczywiście ma swoje dziwactwa, jak każdy. - Matka wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Nie przekonały jej chyba własne słowa. - Pomyśl, przynajmniej wiesz, gdzie będziesz mieszkać i z kim będziesz dzielić życie. Większość dziewcząt nie ma tak dobrze. - Mama

próbowała dodać mi odwagi, ale czułam wyraźnie, że sama znalazła się w potrzasku. Nie mogła przeciwstawić się ojcu, a jednocześnie chciała mnie chronić.

- Felix jest mi niemiły, mamó - wyznałam.

- Dotąd żyłaś wśród kobiet. Nie znasz mężczyzn. To normalne, że boisz się małżeńskiego życia - mama znów próbowała mnie uspokoić.

- Mamó, widziałam jak on prześladowuje dziewczyny.

- Twój ojciec poprosił mnie, żebym pojechała do ojca Felixa i wszystko z nim omówiła. Wyruszam już jutro. Zaufaj mi, Choga Regina. Załatwię wszystko jak najlepiej dla ciebie.

W głowie kłębiło mi się mnóstwo pytań, ale już o nic nie pytałam. Otarłam łzy i siedziałam jak odurzona.

Wiadomość o moim rychłym ślubie rozeszła się po haremie błyskawicznie, niemal zanim ja sama się o nim dowiedziałam. Większość mieszkańców składała mi gratulacje, gdyż bycie żoną zastępcy ojca uważano za zaszczyt. Zupełnie nie wiedziałam jak mam się wobec nich zachować. Gdy zapewniano mnie, że jako najmłodsza z żon Felixa będę na pewno cieszyć się jego specjalnymi względami, ze wstydu chciałam zapaść się pod ziemię. Na dodatek mama Uloma dała mi indywidualne lekcje, na których jasno określiła moją rolę w małżeństwie. W ostatnich latach ojcu Felixowi rodziły się „tylko” córki. Ja na pewno urodzę mu wielu synów...

Miałam nadzieję, że w końcu znów zachoruję. Ale z tej strony ratunek nie nadchodził, co zawdzięczam zapewne herbatce Amary. Nie mogę uciekać przed próbą, ostrzegała mnie Amara, bo ona i tak mnie nie ominie. Wypiłam więc świeżo zaparzone zioła i byłam zdumiewająco spokojna. Przez całe dzieciństwo opychałam się orzeszkami ziemnymi i słodkim białym chlebem, teraz na sam widok słodczy robiło mi się niedobrze. Nie mogłam nic jeść.

Matka wróciła wreszcie od swojego przyszłego zięcia. Wolnym krokiem wchodziła po schodach do swojego mieszkania. Znów usiadłyśmy na wysłużonej sofie. Czułam się jak owca prowadzona na rzeź, bo Rodzina potrzebuje jedzenia.

- Dogadałaś się z ojcem Felixem? - spytałam ostrożnie. Nasze pożegnanie z farmą nie przebiegało w serdecznej atmosferze.

- Mam cię pozdrowić od Jo - zaczęła mama. - Prosi, żeby ci przekazać, że cieszy się na twój powrót.

- Czy Felix jest dla niego miły?

- Toleruje go. Więcej nie ma co wymagać - powiedziała mama.

Wyglądała na zmęczoną. Mimo że umierałam z ciekawości, ona długo dobierała słowa.

- A Felix? - spytałam.

- Jego żony zgadzają się na wasze małżeństwo. Oczywiście on sam również. Odniosłam nawet wrażenie, że czuje się zaszczycony, że ojciec David oddaje mu za żonę jedną ze swoich córek. Moim zdaniem, nie musisz się niepotrzebnie martwić. Twój przyszły mąż będzie cię odpowiednio traktował.

- Ale... ale on będzie chciał mieć ze mną dzieci... - wyjąkałam z trudem. Trudno było mi rozmawiać na ten temat.

Matka odwróciła się do mnie i wzięła mnie za rękę.

- Posłuchaj, moje dziecko, rozmawiałam z ojcem Felixem... o tym - spojrzała na mnie poważnie. - To, co ci teraz powiem, zostanie naszą tajemnicą. Obiecujesz? On poczeka. Wie, że jesteś jeszcze bardzo młoda.

- Nie poczeka, mamó! Ja to wiem. Przecież już chciał...

- Zaufaj mi. Nie tknie cię - przerwała mi. Mówiła cicho, lecz stanowczo. Takiej jej jeszcze nie słyszałam. Coś wytargowała z Felixem, ale nie chciała mi nic zdradzić.

- Kiedy jedziemy do Jeba? - spytałam zmartwiona. Było dla mnie oczywiste, że mama będzie mi towarzyszyć. Zawsze razem jeździłyśmy na farmę. Ta myśl pocieszała mnie przez ostatnie dni. Miałam nawet nadzieję, że powrócą dawne czasy, co prawda z Felixem, ale jakoś zniosę jego obecność, o ile mnie nie dotknie, jak obiecywała mama.

- Wyruszyście do Jeba następnego ranka po ślubie - odpowiedziała mama.

Spojrzałam na nią zdziwiona.

- Nie pojedziesz ze mną?

- Zostaniesz żoną Felixa. Będziesz nosić nazwisko Egbeme. Twój mąż nie życzy sobie mieszkać pod jednym dachem z teściową. Nie udało mi się przekonać go do tego.

I nie byłby to najlepszy pomysł. - Ależ mamó! Myślałam...

- Ojciec Felix dotrzyma swojej obietnicy - mama przytuliła mnie. - Idu zgodziła się mnie zastąpić. Ze względu na jej wizję, twój ojciec nie mógł jej tego odmówić. Obiecała stać u twego boku. Powiedziała mi, że spędziliście razem sporo czasu, kiedy ojciec był chory. Cieszę się, że się zaprzyjaźniłyście.

Przypomniało mi się zakrwawione prześcieradło i sposób, w jaki Idu mnie zdemaskowała, a także to, że zbyt dobrze wypowiadała się o ojcu Felixie.

Mama zauważyła moją niezadowoloną minę.

- Nie jesteście przyjaciółkami? - dopytywała się.



Teraz była okazja, żeby powiedzieć: „nie, mam, i nie ufam jej ani odrobinę”. Ale czy mogłam coś takiego choćby pomyśleć? Idu miała przecież wizję! Przez jej usta objawiła się wola Boża. Ja miałam dopiero szesnaście lat i wychowano mnie w bezwarunkowej wierze w posłuszeństwo tej woli oraz woli ojca.

- Będziecie mieć na farmie telefon - powiedziała mama. - Jeśli będzie ci smutno, możesz do mnie zadzwonić.

- Dziękuję, mam - powiedziałam. Chciało mi się płakać.

Dzień mojego ślubu zbliżał się nieubłaganie. Zaplanowano wielkie przyjęcie, największe w całym roku. Wszystkie queens z zapalem dekorowały swoje podwórza. Niektóre domy z tej okazji nawet odmalowano. Pomagałam, gdzie tylko mogłam. Żeby tylko nie myśleć! Mama Felicitas imama Patty oczekiwały wielu gości na ślubie córki swojej przyjaciółki. Bliższa i dalsza Rodzina miała przybyć z całej Nigerii. W przygotowaniach brał udział każdy. W haremie miało nocować mnóstwo kobiet. Dla mających przybyć mężczyzn udostępniono dom ojca tak, żeby przyjąć jak najwięcej gości. Resztę weselników rozlokowano u okolicznych członków naszej wspólnoty.

Nie było zwyczajem wydawać takiego przyjęcia z okazji ślubu córki. Najczęściej po małej uroczystości moje siostry odjeżdżały ze swoimi mężami do ich Rodzin. Wracaly po latach z odwiedzinami. Mama Idu, która już doszła do siebie i w czasie uroczystości rodzinnych miała na sobie liliową szarfę, powiedziała w czasie przygotowań zdanie, które utkwiło mi w pamięci: „Ojciec Felix jest drugim pod względem ważności mężczyzną w Rodzinie”.

Oczywiście, pomyślałam, to jest przyczyna! Cały ten „cyrk” był z powodu zastępcy ojca. Między nim a ojcem Davidem miały zostać umocnione „więzy miłości”. Ja byłam tymi więzami. Czułam się jak przedmiot, a nie jak prawdziwa panna młoda.

\*\*\*

## **Mój ślub.**

W końcu mama Uloma osobiście zajęła się moją suknią ślubną, którą trzeba było dwa razy przerabiać, bo z dnia na dzień byłam coraz chudsza. Starsza pani doprowadzała do perfekcyjnego wyglądu mój przepiękny długi welon. A potem przyniosła mi buty! Były białe, miały szpic i obcas. I ja miałam je założyć! Nie mogłam zrobić nawet trzech kroków, żeby nie wykręcić sobie nogi. Uloma szybko zorientowała się, że mój problem polega na różnej długości nóg i zabrała buty. W przeddzień ślubu postawiła je znów przede mną. Jeden but został podwyższony o trzy centymetry. Miałam wrażenie jakbym chodziła na szczydłach.

Uloma od ręki wydłużyła brzeg sukni.

- Nie będzie nic widać, moje dziecko - pocieszała mnie.

- Ale ja nie mogę w tym chodzić - próbowałam ją przekonać.

- Będiesz najpiękniejszą panną młodą, jaka brała ślub w tym domu. Twoje małżeństwo będzie bardzo szczęśliwe, bo zostało przepowiedziane w wizji. Coś takiego zdarza się bardzo rzadko - cieszyła się moja nauczycielka.

Obracała mnie przed lustrem we wszystkie strony i szarpała to welon, to znów suknię.

Pod wieloma fałdami materiału mogłaby się ukryć jakaś obca dziewczyna. Nikt by się chyba nie zorientował. Być może powinnam była zaryzykować i zamienić się z inną...

Deszcz jest w moim kraju na wagę złota. Jednocześnie prawie zawsze jest zaskoczeniem. W Jeba robiliśmy wszystko, żeby wykorzystać każdą kroplę. Ale w haremie było inaczej. Dlatego deszcz, który spadł w dniu mojego ślubu, utkwił mi w pamięci. Zaczął padać w nocy dużymi, ciężkimi kroplami. Do rana zamienił całe compound w błotnistą breję z czerwono-brązowej ziemi. Z jednej strony wszyscy cieszyli się z wyczekiwanego przez długie miesiące suszy deszczu, z drugiej jednak nie najlepszy wybrał sobie moment.

W moich niewygodnych szcudłowatych butach nie mogłam zrobić ani kroku, tym bardziej, że suknia usztywniała mnie od góry. A do tego jeszcze to błoto! Zanim z „kurnika” dotarłabym do domu wspólnoty, z mojej pięknej sukni zrobiłaby się szmata. Położone w pośpiechu długie deski szybko zrobiły się śliskie. Na pewno nie uszłabym po nich w daleko w tych butach.

Bezradnie przeglądałam się w dużym lustrze mamy Ulomy. Stała w nim wystrojona lalka. Mimo że moje włosy przykrywał welon, i tak musiały zostać dokładnie natłuszczone, zakręcone i ozdobione białymi wstążeczkami. Czesanie trwało całe godziny. Wszyscy cieszyli się, że jestem tak piękną panną młodą. A ja myślałam o błocie na zewnątrz i wyobrażałam sobie, jak potykam się na deskach i lecę w nie jak długa. A gdy ojciec Felix (jakoś nie mogłam myśleć o nim jako o „moim mężu”) podniesie welon, ujrzy swoją zabłoconą żonę. Na samą myśl o tym nie mogłam powstrzymać się od chichotania.

W tym momencie za moimi plecami pojawiła się w lustrze mama Idu. Z początku myślałam, że mi się przywidziała.

- Ojciec Felix może uważać się za szczęśliwca, że będzie miał tak piękną i tak wesołą żonę - wyszeptala.

Mająca trzydzieści pięć lat Idu nie była zaliczana do młodych. W moim kraju wiele kobiet w jej wieku ma już wnuki. Mimo to czułam się przy niej jak niezgrabny klocek. Idu wyglądała jak gdyby to ona miała wyjść za mąż. Jej sukienka i zasłona na twarz uszyte były z

delikatnego lejącego się materiału. Jego biel zmieszana była z odrobiną różu, który podkreślała liliowa szarfa na biodrach. Zasłonę nosiła z takim wdziękiem, że można było podziwiać jej piękną łabędzią szyję.

- Jesteś piękna - stwierdziłam bez zazdrości.

Mama Idu obróciła się przed lustrem, a jej słodkie perfumy wypełniły cały pokój. Ja zaś stałam niepewnie obok w moich podwyższonych butach i myślałam, że powinnam się z nią zamienić. To ona bardziej wygląda na pannę młodą niż ja! Ale Idu nią nie była, była za to moją świadkową.

Po kolei zjawiały się w „kurniku” moje ulubione mamy. Jako pierwsza przysłała mama Ada. Spojrzała to na Idu to na mnie.

- Mam nadzieję, że ojciec Felix będzie wiedział, z którą z was bierze ślub - skomentowała sytuację.

Mama Idu rzuciła jej lodowate spojrzenie.

Ada położyła dłoń na moim ramieniu i odpowiedziała cytatem z Kazania na górze: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”.

Wreszcie zjawiała się też moja mama i pocziwa mama Bisi, która od razu wyczuła napiętą atmosferę. Na znak mamy wzięły mnie w środek, podrzuciły do góry i przeniosły przez zwały błota, mijając queens i moje siostry. Niektóre śmiały się na nasz widok, inne zaczęły klaskać.

Gdy dotarliśmy do wypełnionego już po brzegi domu wspólnoty, grupa rytmicznie klaszczących i śpiewających osób utworzyła mój orszak weselny. Pośród wielu ubranych na biało queens mogłam się czuć jak królowa. To był przepiękny widok, prawdopodobnie najpiękniejszy tego dnia, a na pewno najpiękniejszy z całego mojego małżeństwa. Wypełniała mnie gorąca wdzięczność wobec mojej mamy, mamy Ady i mamy Bisi. Płakałam. A więc i ja mam zostać queen.

Ojciec czekał na mnie siedząc na swoim krześle. A w pierwszym rzędzie stał mężczyzna, który miał mnie poślubić. Ojciec David, ojciec Felix mieli na sobie szerokie i białe szaty do samej ziemi, przetykane i ozdobione złotem, a do tego wysokie, z jednej strony opuszczone czapki. Wyglądali jak dwaj królowie. Tato powoli i dostojnie przeszedł przez całą świątynię i stanął przede mną.

Widziałam już wystarczająco wiele ceremonii ślubnych, żeby wiedzieć, że poprowadzi mnie pod ramię do ołtarza. Zrobi to wobec tych wszystkich ludzi, którzy na nas patrzyli. Nawet jeśli nie było widać mnie spod zwojów materiału, oni i tak wiedzieli, że to ja. Poczulałam spiczaste twarde „szczudła” na moich nogach i ogarnęła mnie nagła panika. Co

będzie, jeśli źle postawię nogę, złamie mi się obcas, przewrócę się i pociągnę ojca za sobą? Aż dziw, że człowiek w tak ważnej chwili zajmuje się takimi drobiazgami!

To była najtrudniejsza droga mojego życia! Nie wiem, jak udało mi się przejść. W jakiś sposób znalazłam się z przodu, obok ojca Felixa i powiedziałam sakramentalne „amen”. On włożył mi na palec obrączkę

Mama Idu, której wizji zawdzięczałam to wesele, objęła mnie i z błyszczącymi oczyma wygłosiła swoje błogosławieństwo. Na koniec swojej krótkiej wypowiedzi przekazała nam motto naszego małżeństwa.

- Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni zostaną pocieszeni - powiedziała i uśmiechnęła się.

Ojciec Felix podniósł mój welon i pocałował mnie. „Alleluja!” rozległo się za moimi plecami.

Byłam szesnastoletnią panną młodą, która nie potrafiła dobrze chodzić i przez cały czas rozmyślała, jak przetrwać długą drogę z powrotem. Czy mama Idu była rzeczywiście moją przyjaciółką, jak sądziła moja mama? Czy prawdziwa przyjaciółka wybrałaby właśnie ten fragment Ewangelii Św. Mateusza jako motto na nową drogę życia? Miałam wrażenie, że Idu życzy mi w ten sposób raczej czegoś przeciwnego niż szczęście...

Po ceremonii chciałam jak zwykle zająć miejsce wśród innych dziewcząt, ale ojciec Felix skierował mnie do swoich żon. Znałam już te, które przybyły z nim na farmę. Dwie starsze przyjechały aż z Ibadan. Ja zostałam żoną numer sześć. Moje współżony były osobami pogodnymi, niektóre z nich miały dwa razy tyle lat co ja, najstarsze około czterdziestu. Pochodziły z północy kraju i rozmawiały głównie w swoim języku. Jeśli nie chcę stać się tematem ich żartów, muszę jak najszybciej nauczyć się ich mowy.

Podczas właściwej uroczystości weselnej w domu wspólnoty prawie nie widziałam ojca Felixa, jeśli już - to z daleka. Mama tak wszystko zaaranżowała, że oszczędzono mi pierwszego tańca. Idu dobrze tańczyła i chętnie wzięła na siebie tę część tradycji. Szybko pozbyłam się butów, uniosłam suknię i wmieszałam się w tłum gości. Szukałam wśród nich twarzy, która mignęła mi wcześniej przez chwilę, twarzy Efe. Wreszcie ją znalazłam. Była ze swoim półtorarocznym synkiem, słodziutkim chłopczykiem o twarzy lalki.

- Co u ciebie słyhać? - spytałam po długich uściskach. Rozpromieniała.

- Tak się cieszę, że wtedy nie uciekłam - powiedziała. - Ojciec Sunday nosi mnie na rękach. Miałam szczęście, Choga. Jednak nie zawsze warto oceniać ludzi po pierwszym wrażeniu. A ty, moja siostrze? Nie wyglądasz na szczególnie szczęśliwą pannę młodą. Mam rację?

- No cóż, ojciec Felix nie jest mężem moich marzeń - zamruczałam.

- Musisz dać wam trochę czasu. Życie małżeńskie to w zasadzie sama przyjemność - mrugnęła do mnie. W tej chwili pojawił się jej mąż, ojciec Sunday i zawołał ją do siebie

- Przyjdź później do mieszkania mojej matki, to jeszcze sobie pogadamy! - powiedziała zanim odeszła.

Ze wszystkich stron przyjmowałam życzenia i stopniowo wycofywałam się z domu wspólnoty, kierując się w stronę budynku, w którym razem z Bisi i Adą mieszkała moja mama. Deszcz przestał padać. Z radością wdychałam rześkie powietrze. Okna w mieszkaniu mamy Bisi były szeroko otwarte i już z podwórza słyszałam jej głos. Na palcach zakradłam się pod okno, żeby przestraszyć je obie z Efe.

Wtedy dobiegł mnie głos mojej mamy:

-...moja droga Bisi, wiem, że masz rację, ale nie przyszło mi do głowy żadne inne rozwiązanie.

- Nie zauważyłaś, jak nasza mała jest nieszczęśliwa? Ojciec Felix nie jest dobrym człowiekiem - głos mamy Bisi przepełniony był troską.

- Wielu innych akurat w nim widzi silnego mężczyznę, a David był przyparty do muru. Jeśli sprzeciwiłby się wizji Idu, to zostałyby to odebrane jako jawny brak zaufania do swojego zastępcy. Nieunikniona byłaby walka o władzę. Długo rozmawiałam o tym z Davidem i nie było innego wyjścia! - matka mówiła ściszym głosem, ale wyraźnie słychać było, że jest zdenerwowana.

- Nasza mała stała się zabawką, dzięki której mężczyźni dadzą sobie nawzajem spokój. Liso, ona na to nie zasłużyła!

- Wiesz co Felix powiedział na farmie? Jeśli ojciec David sprzeciwiłby się wizji Idu, to on wykluczyłby go z Rodziny, gdyż sprzeciwiłby się tym samym woli Boga. Bisi, ten człowiek liczył się z tym, że nie dostanie naszej córki za żonę. Tak naprawdę, to miał chyba nawet taką nadzieję! Możemy dziękować Bogu, że ojciec David był tak mądry i przejrzał swojego zastępcę. Choga mi nie wierzy, ale Felix, jak każda ważna osoba w Rodzinie, doskonale wie, że David bardzo kocha moją córkę. Dając mu ją za żonę, ogromnie wzmacnia pozycję Felixa w naszej wspólnotcie. Dzięki temu zastępca nie będzie już zagrażał Davidowi.

- Ale cena, jaką musi za to zapłacić nasza dziewczynka, jest zbyt wysoka, Liso. Jej los stał się częścią gry.

- Wkrótce minie siedemnaście lat, od kiedy tu przybyłam. Długo byłam obca. Między innymi tobie zawdzięczam, że jakoś zadomowiłam się w haremie. Czy po tak długim czasie miałabym przekreślić wszystko o co walczyłam? Rzykować, że ten dom, dający schronienie

tak wielu osobom, ulegnie zniszczeniu? Musiałam położyć na szalę z jednej strony życie moje i Chogi, z drugiej zaś życie tak wielu osób. Powiedz mi, proszę, jaka decyzja byłaby dobra? Dlatego wybrałam to rozwiązanie.

- Nie, nie, Liso. To, co się stało, nie było dobre. Nie wolno wykorzystywać woli Bożej i czynić z niej polityki.

- Możesz wyrazić to inaczej. Wiem, że gdybyś mnie tak nie kochała, zrobiłabyś to. Powiedziałabyś mi wprost, że poświęciłam swoją córkę.

- Kochana Liso, nawet bym tak nie pomyślała! - zaprotestowała głośno mama Bisi.

- Ale tak myśląc miałabyś rację. Bóg mi świadkiem, że miałabyś rację. On ukarze mnie za moje tchórzostwo.

Stałam obok okna jak wryta, przyciskając plecy do muru. Przecucie mnie nie zawiodło. „Więzy miłości” nie były niczym innym niż zimną kalkulacją. O dziwo, poznając prawdę, nie poczułam złości. Byłam spokojna. Gdy przez okno usłyszałam szlochanie, ostrożnie zajrzałam do środka. Moja mama klęczała przed mamą Bisi tuląc głowę do jej łona. Mama Bisi głaskała matkę po głowie i ramionach. Ten delikatny gest był oznaką głębokiej zażyłości.

Bez namysłu obeszłam dom i po cichu skierowałam się do drzwi mieszkania Bisi. Otworzyłam je i na palcach weszłam do pokoju. Pograżona w rozpacz matka nie usłyszała mnie. Ale moja chrzestna spojrzała na mnie. Najpierw zobaczyłam w jej oczach przerażenie. Potem w milczeniu skinęła na mnie głową. Uklękałam obok mojej mamy i też zaczęłam ją głaskać. Poczułam wewnętrzne ciepło. Przepelniały mnie miłość, zrozumienie i wybaczenie.

- Słyszałaś wszystko? - zdziwiona mama odwróciła w moją stronę zapłakaną twarz.

- Bóg cię nie ukarze, mamó. Zrobię wszystko, co tylko chcesz - zapewniłam.

- Dałam mu bardzo dużo pieniędzy, moje dziecko, żeby trzymał się naszej umowy - powiedziała zrozpaczona matka. - Powinnaś o tym wiedzieć. Jeśli kiedykolwiek ci to wypomni, powiedz mu, że nie jest lepszy ode mnie. Jesteśmy ze sobą kwita. Oboje zgrzeszyliśmy.

Bardziej przyziemny problem natury organizacyjnej kazał mi wywołać mamę Bisi. Była to zakrwawiona podpaska, z powodu której najstarsza żona ojca Felixa miała spędzić noc obok pana młodego. W ten sposób umowa między matką a Felixem nie weszła w życie jeszcze w compound.

Ostatnią noc w haremie, noc poślubną, spędziłam w „kurniku”. Po raz ostatni. Przez cały czas rozmawiałam z innymi dziewczętami. Żadna mi chyba nie zazdrościła. Wszystkie jednak uważały, że mogłam trafić gorzej niż na takiego mężczyznę, jakim był ojciec Felix.

Następnego ranka wyruszyliśmy do Jeba. Rozstanie z matkami i z moją mamą było bolesne. W przeszłości miałam sobie radzić bez ich miłości, rad i ochrony.

- Jesteś silniejsza niż myślisz - powiedziała mama Bisi obejmując mnie po raz ostatni. Zaufaj sobie, moja mała, a Bóg będzie przy tobie. Uścisnęła mnie mocno i przekazała błogosławieństwo dla swojego syna, Jo. Mama obiecała wkrótce mnie odwiedzić. Jakos uda się to zorganizować, przyrzekała. Potem się odwróciła i szybkim krokiem odeszła. Nie chciała, żebym widziała jej łzy. Wołała pozostać w mojej pamięci jako silna kobieta.

Podczas gdy ojciec Felix wraz z naszymi prezentami ślubnymi pojechał pierwszy swoim białym mercedesem, ja razem z trzema innymi żonami, wdrapałam się na jego ciężarówkę, którą miał prowadzić ochroniarz. Moje rzeczy osobiste zmieściły się w dwóch kartonowych pudłach. Plandeka samochodu chroniła nas przed deszczem, który znów zaczął padać. Mama Idu usadowiła się w kabinie kierowcy na miejscu pasażera. W końcu nie była żoną Felixa. Te zaś traktowały ją z pełną czcią. Siedziałam tam, gdzie było teraz moje miejsce - razem z queens. Patrzyłam ostatni raz na mury haremu. Tam nie było już dla mnie przyszłości. A co czekało na mnie w Jeba?

Z zamyślenia wyrwał mnie chichot pozostałych kobiet. Jedna z nich powiedziała coś, co rozbawiło resztę. Widziałam przed sobą kilkoro roześmianych oczu i poczułam się straszliwie samotna.

- Twoja świadkowa Idu nauczy cię jak być dobrą żoną - powiedziała moja sąsiadka i objęła mnie ramieniem.

Wszystkie trzy zaśmiały się, jakby usłyszały naprawdę dobry żart.

\*\*\*

## **Udane małżeństwo.**

Gdy kończy się pora deszczowa, nastaje najpiękniejsza pora roku. Kielkują nasiona i dosłownie widać, jak natura budzi się do życia. Pamiętam, że kiedyś zawsze biegałam w to samo miejsce i skupiałam się na obserwacji jednej wybranej rośliny. Patrzyłam jak rośnie. Na wielu polach, które mijaliśmy po drodze na farmę, można było zauważyć pierwsze zielone pędy.

Czułam się dziwnie. Przez prawie dwa lata tęskniłam za farmą, lecz w miarę zbliżania się do niej coraz mniejszą miałam ochotę na powrót. Nie wiedziałam, czy spotkam tam jeszcze swoich bliskich. Jeśli nie, znajdę się wśród samych obcych mi ludzi. A najbardziej nieprzyjemny z nich był moim mężem. Czy umowa mamy z Felixem rzeczywiście będzie

aktualna? Oczywiście na farmie byli jeszcze Jo i Corn, którzy na mnie czekali, ale jak mój ukochany brat będzie odnosił się do mnie jako żony Felixa?

Ciężarówka podskakiwała na wyboistej drodze prowadzącej do gospodarstwa. Uniosłam plandekę i patrzyłam na pola należące do nas. Miałam wrażenie, że czas się cofnął. Jednak kiedy ciężarówka zatrzymała się przed domem - gdzie stał już biały samochód Felixa - zrozumiałam, że nic nie będzie takie jak dawniej. Rozglądałam się za Cornem, ale nigdzie go nie widziałam. Postanowiłam później spytać o niego Felixa.

Gdy tylko mama Idu przekroczyła próg domu, przejęła w nim dowodzenie. Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie zdziwiło, ponieważ już po drodze wyznaczyła sobie szczególną pozycję. A ja, podobnie jak inne żony, zaakceptowałam ją. W czasie gdy zносиłyśmy swoje bagaże do domu, Idu zrobiła rundkę i oznajmiła, który pokój powinien być jej. Wybrała ten na parterze, znajdujący się dokładnie naprzeciwko pomieszczeń, które kiedyś zajmowałam z mamą. Potem wskazała mi pokój, który przeznaczyła dla mnie, jakby to było oczywiste, że właśnie tam zamieszkać.

Zdziwiłam się, bo był to akurat mój stary pokój. Felix mieszkał oczywiście w pokoju mamy, w byłej bibliotece. Nasze pokoje sąsiadowały więc ze sobą. Uspokoiliam się, gdy zobaczyłam, że jedna z żon Felixa, mama Rhoda, dzieli ze mną pokój. Nie chodziło mi przy tym o jej towarzystwo, ale o to, że będę czuła się bezpieczniej. Bezpieczniej jeśli chodzi o poślubionego mi mężczyznę. Rhoda mieszkała w tym pokoju przez ostatnie dwa lata i po swoim się w nim urządziła. Niechętnie zrobiła mi miejsce tak, że mogłam położyć w kącie to, co ze sobą przywiozłam. Moja współżona, bo tak się do niej zwracałam, była o około dwadzieścia lat ode mnie starsza. Początkowo z trudem się porozumiewaliśmy, bo nie mówiła w żadnym z języków, które znałam. Z biegiem czasu uczyła mnie swojej mowy.

Felix powitał nas w kilku słowach, w których przedstawił Idu jako gospodynię. Żeby uniknąć wszelkich kłótni, ona miała rozdzielać pracę.

- Ona też będzie wam przekazywać, kiedy będę miał czas dla każdej z was - oznajmił swoim czterem żonom, które tu z nim mieszkały. Na pierwszy rzut oka obecne życie na farmie nie różniło się bardzo od tego, które już znałam. Mój pierwszy tydzień miałam spędzić z Rhodą w kuchni.

Ale mnie ciągnęło na dwór. Chciałam zobaczyć jak wygląda farma. Pola leżące najbliżej domu były zaorane, pojawiły się już na nich pierwsze źdźbła zboża. Obsadzonych było też kilka pól, na których uprawialiśmy bataty i kukurydzę. Ale za to nie posadzono yam. Szklarnia, którą z dumą postawiliśmy trzy lata temu żeby hodować pomidory, ucierpiała



podczas burz. Żyzną ziemię, która w niej była, przysypano piaskiem. Załamana kuśtykałam w deszczu od pola do pola, oglądając spuściznę mojej matki.

W myślach wciąż miałam zdanie wypowiedziane przez mamę Adę, że ojciec Felix pożre wkrótce swoją przyszłość. To, co wyrosło, starczało, żeby wyżywić mieszkańców farmy i co tydzień nakarmić biednych, ale o sprzedaży, tak jak kiedyś, nie mogło być mowy. Chociaż farma została przecież założona w tym celu.

Po długich poszukiwaniach spotkałam Jo w starej stodole. Próbował naprawić traktor. Zażenowany ledwo mnie pozdrowił i niemal ze strachem wyznał, że to drogie, sprowadzane z Europy urządzenie, od tygodni nie działa. Pękła część napędu, a łąta nie chciała już trzymać. Na kosztowne części zamienne oczywiście brakowało pieniędzy. Co się z nim stało? Nagle był taki obcy.

- Miałem nadzieję - mówił Jo - że uda mi się go naprawić zanim przyjedziesz - wyglądał na bardzo zmartwionego. - Zawaliłem sprawę. Ale to nie moja wina. Felix nie zgadzał się na nic, co proponowałem. Co mogłem zrobić? - Mojemu bratu Jo przybyło dwa lata, ale to nie jedyna zmiana, jaką zauważyłam. Rozmawialiśmy o farmie, ale nie o nas, o naszym życiu. Felix stał pomiędzy nami.

- Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz? Czy nie może być tak jak dawniej? - spytałam w końcu.

- Nie chcę kłótni z Felixem. Nie jest za dobrze. Ale ja nie wymagam wiele - spojrzał na mnie z boku. - Miałaś wielkie wesele, prawda?

- Padało, a ja bałam się, że wpadnę w błoto - odpowiedziałam.

Jo skinął głową.

- A gdzie jest Corn? - spytałam wreszcie.

- W domu - odparł.

Ruszyłam do wyjścia. Jo zawołał mnie z powrotem.

- Choga, chciałem ci coś powiedzieć. - Tak?

Brat przysunął się blisko mnie.

- Jeśli on... to znaczy, jeśli Felix będzie cię źle traktował, to mi powiedz - spuścił wzrok. - Proszę.

- Dziękuję - uścisnęłam jego dłoń.

- Nie zasłużył na ciebie - mruknął Jo i wczułgał się z powrotem pod traktor.

W domu spytałam o mojego psa. Zdziwiło mnie, gdy usłyszałam, że Felix rzeczywiście pozwolił mu być w domu. Ale gdy zobaczyłam mojego trójnogiego wybawcę, łzy stanęły mi w oczach. Co oni z nim zrobili! Był okrągły jak kulka. Z powodu ogromnej

nadwagi prawie się nie ruszał. Nawet nie mógł wstać, żeby się ze mną przywitać. Był obrazem rozpacz, zupełnym przeciwieństwem kogoś, kto przynosi szczęście.

- Chcecie, żeby umarł? - wypaliłam z wściekłością do moich współżon.

- Jest stary - odpowiedziały niewzruszone. Cóż za obojętność! Nic nie rozumiały! Żyły w raju i nie robiły nic, żeby go ocalić.

Praca, którą Idu powierzyła mi w domu, już po kilku dniach zaczęła mnie okropnie nudzić. A na zewnątrz mogłabym zrobić tyle pożytecznych rzeczy! Rozmówiłam się z Idu.

- Nie możesz przydzielić mnie do pracy w polu? Na tym znam się znacznie lepiej.

- Jeśli chcesz. Sądziłam, że oszczędzając cię, robię ci uprzejmość.

- Niepotrzebne mi oszczędzanie tylko prawdziwa praca.

- Rozumiem. Ty wiesz najlepiej, co możesz robić. To zabieraj się do roboty, mała! - powiedziała Idu protekcyjnie.

Praca na dworze dawała mi możliwość przebywania blisko Jo, z czego się bardzo cieszyłam. Razem snuliśmy plany, od czego trzeba będzie zacząć. Wkrótce mieliśmy już gotową listę najpotrzebniejszych zakupów. Jednak ojciec Felix nie chciał dać pieniędzy na nasiona i części do traktora, ani zadbać o zniszczone pompy. Białym mercedesem Felixa Jo oczywiście nie mógł jeździć, gdyż samochód był znakiem łaski od Boga. A za kierownicą ciężarówki Jo bał się usiąść. Postanowiłam zadzwonić do matki, ale daremnie szukałam obiecanego przez nią telefonu.

- Stoi w moim pokoju - oświadczył ojciec Felix na moje nieśmiałe pytanie. - Jesteś moją żoną i nadszedł już czas, żebyś odwiedziła mnie w sypialni. Chyba że mama Uloma nie wyjaśniła ci, jakie obowiązki wobec swojego męża ma chrześcijańska żona.

Czułam jak serce skacze mi do gardła, ale z wściekłości nie potrafiłam wymówić ani słowa. Obróciłam się na pięcie i uciekłam. W żadnym wypadku nie mogłam jawnie przeciwstawić się mężowi. Przekonałam się, że bardzo trudno będzie wymóc na nim dotrzymania umowy, kiedy nie ma tu mamy. Była dobre tysiąc kilometrów stąd.

Całymi dniami rozmyślałam jak mogłabym poprosić mamę o pomoc, nie odwiedzając Felixa w jego pokoju. Przez chwilę myślałam nawet o tym, żeby zwierzyć się Rhodie i poprosić ją o pomoc. Jednak zarzuciłam ten pomysł. Co prawda była jedyną żoną, z którą miałam bliższy kontakt, (nauczyła mnie nawet kilku zdań w swoim języku) ale nie ufałam jej.

Wszędzie było mnóstwo roboty, ale oprócz Jo nikt tu właściwie nie pracował. Stary nauczyciel Okereke odszedł niedługo po naszym wyjeździe dwa lata temu, gdyż nie mógł się dogadać z Felixem.

Samotnie, lub w towarzystwie brata, pracowałam na polach. Harowaliśmy od wschodu słońca do zmierzchu.

Szczególnie bliska mojemu sercu była szklarnia, z której plony mogłyby przynieść niezły zarobek. Pilnie potrzebowaliśmy plandeki do jej przykrycia, ale brakowało na nią pieniędzy. Pewnego wieczora, gdy wszyscy już spali, poszłam upewnić się, czy moje oszczędności nadal spoczywają pod krzakiem bugenwilli. Monety cuchnęły trochę stęchlizną, ale najwyraźniej nikt tych pieniędzy nie odkrył. Wtedy naszły mnie wątpliwości. Nie mogłam teraz ruszyć moich oszczędności, ponieważ przyrzekłam białej Madonnie wydać je na dziecko.

Kościół, który ojciec David ufundował nam przed laty za naszą dobrą pracę, znajdował się w opłakanym stanie. Tuż obok posągu Madonny wprost na podłogę padały krople deszczu. Uklękałam na mokrej podłodze i poprosiłam Madonnę o radę, ale nie usłyszałam odpowiedzi.

Miałam się więc po prostu poddać? Przyjąć swój los i robić to, czego oczekiwał ode mnie ojciec Felix? Mieć „udane małżeństwo” i rodzić mu dzieci? Czy powinnam, jak inne żony, żyć stłamszona obok Felixa i pozwolić, aby wszystko, co miało dla mnie znaczenie, uległo zniszczeniu? Czy jednak się zbuntować, być nieposłuszną i robić to, co uważam za słuszne, ponosząc wszelkie wynikające z tego konsekwencje?

Na dworze lało jak z cebra. Obok kościoła leżała drabina, częściowo schowana pod starą uschniętą trawą. Musiałam ją tylko podnieść, postawić, wdrapać się na nią i naprawić dach. Mnóstwo razy widziałam jak robiła to mama Ada. Ale ja jeszcze nigdy nie wchodziłam na drabinę, choć to podobno całkiem łatwe. Potrzebowałam tylko kilku liści palmowych i łyka.

Następnego dnia zaopatrzyłam się w duży nóż. Mimo ulewnego deszczu zerwałam z palmy liście, znalazłam łyko, i z drżącymi kolanami zaczęłam bosko wspinać się po drabinie. Trzy godziny później stanęłam zasapana przed „moją” Madonną. Woda nie lała się już do środka.

Po tej udanej akcji nabrałam pewności siebie. Jeśli poradziłam sobie z dachem, to mogę odważyć się na więcej. Postanowiłam pójść do miasta i kupić wszystko, czego potrzebowałam. Oczywiście za moje oszczędności. Pocieszałam się, że jeszcze zdążę zbierać pieniądze dla dziecka. Tak jak przedtem mogłabym odkładać część zysku ze sprzedaży towarów.

A jeśli już wybierałam się do miasta, chciałam także kupić część do traktora. Nie znałam się jednak na tych sprawach. Postanowiłam jeszcze tego samego dnia namówić Jo,

żeby mi towarzyszył, ale okazało się to bardzo trudne. Mój brat bał się Felixa, który na pewno byłby wściekły. Z drugiej strony jego dobre serce nie pozwoliło na to, żebym poszła sama. Wiedział, że z powodu nogi tak długi marsz będzie dla mnie torturą.

Jeszcze przed wschodem słońca bezszelestnie się ubrałam. Cały czas spoglądałam na śpiącą Rhodę, która w żadnym wypadku nie mogła dowiedzieć się o moim przedsięwzięciu. Na palcach przemknęłam obok Corna śpiącego przed drzwiami Felixa. Nagle drzwi otworzyły się i w ciemnościach rozpoznałam postać wysokiej szczupłej kobiety. Ta idąc owijała nagie ciało chustą. Znieruchomiałam ze strachu, gdyż od razu ją poznałam, zdradzał ją słodki zapach perfum. Była to mama Idu. Zauważyła mnie.

- Czego się tutaj kręcisz? - zasyczała, ale poszła dalej, zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć.

Bez słowa wydostałam się z domu.

Silniejsze niż strach było jednak zaskoczenie tym co właśnie zobaczyłam. Przez chwilę dosłownie odebrało mi mowę. Potem jednak poczułam ulgę. Nie byłam zła na mamę Idu. Wręcz przeciwnie! Byłam jej niemal wdzięczna za to, że wyręcza mnie z tej części obowiązków małżeńskich, o której myślałam z takim obrzydzeniem. Nie zastanawiałam się dłużej nad tym zdarzeniem, gdyż i tak wiedziałam, że Felix nie traktuje kwestii wierności małżeńskiej zbyt dosłownie. Z mojej strony nie mógł niczego oczekiwać...

Gdy dotarłam do starej stodoły, Jo już tam czekał. Wybraliśmy sobie chyba najgorszy dzień na wyprawę. Lało jak z cebra i droga była zupełnie rozmoczona. Chodzenie po błocie trwa co prawda dłużej, ale nie jest tak bolesne, jak po twardej, rozgrzanej słońcem nawierzchni.

- Co się dzieje z ojcem Davidem? - spytał Jo po dłuższej chwili. - Słyszałem, że był bardzo chory. Nikt nie chce o tym mówić.

- Bardzo się zmienił - przyznałam. - Schudł. - Więcej nie chciałam zdradzać. Mój brat nie powinien martwić się rzeczami, na które i tak nie mamy żadnego wpływu, a przede wszystkim nie powinien wiedzieć o tym, że moje małżeństwo zawdzięczam walce o władzę. Wtedy jeszcze wierzyłam, że wszystko jakoś się ułoży. Plany mężczyzn dalekie były od mojego świata, skupionego wokół farmy, która tak wiele dla mnie znaczyła.

Nagle Jo się zatrzymał. Deszcz strumieniami spływał mu po twarzy.

- Choga - powiedział - kilka tygodni temu dostałem list z Ibadan. Piszą, że panuje tam jakaś dziwna choroba. Zmarły na nią już dwie osoby.

- Czy to malaria albo gruźlica?

W odpowiedzi Jo wzruszył ramionami.

- Ludzie coraz bardziej chudną, ale nie to jest bezpośrednią przyczyną śmierci. Pewna kobieta zmarła na zapalenie płuc po tym jak strasznie schudła, a jakieś dziecko znaleziono któregoś ranka martwe w jego łóżku. Nikt nie wie dlaczego. Teraz wszystkich ogarnął tam strach. Powiedziałaś, że ojciec David też schudł. Czy to nie ta sama choroba? Byłoby straszne, gdybyśmy go stracili.

- Ojciec jest już właściwie zdrowy - uspokoiliam go. Pomyślałam, że nasza Rodzina jest bardzo duża. Może się więc zdarzyć, że ktoś zachoruje i że przez to schudnie. Nigdy nie przysłoby mi do głowy połączyć te sprawy ze sobą.

Po wielu godzinach dotarliśmy wreszcie do Jeba, gdzie kupiliśmy części do traktora i dużą plandekę. Musiałam użyć całego mojego sprytu, żeby wytargować taką cenę, jaką mogłam zapłacić z zaoszczędzonych pieniędzy. Nie zostało mi ani kobo. Potem stanęliśmy z plandeką i częściami przy drodze i nie wiem jak donieśliśmy je do domu. Przypadkowo spotkaliśmy pewnego starszego mężczyznę, który pamiętał mnie, jak przed laty sprzedawałam na targu warzywa robione przez mamę. Był tak miły, że zawiózł nas na farmę. Cały następny dzień zajmowaliśmy się naciąganiem plandeki na szkielet szklarni. Przez cały czas dwie starsze żony ojca Felixa patrzyły na nas podejrzliwie. W końcu, szepcząc, zniknęły w domu. Nie umknęło to mojej uwadze.

Już prawie kończyliśmy, gdy zjawił się Felix. Moje współżony nie miały bowiem nic lepszego do roboty, niż opowiadanie Felixowi co tu robimy.

- Skąd miałaś pieniądze na te wszystkie rzeczy? - krzyczał.

- Miałam je jeszcze wcześniej - powiedziałam.

- To powinnaś oddać je swojemu mężowi! - grzmiał dalej.

- Przecież i tak byś mi nie pozwolił zreperować szklarni!

- O wszystkim na farmie decyduję ja! - wrzeszczał wściekły.

W tym momencie skończyła się moja cierpliwość. Nie myśląc o konsekwencjach wpadłam w szał. Słowa same cisnęły mi się na usta.

- Ulewa zniszczyła delikatne rośliny, i tak niewiele ich już zostało. Nie mogę beczynnienie się przyglądać jak wszystko tu marnieje. Musiałam coś zrobić.

- Wiedziałem, że nie będziesz mi posłuszna. Aleja cię nauczę jak ma się zachowywać dobra żona! - teraz ojciec Felix naprawdę się na mnie wściekł.

- Czy tak jak zachowuje się mój dobry mąż? - spytałam ostro. - Zdradzając żonę z jej świadkową? - wypaliłam.

Pierwszy cios trafił mnie w policzek, po drugim upadłam. Twarz mnie paliła. Jo przybiegł z drugiego końca szklarni i zobaczył mnie leżącą wśród krzaków pomidorów.

- Jak mogłeś podnieść rękę na moją siostrę?! - wykrzyknął i zacisnął pięści.

- Nie twoja sprawa, to jest moja żona - ryknął Felix.

Jo nie wiedział co powiedzieć. Ciężko dysząc stanął przed Felixem. Był od niego o głowę wyższy. Musiałam zapobiec temu, co zaraz by się stało!

- Jo - odezwałam się - odejdz. Ze mną wszystko w porządku. Proszę.

Mój brat oderwał wzrok od Felixa i spojrzał na mnie. Jego wielkie oczy przepełnione były smutkiem. Pomógł mi się podnieść.

- Dziękuję. A teraz zostaw nas samych. Proszę.

Mój mąż bez słowa patrzył za oddalającym się Jo. Iskry w jego spojrzeniu wróżyły ciągle zagrożenie.

- Kłamiesz! - powiedział, gdy Jo nie było już widać. - Śmiesz twierdzić, że zdradzam swoje żony? - wciąż trząsał się ze złości.

- No chyba, że Idu też jest twoją żoną. Mnie jest wszystko jedno, ale ojcu Davidowi chyba nie będzie! - krzyczałam mu w twarz.

- Twój ojciec ci nie uwierzy. Jestem jego zastępcą, a ty tylko dziewczynką, która nie wie, że trzeba się słuchać męża.

Swoimi wielkimi stopami Felix stratował kilka dziesięciocentymetrowej wielkości krzaków pomidorów. Gdy to zobaczyłam, nie wytrzymałam. Musiałam wyrzucić z siebie całą złość jaka zbierała się we mnie przez ostatnie tygodnie.

- Spójrz tylko, co robisz! Wszystko niszczysz! Dlaczego miałabym cię słuchać? W ogóle nie zajmujesz się farmą!

- Dobrze. Ty się nią zajmij. Ale ostrzegam cię: szanuj mnie jako swojego męża - zagroził, patrząc na mnie gniewnie.

Potem wolnym krokiem wyszedł ze szklarni. I to wszystko.

Przez następne dwa lata nasze małżeństwo opierało się na tym, że nie wchodziliśmy sobie w drogę. Czasem nie widziałam go całymi dniami. Na szczęście Felix zostawił Jo w spokoju, chociaż od incydentu w szklarni nie zaszczyił go ani jednym spojrzeniem. Z powodu napiętej sytuacji starałam się zachowywać poprawnie. Na szczęście znalazłam rozwiązanie. O sprawach związanych bezpośrednio z farmą rozmawiałam z Idu, a ona przekazywała je Felixowi. Tą samą drogą otrzymywałam odpowiedź. Taki sposób bardzo mi odpowiadał, gdyż oszczędzał niepotrzebnych kłótni. Jeśli Felix nie chciał spełnić jakiejś mojej prośby, zazwyczaj udawało mi się osiągnąć cel określną drogą. Nie mogłam pozwolić sobie na wielkie zmiany, ale małymi kroczkami dało się coś naprawić.

Felix i Idu skrzętnie ukrywali swój związek przed resztą żon. Choć myślę, że im i tak było wszystko jedno, czy ich mąż spał zjedną kobietą mniej czy więcej. Odnosiły się do tej sprawy z taką samą obojętnością jak do mojej osoby.

Dziewczęta z sąsiedztwa Felix nawracał na wiarę chrześcijańską według swojej modły. Poza tym wykorzystywał swój status nauczyciela religii. Kazał Jo wybudować obok kościoła mały domek, w którym jako wielki ojciec Felix nauczał chłopców i dziewczęta z okolicznych wiosek. Nigdy nie dotarli do moich uszu skargi na jego sposób uczenia, ale co i raz widziałam, jak któraś z nieletnich dziewcząt wybiegała zdenerwowana ze „szkoły”, po tym jak była sam na sam z Felixem.

Nasza praca w polu i w szklarni, jaką razem z Jo wykonywaliśmy, zaczęła wkrótce przynosić spore zyski. Przy okazji stałam się prawdziwą kobietą interesu. Razem z bratem zawoziłam na wózku towary na targ i sprzedawałam je po całkiem dobrych cenach. Zysk inwestowałam w narzędzia, nasiona i jedzenie, co przydawało się wszystkim.

Moje współżony przez cały ten czas ani razu nie pomogły nam w pracy. Gdy wieczorem wyczerpani wracaliśmy do domu, z rękami całymi w bąblach i z bolącymi plecami, one siedziały w cieniu werandy. Nie przerywały swojej paplaniny nawet na chwilę.

- Spójrzcie na ptaszki na niebie. Nie sieją, nie orzą, a Ojciec Niebieski i tak je karmi - zirytował się Jo, gdy któregoś wieczora, po naszym powrocie z targu, Rhoda i inna starsza żona bez słowa sięgnęły po przyniesione przez nas potrawy.

- Zostaw je - uspokołam go. W przeciwieństwie do Jo, w ogóle nie przeszkadzało mi, że to ja żywię moje współżony. Pracowałam przez cały dzień i czułam się przy tym szczęśliwa, mogłam zapomnieć o swoim małżeństwie. Nagrodą, o której nikt nie wiedział, była świadomość, że jestem potrzebna, że odnoszę sukcesy tam, gdzie inni zawodzą. Tego uczucia nikt nie mógł mi odebrać.

\*\*\*

## **Zagrożenie.**

- Widziałaś? - spytał Jo, gdy pewnego popołudnia ścinaliśmy nasze pierwsze dojrzałe ananasy. - Będą z tego kłopoty.

Zazwyczaj prawie nie mówiliśmy podczas pracy. Jeśli mój brat rozpoczął rozmowę daleko w polu, to znaczy, że musiało go coś bardzo gryźć i nie chciał, żeby ktoś inny o tym usłyszał.

- Choga, mama Idu spodziewa się dziecka. Musiałaś to chyba zauważyć!

Nie zauważyłam. A przynajmniej nie skojarzyłam. To prawda, że ostatnio przytyła, ale nie interesowałam się tym.

- Nie jest już pierwszej młodości, więc to chyba najwyższy czas na dziecko - odpowiedziałam po chwili zastanowienia. - Jej syn jest teraz w moim wieku. Zapewne niedługo zostanie babcią.

- Ależ to jest dziecko grzechu, Choga! - trzymając w rękach nóż Jo wyprostował się pomiędzy kłującymi roślinami. - Idu zniszczyła małżeństwo, swoje z ojcem Davidem i twoje. Musisz ją stąd wykurzyć. W przeciwnym razie i ty dopuścisz się grzechu - powiedział ze zdenerwowaniem.

Szczerze mówiąc, nie myślałam o tej sprawie w ten sposób. Przecież nie mogłam zdradzić bratu, że całe moje małżeństwo było grzechem. Jo był w owym czasie najbliższą mi osobą, ale myślał inaczej niż ja. Do jego wyobrażenia o chrześcijańskim życiu nie pasowała myśl, że do celu trzeba czasem iść krętymi ścieżkami. Ja też nie uważałam tego za dobre, ale w wieku osiemnastu lat wiedziałam już, że nie zawsze trzeba nadstawiać drugi policzek, jeśli właśnie dostało się w pierwszy. Uchylenie głowy przed ciosem było nawet wskazane.

W milczeniu pracowałam dalej, ale Jo bardzo zdenerwowała moja obojętność. Zagroził mi, że przy następnej wizycie w mieście zadzwoni do ojca Davida.

Nie mogłam do tego dopuścić. Jo chciał zmusić mnie do działania w sytuacji, z której częściowo byłam zadowolona. Kiedy już udało mi się jakoś zadomowić na farmie. Historia Jem dobitnie mi uświadomiła jak reaguje mój ojciec, gdy ktoś podważa jego autorytet. Jeśli Jo powie mu, że jego zastępca spłodził dziecko zjedną z jego żon... Nie chciałam nawet myśleć o konsekwencjach. W najlepszym wypadku ojciec David znów rozdzieliłby Rodzinę]

Mimo że po dwóch latach małżeństwa wciąż jeszcze nie byłam brzemienna, wszyscy oczekiwali, że urodzę Felixowi pierwszego syna. Jeśli się wyda, że zamiast mnie to Idu jest w ciąży, może wyjść na jaw nieczysta umowa między mamą a Felixem. Wtedy wszyscy popadniemy w niełaskę.

Układając na wózku owoce wpadłam na absurdalny pomysł, który mógł nas wszystkich uratować. Oczywiście jeśli wszyscy na farmie wzięliby udział w tej maskaradzie. Gdy dziecko Idu się urodzi, można by powiedzieć ojcu Davidowi, że jest moje. Wtedy moglibyśmy żyć sobie spokojnie dalej. Nagle zobaczyłam kipiące gniewem oczy Jo, według którego powinnam być wściekła. Mój wspaniały piał spełzył na niczym. Nie dałoby się go zrealizować z człowiekiem tak prostolinijnym, jak mój brat.

Zostało zatem tylko jedno wyjście: Idu powinna opuścić farmę. Jo miał rację. Znów, jak kiedyś, musiałyby jak Nomadowie włóczyć się po kraju. Dawniej w haremie bardzo



barwnie opowiadała mi o tych wędrówkach. Tym razem byłaby z dzieckiem. Ze strony Rodzin nie otrzymałaby żadnego wsparcia, nigdzie nie chciano by jej przyjąć.

- Czy to po chrześcijańsku? - spytałam Jo, dzieląc się z nim tymi myślami.

- Przykazania są po to, by ich przestrzegać, Choga.

- Oczywiście - powiedziałam - ale nie kosztem kobiety i jej dziecka. To niesprawiedliwe. Felix tak samo dopuścił się zdrady, więc i on powinien odejść. - Muszę przyznać, że ta perspektywa podobała mi się najbardziej.

- Wtedy zabierze swoje żony, a ty jesteś jedną z nich - ciągnął myśl Jo.

- I w ten sposób jestem w pułapce - powiedziałam.

Brat skupił się na układaniu ananasów na wózku. Widziałam, że rozważa sprawę. Miałam nadzieję, że zrozumie wreszcie, że jego upór zaszkodziłby również mnie.

- Od dawna wiesz o tym, że Idu i Felix...?

Nagle przerwał. Temat seksualności jest w moim kraju tabu, nawet pomiędzy rodzeństwem. Jo nawet nie przypuszczał, że moje małżeństwo z Felixem nie zostało nigdy „skonsumowane”.

- O tym, że Felix wciąż zdradza żony, wiedziałeś przecież już od dawna. Jeszcze zanim wyszłam za niego. I nigdy nic nie mówiłeś. Kto wie ile naprawdę ma dzieci i z kim? Nagle tak bardzo zaczęło cię to obchodzić?

- Jesteś moją siostrą.

- A więc ochraniaj mnie swoim milczeniem, Jo. Siebie samego też.

Gdy załadowaliśmy wózek, Jo zaciągnął go z powrotem na farmę. Nie powiedział więcej ani słowa. A ja wyrzucałam sobie, że tak go zaatakowałam. Jednakże w ogóle nie miałam poczucia, że popełniam wobec kogoś grzech.

Następnego dnia o świcie wyruszyliśmy z naszymi zbiorami na targ. Przez całą drogę nie zamieniliśmy ani słowa.

Martwiło mnie milczenie Jo. Nie wiedziałam, czy spełni swoją groźbę i rzeczywiście zadzwoni do ojca Davida. Gdy sprzedawałam owoce, mój brat siedział zamyślony obok. Wieczorem zgodnym marszem ruszyliśmy z powrotem. Po drodze przechodziliśmy obok centrali telefonicznej. Nie wytrzymałam dłużej tego milczenia.

- Nie chcesz zadzwonić do Lagos? - spytałam.

Jo szedł dalej. Nagle zatrzymał się. Sądziłam, że odwróci się i jednak pójdzie zadzwonić. Ale on podniósł mnie i delikatnie posadził na pustym wózku.

- Jesteś dobrą żoną i dobrą siostrą, Choga. Powiozę cię. Wiedział, że już jako dziecko tego nie lubiłam, ponieważ nie chciałam, żeby traktowano mnie jak rozpieszconą królową.

Tym razem jednak nie opierałam się. Jo ruszył i zaczął nawet nucić jakąś melodię. Gdy zatrzymaliśmy się na odpoczynek, powiedział:

- Jeśli Bóg tak chce, to nie będę się wtrącał. Odetchnęłam.

- Jesteś mądrym mężczyzną, mój starszy bracie - odparłam z ulgą.

- Nie, to ty jesteś mądrą kobietą, Choga. Ja zamierzałem popełnić wielki błąd - powiedział poważnie Jo i pokręcił głową.

Ciąża sprawiła, że mama Idu miała humory. Do wszystkiego zaczęła się wtrącać, wszystkim dowodzić i stała się nieprzyjemna. Być może dlatego, żeby nikt nie zarzucał jej niewierności atakowała jako pierwsza i dbała o to, żeby żony kłóciły się między sobą o drobiazgi. Wciąż coś ginęło i znajdowało się w pokoju innej. Na szczęście ja pracowałam głównie poza domem, więc nie dotyczyły mnie te śmieszne intrygi.

Ale wtedy Idu wpadła na pomysł, by uczynić celem swoich gier również mnie. Oczywiście nie otwarcie. Nasłała na mnie Felixa. Chodziło jak zwykle o pieniądze. Do tej pory sama nimi zarządzałam, oddając zawsze część z nich Idu, która przekazywała je ojcu Felixowi.

Mój mąż zjawił się w szklarni w momencie, gdy wykonywałam swoje ulubione zajęcie: sadziłam nowe pomidory. Za każdym razem cieszyłam się jak dziecko z ich szybkiego wzrostu. Odradzanie się natury i jej niewyczerpane siły, porządkowały mój wewnętrzny chaos. Dawały mi odwagę, by kolejny raz wziąć się w garść. Felix chciał, żebym oddała mu całą sumę, którą zarobiłam na targu.

- Sama zarobiłam te pieniądze, co do jednego kobo - odpowiedziałam ze spokojem. - Nie masz prawa ich żądać.

- Jestem twoim mężem, Choga. Ta Rodzina podlega mnie i nie dopuszczę do tego, żebyś robiła co ci się żywnie podoba.

- A ty, robisz co tylko chcesz. Tyle, że moja praca wszystkim wychodzi na dobre.

Tego nie powinnam była mówić. Ale było już za późno. Sekundę potem leżałam na ziemi, nie mając pojęcia, jak się tam znalazłam. Straszliwie bolała mnie głowa. Nie spodziewałam się ataku. Zbyt pewnie się ostatnio czułam. Nieprzytomna leżałam na ziemi. Nie ruszałam się z miejsca. Twarz ojca Felixa gwałtownie się zmieniła, spojrzał na mnie z góry jakimś dziwnym wzrokiem. Podczas upadku suknia podwinęła mi się do góry. W popłochu próbowałam się podnieść i zakryć nagie nogi.

Wtedy Felix powoli osunął się na kolana.

- Nadszedł wreszcie ten dzień, Choga - powiedział. - Już czas, żebyś została wreszcie moją żoną.

Siedząc odsunęłam się od niego.

- Nie możesz mnie tknąć! - wy sapiałam. - Dałeś słowo!

- Ty też dałeś słowo, przed Bogiem i swoim ojcem. Jak myślisz, które jest więcej warte? - zasyczał cicho.

Podciągnął swoją babarigę, pod którą był całkiem nagi. Jego męskość sterczała skierowana w moją stronę. I co mi po kilku mądrych radach mamy Ulomy z „kurnika”? To, co zobaczyłam przed sobą, nie miało z nimi nic wspólnego. To było zagrożenie, które zbliżało się wycelowane we mnie niczym nóż.

Ułamek sekundy. Odruch. Kopnęłam go, podniosłam się i szybko wybiegłam ze szklarni. Przy drzwiach obejrzałam się czy za mną nie biegnie. Ale Felix leżał na ziemi skulony z bólu.

„Mama!” - to była moja pierwsza myśl. Natychmiast muszę do niej zadzwonić, powiedzieć jej, co się stało. Musi uwolnić mnie od tego potwora. Wpadłam do pokoju Felixa i wykręciłam numer do haremu.

W moim kraju dodzwonienie się gdziekolwiek wymagało dużo szczęścia. Nasza farma była akurat połączona linią z Jeba. Być może ktoś właśnie telefonował, bo nie mogłam się połączyć. Nie miałam czasu, żeby czekać. Felix mógł zjawić się w każdej chwili. W pobliżu nie wiedziałam żadnej z moich współżon, choć z ich strony i tak nie mogłam oczekiwać pomocy. Nigdy mnie nie rozumiały i nie respektowały moich uczuć, więc raczej cieszyłyby się z mojego nieszczęścia.

Przez okno wydostałam się z domu i pobiegłam do kościoła. Ukłękłam przed białą Madonną i - dziękując jej za to, że do tej pory otaczała mnie opieką - prosiłam o radę, co mam teraz zrobić.

Felix się ze mną ożenił, ale czy to dało mu prawo do traktowania mnie tak, że wciąż czuję się zagrożona, a nie kochana? Nigdy nie docenił mojej pracy, ale ciągle z niej korzystał. Mieszkaliśmy co prawda pod jednym dachem, ale nic nas ze sobą nie łączyło. Nic - oprócz umowy, że zostawimy się w spokoju.

Madonna nic mi nie odpowiedziała, ukłękłam więc przed ukrzyżowanym czarnym Chrystusem. Wyglądał bardzo smutno. Na ołtarzu leżała zniszczona Biblia, z której ojciec

Felix zwykł czytać podczas mszy. Otwierałam ją na chybił trafił, ale na tych stronach nie znalazłam pocieszenia, były to bowiem fragmenty, które najczęściej cytował mój gnębiciel. Traktowały o rezygnacji i pełnej wyrzeczeń pokorze. Lecz ani Felix, ani Idu nie żyli według tej zasady. Zamknęłam księgę i postanowiłam poszukać Jo, w którego

towarzystwie czułam się bezpiecznie. Niestety nie mogłam opowiedzieć mu o tym co się stało, gdyż te tematy były między nami tabu.

Do końca dnia udało mi się nie spotkać więcej Felixa, dzięki czemu trochę się uspokoiliłam. Po zdarzeniu w szklarni wsiadł wściekły do swojego samochodu i z piskiem opon odjechał. Na szczęście moje współżony nie zorientowały się, co zaszło. Podczas kolacji, na której brakowało głowy Rodziny, jedynie Idu rzucała w moją stronę podejrzliwe spojrzenia.

Starałam się tak wszystko urządzić, żeby przez kolejne dni podczas pracy w szklarni był przy mnie Jo. Chciałam uniknąć kolejnych ataków. Na targu poprosiłam brata, żeby zajął się sprzedażą, sama zaś godzinami czekałam na połączenie z harem. Niestety mama nie mogła podejść do telefonu. W końcu usłyszałam głos mamy Ady.

- Ojciec David jest bardzo chory - powiedziała. - Powinien natychmiast jechać do szpitala, ale odmówił.

Mama Ada nie potrafiła powiedzieć co mu jest. Podobno strasznie schudł i stracił siły. Od tygodni leży w łóżku i przez cały czas opiekują się nim żony. Potem mama Ada spytała co u mnie słychać i czy nie spodziewam się dziecka.

Załamana wróciłam do Jo. Żeby nie zasmucać i jego, skłamałam, że nikogo nie zastałam. Wiedziałam już, że moje problemy będę musiała rozwiązać sama. Jeśli ojciec David jest tak bardzo chory, to wołanie o pomoc i telefon do Lagos tylko pogorszą moją sytuację. Mama nie będzie już mogła utrzymać Felixa w ryzach, gdyż autorytet ojca, na którym się opierała, coraz bardziej słabnie. Co to za dziwna choroba, która tak męczy ojca?

Podczas rozmowy z Adą dowiedziałam się, że moja mama kilka razy próbowała się ze mną skontaktować, a Felix obiecywał, że mnie o tym powiadomi. Na pewno doskonale wiedział o stanie zdrowia ojca Davida.

Felix musiał więc tylko czekać. Jeśli, z wolą Bożą, choroba miałaby zabrać mojego ojca (a po tym, co usłyszałam od mamy Ady zaczęłam się tego poważnie obawiać), to Felix zostanie wkrótce głową całej Rodziny. Oczyma wyobraźni widziałam już co się stanie. Zastępca ojca nie będzie trzymał się żadnych umów. Był już coraz bliżej odebrania władzy mojemu ojcu. A ja nie wiedziałam jak mogłabym temu zapobiec. Ba, nie miałam pojęcia jak zatroszczyć się o własne bezpieczeństwo.

\*\*\*

## **Skradzione życie.**

Stało się to w noc po powrocie z targu. Tym razem Jo nie mógł mnie już ochronić. Felix czekał na mnie. Gdy tylko przekroczyłam próg domu, zaciągnął mnie do swojego pokoju, rozebrał i rzucił na łóżko. Nie powiedział ani słowa, słyszałam tylko jak sapie. Nagle poczułam straszliwy ból, kiedy jego „nóż” wbijał się głęboko we mnie. Zapragnęłam być daleko od siebie samej. Zobaczyłam przed sobą przepiękną twarz białej Madonny i błagałam Matkę Chrystusa, żebym jeszcze teraz nie musiała umierać. Nie w tym miejscu i nie na tym łóżku, na którym spała kiedyś moja matka. Mój mąż robił to, do czego - jak twierdził - posiadał wszelkie prawo. Nie miał jednak racji. To, czego się dopuścił, było po prostu gwałtem.

W końcu jakoś udało mi się uciec. Byłam naga i brudna. Nogi miałam całe we krwi, która w ciemności wyglądała jak plamy brudu. Kierowana instynktem ruszyłam w stronę pól. Noc była jasna, a sierpowaty księżyc niewzruszenie świecił na niebie. W ostatnich dniach ustawiliśmy z Jo małą beczkę, z której poiiliśmy kozy. Weszłam do środka, ale było w niej za mało wody. Kucnęłam i zimną wodą obmyłam dolną część ciała jak tylko mogłam najdokładniej. Po kilku godzinach - a może były to zaledwie minuty, spędzone w zatęchłej beczce - drżąc na całym ciele, wydostałam się na zewnątrz. Noce na płaskowyżu bywają naprawdę zimne. Moje zbrukane ciało potrzebowało schronienia. Po jakimś czasie doczołgałam się w końcu do domu. Wdrapałam się na swoje posłanie, ale nie mogłam zasnąć. Dręczyło mnie jedno pytanie: jak często ten potwór będzie to ze mną robić? Czy dotąd, aż wreszcie sama mu się oddam? Czy dopóki nie będę miała brzucha?

Tej nocy postanowiłam sobie, że nie dam Felixowi satysfakcji ani tego, na czym mu najbardziej zależy. Nie dam się pokonać! Dlatego w niedzielę rano wzięłam się w garść i poczłapałam do kościoła na cotygodniową mszę, podczas której śpiewałam i tańczyłam wraz z innymi. Śpiewałam głośniej i tańczyłam żywiej niż pozostali. Poruszałam się wręcz jak szalona. Unosiłam ręce w górę, krzyczałam jak dzikuska. Wyrzucałam z siebie całą moją złość, cały mój gniew. I było mi wszystko jedno co pomyśli o mnie zgromadzenie. Nie obchodziło mnie też, czy Felix mnie pożąda, czy mną gardzi. To był mój taniec, moje emocje, moje zwątpienie. Jeśli nie mogłam uciec od swojego życia, to przynajmniej przez tę krótką chwilę chciałam o nim zapomnieć. Wszystko wokół mnie wirowało. Potem nogi odmówiły mi posłuszeństwa i upadłam na podłogę z ubitej gliny. Gdy spójrzałam w górę, zobaczyłam twarz czarnego Chrystusa, wyrzeźbionego kiedyś przez Jo. W oczach Jezusa widziałam współczucie.

Jeszcze tego samego dnia zachorowałam, dostałam gorączki i dreszczy. Być może przeziębiam się podczas „kąpeli” w beczce dla kóz, a może to moje ciało jak zwykle

wysyłało sygnały, że nie radzę sobie z panującą sytuacją i potrzebuję spokoju. Leżałam w łóżku z wysoką gorączką i nawiedzały mnie koszmary. Opiekę nade mną przejęła Idu, akurat ona, której zawdzięczam całe moje nieszczęście. Trzy razy dziennie przynosiła mi herbatę. Inne żony nie pokazywały się u mnie, a Jo w żadnym wypadku nie mógł wejść do domu. Bardzo mi go brakowało. Rhoda, moja współlokatorka, mieszkała przez ten czas u Felixa. Słyszałam jak co noc wydaje z siebie kwiczące dźwięki i cieszyłam się, że nie ja jestem obiektem jego żądy.

Jeszcze nie wyzdrowiałam, gdy Felix wezwał mnie do siebie. Nie miałam siły się bronić, co zaoszczędziło mi dodatkowej brutalności z jego strony. Mechanicznie robiłam czego żądał. W końcu nawet przestałam odczuwać ból, w każdym razie fizyczny. Felix zarządził, że przez najbliższe dni będę spać u niego. Nie pozwolił mi wracać do mojego łóżka. Nie mogłam też wychodzić, żeby pozbyć się śladów, które we mnie pozostawiał. Musiałam leżeć obok niego, słuchać jego oddechu, znosić jego chrapanie i czuć jego zapach. Spocona wyczekiwałam końca nocy, bojąc się jednocześnie następnego dnia, w którym znów musiałam być do dyspozycji męża.

W tych niekończących się godzinach - gdy na dworze ujadały psy, jakby śmiały się z mojej niedoli, z mojej dumy, która pozwoliła mi sądzić, że rzeczywiście mogłabym dorównać temu mężczyźnie - w tych godzinach myślałam często o samobójstwie. Trafiłabym do czyśćca? A może do piekła? Czemu miałabym się tego bać? Felix zabrał mi moją godność, moje Ja, moje wartości. A widząc powiększający się z każdym dniem brzuch Idu, utwierdzałam się w przekonaniu, że ukradł mi też moje życie. Ciągłe molestowanie, zazwyczaj dwa razy dziennie, prędzej czy później podobnie się skończy. W żadnym wypadku tego nie chciałam. Najgorsze było to, że sama musiałam jakoś odwieść się od swoich samobójczych myśli. Były niechrześcijańskie i występowały przeciw najważniejszym przykazaniom. W tym trudnym czasie nie mogłam powierzyć swoich trosk nawet Jo.

Przez następne tygodnie wciąż byłam chora. Jednak Felix uznał moją chorobę za próbę wymigania się od małżeńskich obowiązków. Zupełnie nie zwracał uwagi na mój stan.

Od dawna już nie miałam siły pracować na farmie, co miało negatywny wpływ na dochody, tak nam przecież potrzebne. Nie widziałam się z Jo, gdyż całe dni spędzałam w domu. Było mi już wszystko jedno. Nie obchodził mnie nawet Corn. Snułam się po domu, gapiąc się głupio przed siebie jak reszta żon. Przygotowywałam razem z nimi posiłki, ale nie jadłam. Gdy zanikła mi miesiączka, nie dano mi ani chwili wytchnienia, w której Felix nie miałby do mnie dostępu. W końcu powiedziałam Idu, że jestem w ciąży, ale mi nie uwierzyła. Kilka dni później po raz pierwszy wymiotowałam.

W haremie panowała zasada, że ciężarne żony nie dzieliły łoża z ojcem Davidem. Wspólne noce nie miały przecież służyć zmysłowym rozkoszom, lecz prokreacji. Miałam nadzieję, że tu będzie podobnie, że udane zapłodnienie trochę ostudzi zapędy Felixa. Ponieważ jednak w owym czasie niemal wszystkie jego żony chodziły z brzuchami, zastępca ojca nie narzucił sobie żadnych ograniczeń w stosunku do mojej osoby.

Ciągłe przygnębienie nie pozwalało mi powrócić do codziennych obowiązków. Czasem uświadamiałam sobie, że jestem w szklarni, ale nie miałam pojęcia jak się tam znalazłam i ile czasu stoję przed danym krzakiem pomidorów. Snułam się po okolicy niczym lunatyczka. Pewnego ranka przywiązałam kożę do kołka i zaczęłam doić. Gdy odzyskałam świadomość, wiadro wciąż było puste, wymię nabrzmiałe, a słońce stało już wysoko.

Kiedyś w takim stanie znalazł mnie Jo. Od dawna go nie widziałam. Gdy w końcu przyszedł, nie od razu go zauważyłam, tak byłam pochłonięta sobą i swoimi problemami.

- Co ten człowiek z tobą wyprawia? - spytał z wyrzutem. Zaprowadził mnie do cienia i dał coś do picia.

- Nie chcę już dłużej żyć - powiedziałam i spojrzałam na brata.

Jo wziął mnie na rękę i potrząsnął mną.

- Nie możesz tak mówić, Choga. Bóg podarował ci życie.

- Po co, Jo? Żebym była traktowana jak zwierzę?

- Felix jest twoim mężem. Poślubiłaś go przed Bogiem. Nie możesz mówić takich rzeczy! - złościł się mój brat.

- Nie mogę! Nie mogę! Nic nie mogę! Tylko być do jego dyspozycji. Nie może tak być! Ojciec David nie traktuje w ten sposób swoich żon. Rozejrzyj się. Wszystkie jesteśmy w ciąży, nikt nie pracuje, a Felix zaspokaja się w całej okolicy. Mężczyźni nie może być wszystko wolno!

Jo milczał przez chwilę.

- Dobrze - powiedział - pojedę do miasta i zadzwonię do ojca Davida. Opowiem mu o wszystkim.

Nie powiedziałam Jo o chorobie ojca. Być może w między czasie wyzdrowiał. Była to raczej płonna nadzieja, ale dała mi siły, żeby przeżyć następny dzień.

Następnego ranka farmę ogarnęła istna panika, podniecone kobiety cisnęły się do pokoju Idu. Stąd wnioskowałam, że zbliża się poród. Wtedy usłyszałam krzyk. Z pokoju Idu wyszła Rhoda niosąc przykrytą miskę. Smród, jaki się z niej wydobywał, był przerażający.

- Może to i lepiej - powiedziała Rhoda, sama ciężarna, jak gdybym wiedziała o co chodzi. - To było dziecko grzechu - postawiła miskę przed domem. Wracając spojrzała na

mnie z uśmiechem. - Teraz ojciec David nie musi już o niczym wiedzieć. Ty też będziesz milczała, prawda, Choga?

Zdezorientowana przytaknęłam. Podniosłam ręcznik i odkryłam miskę.

- Zostaw to! - zawołała moja współlokatorka i odciągnęła mnie.

Ale zdążyłam już zobaczyć. Dziecko Idu nie wyglądało jak człowiek. Wyswobodziłam się z uchwytu i czym prędzej stamtąd uciekłam. Przez wiele tygodni nie mogłam uwolnić się od tego widoku. Płód w łonie matki długo musiał być martwy.

Po tym wypadku Idu zamknęła się w swoim pokoju, ale żadna z żon nie chciała się nią opiekować. Co prawda zdarza się, że ktoś urodzi martwe dziecko, albo że niemowlę umrze podczas porodu. Takie są prawa natury. Jednak Idu przez wiele tygodni nosiła w sobie martwy płód. To było nie tylko zrzędzenie losu, ale znak od Boga, który ukarał cudzołożnicę.

Teraz wszystkie żony niecierpliwie czekały, jak surowy okaże się wyrok Boga, chociaż każda z nich już wydała swój własny. Gdy Felix nie słyszał, z pogardą mówiły o całej sytuacji, popierając się wzajemnie w osądach.

Felix zatrudnił w końcu uzdrowicielkę z Jeba, która miała się opiekować położnicą. Wciąż słyhać było krzyki Idu. Musiała mieć straszliwe bóle. Wrzaski stawały się nie do zniesienia. Szczególnie w nocy roznosiły się po całym domu. Najwyraźniej nie udało się znaleźć lekarstwa na chorobę Idu. Wtedy nie wiedziałam jeszcze o zagrożeniu, jakie niesie ze sobą zatrucie krwi matki przez martwy płód. Sądziłam, że moja świadkowa nie może się uspokoić po stracie dziecka.

Pewnej nocy zostałam brutalnie wyrwana ze snu. Przy moim łóżku stała uzdrowicielka

- Chodź szybko, chora chce z tobą mówić! - ponaglała. Zaspana pokuśtykałam do jej pokoju, w którym paliły się tylko dwie świece. Od razu się zorientowałam, że Idu nie cierpi z powodu przygnębienia, tak jak ja. Ona umierała. Ociekając potem podniosła dłoń i powiedziała coś, czego nie zrozumiałam. W pokoju straszliwie śmierdziało. Z niechęcią podeszłam bliżej, żeby zrozumieć jej słowa.

- Zgrzeszyłam, Choga. Musisz mi wybaczyć, zanim umrę - wyszeptała.

- Ja? Dlaczego ja? - jeśli już, to najodpowiedniejszą osobą był chyba ojciec David.

- Nigdy nie miałam żadnej wizji. Proszę, wybacz mi.

- Nie rozumiem. Przecież wszyscy byliśmy świadkami tam, w domu wspólnoty - odparłam zdezorientowana.

- Musisz mi wybaczyć, Choga. Inaczej moja dusza będzie skazana na wieczne potępienie. Błagam, powiedz, że wybaczasz - wyrzęziła.



Zacząłam odmawiać „Ojcze nasz”, gdzie jest fragment o „odpuszczaniu win naszym winowajcom”. Ale Idu przerwała mi, dotykając swoją lodowatą dłonią moich ust.

- Chciałam, żebyś wyszła za Felixa, bo wtedy mogłam przyjechać z wami do Jeba. Ale nikt by mnie przecież nie posłuchał. Stąd pomysł z wizją - Idu mówiła już tak cicho, że ledwo ją mogłam zrozumieć. - To było złe - bluźnić przeciw Bogu, żeby móc żyć z Felixem w grzechu - gwałtowny napad kaszlu prawie ją udusił, ale po chwili ciągnęła: - Jeśli wyznam ci moje grzechy, a ty mi przebaczysz, to Bóg mnie nie potępi. Proszę, zrób to - położyła swoją dłoń na mojej, przechyliła się w moją stronę i spojrzała na mnie błagalnie. - Jezus Chrystus powiedział: „Komu odpuscicie grzechy, temu będą odpuszczone”. To słowo Pana, Choga!

- Wybaczam ci - wyjąkałam.

Moja świadkowa opadła na poduszkę. Uzdrowicielka zamknęła jej oczy. Idu umarła.

- Niech Bóg będzie dla niej łaskawy - powiedziała kobieta.

Oszołomiona wyszłam na dwór. Noc była jasna i chłodna. Powoli mój umysł zaczął łączyć w całość wszystkie fakty. Od początku miałam przecucie, że mama Idu mnie oszukała. Ale silniejsze było przekonanie, że nikt nie odważyłby się na tak zuchwałe bluźnierstwo. A jednak ona się odważyła. Nie mogłam jej przebaczyć - żaden człowiek nie mógł. Musiał to uczynić Bóg. Wypowiedziałam trzy słowa, które nie wyszły z mojego serca. Nie, w rzeczywistości wcale jej nie przebaczyłam. Nawet w godzinie śmierci, podobnie jak w swoim życiu, próbowała wymigać się od odpowiedzialności. Wiara była dla niej środkiem do osiągnięcia własnych celów.

Mój brzuch przypominał mi co chwila, że skierowała mnie w ręce tego mężczyzny, żeby zaspokoić własną żądzę. Z czystego egoizmu wzięła moje życie w swoje ręce. Igrała z losem. Z zimnym sercem patrzyła jak cierpię.

Poczułam tak wielki przyływ złości, że musiałam dać mu ujście. Z całych sił krzyknęłam w pustkę przed domem:

- Nie wybaczę ci! Nigdy! Idź do diabła!

Gdzieś daleko jakiś pies odpowiedział na moje gniewne wołanie. Nagle zdałam sobie sprawę z tego co powiedziałam. Przekląłam zmarłego. Ale tak właśnie czułam! Ta oszustka była sprawczynią mojego nieszczęścia. Było mi siebie żal, skuliłam się i zaczęłam płakać. Gdy się wreszcie uspokoiłam, poczułam, że łąsi się do mnie gruby, trójnogi Corn. Już raz uratował mi życie, teraz znów próbował mnie pocieszyć, choć swoim wyglądem sam wołał o litość.

Nie wiedziałam dokąd pójść. Nasz mały kościół wydawał mi się nie najlepszym miejscem, skoro dopiero co zgrzeszyłam. Ruszyłam więc do szklarni. Większość pomidorów

zwiąda. Jo nie miał czasu zajmować się jeszcze i nimi. Patrząc na uschnięte pędy pomyślałam o sobie. Zrobiło mi się bardzo smutno. Mechanicznie zaczęłam je wyrywać i rzucać na ziemię. Efekt był taki, jak gdybym, idąc, siała za sobą spustoszenie. Widok był jeszcze gorszy, Corn z wysiłkiem szedł za mną, patrząc z wyrzutem. Zwymyślałam go, wrzeszczałam, żeby zostawił mnie w spokoju. Wtedy ten mały grubasek przewrócił się na plecy i skomląc okazywał swoją pokorę. Nie zasłużył na takie traktowanie! Pochyliłam się nad nim prosząc, żeby mi wybaczył. Lizał mnie po rękach, chociaż wiedziałam, że nie lubi zapachu pędów pomidorów. Jakże łatwo można porozumieć się ze zwierzęciem. Jak trudno z człowiekiem...

Jeszcze tego samego ranka Idu została pochowana. Ponieważ nie było mnie przy tym, Corn zaprowadził mnie kilka dni później na miejsce pochówku - na małe kamieniste wzgórze, pokryte wysuszoną ziemią. Ziemia była twarda, zapewne nie było łatwo wykopać w niej dół. Nie zakopano Idu dostatecznie głęboko i okoliczne psy zdążyły się już dobrać do grobu. To było jedno z najmniej odpowiednich miejsc na wieczny spoczynek.

Idu żyła jak Nomadka, wciąż szukająca swego szczęścia. Żeby zaznać go choć przez krótką chwilę dopuściła się ciężkiego grzechu. Ale to, co zobaczyłam na górze, było zbyt surową karą. To było przekleństwo, które wykrzyczałam w noc jej śmierci.

Przyniosłam motykę i łopatę, usypałam na grobie więcej ziemi i zabezpieczyłam go kamieniami. Bolało mnie całe ciało, ale miałam nadzieję, że im bardziej będzie bolało, tym więcej winy będzie mi odpuszczone. Kimże byłam, że dałam sobie prawo do oceny postępowania Idu? Wyczerpana usiadłam na umocnionym grobie i czekałam na zachód słońca.

\*\*\*

## **Uczta diabła.**

Kilka dni później - gdy leżałam na łóżku w moim pokoju, bo około południa, w najgorętszej porze dnia, bardzo puchły mi nogi i ręce - przyszła do mnie jedna ze współżon. Powiedziała, że mam się udać do Felixa. Szłam do niego jak na ścięcie.

Mój mąż oczekiwał mnie przy telefonie trzymając w ręce słuchawkę.

- Twoja matka chce z tobą rozmawiać - powiedział. Tego się akurat nie spodziewałam. Myśli kłębiły mi się w głowie. Pewnie Jo do niej zadzwonił. Ale dlaczego Felix miał taką zadowoloną minę? Czy mama niezbyt dobitnie wyraziła mu swoje zdanie?

- Mama? - spytałam zaniepokojona.

- Choga Regina, twój ojciec zmarł dwie godziny temu. Niech Bóg będzie łaskawy dla jego duszy.

- Amen - powiedziałam.

- Z woli twojego ojca Felix ma zostać jego następcą i głową wszystkich Rodzin. Będzie kierował haremem. To oznacza, że musicie przyjechać do Lagos i zamieszkać tutaj tak szybko, jak to tylko możliwe.

Mnóstwo pytań cisnęło mi się na usta, ale Felix stał tuż obok mnie i bacznie się przysłuchiwał. Nie pozostało mi nic innego, jak przejść na niemiecki, żeby nie mógł zrozumieć o czym mówię.

- Mamo, jestem w ciąży, a on ciągle się na mnie rzuca. Dłużej tego nie zniosę. Jo nie dzwonił do cie...

Felix nacisnął na widelki, a chwilę potem dostałam cios w oko, po którym wyładowałam na łóżku. Przeklinając mnie, że odważyłam się w jego obecności mówić w obcym języku, zerwał ze mnie sukienkę. Potem zrobił to, co dawało mu pewność, że jestem jego własnością i odesłał mnie do mojego pokoju.

Moje oko zdążyło już spuchnąć, w głowie czułam pulsujący ból. Silniej niż zwykle odczuwałam wściekłość ale i bezsilność. Co za życie czeka mnie w haremie? Gdy zabraknie mi pocieszenia jakie daje kontakt z naturą, obserwowanie jak rosną moje rośliny. Jak tylko przestanę karmić piersią Felix znów będzie udowadniał mi, że jestem jego żoną. Kto mi tam pomoże? Wraz ze śmiercią swego męża matka straciła wpływową pozycję.

Przyznaję, że moja reakcja na wieść o śmierci ojca była dość egoistyczna. Ale miałam do niej prawo. W moim przekonaniu, dzieci odgrywały dla ojca ważną rolę: miały powiększać jego wpływy i umacniać jego władzę. Użył mnie jako środka do usunięcia zagrożenia jakim był Felix. Wraz z jego śmiercią zostałam zdana na łaskę męża. Tak jak w piosence o królu i błaznie. Błazen miał wszystkie korony, które rzucił za nim król. Mógł zająć jego miejsce. A ja, jedna z tych „koron”, czułam się jak bezwartościowy złom.

Gdy zatopiona w rozmyślaniach siedziałam przed domem, zjawił się Jo. Oczywiście od razu spostrzegł moje podbite oko. Spytał o przyczynę a ja opowiedziałam mu wszystko, łącznie z informacją o śmierci ojca i jego ostatniej woli.

- To niedobrze - powiedział i zacisnął pięści. - Ojciec nie powinien zrobić z niego swojego następcy. Ten człowiek nie zasługuje na to, żeby wszyscy go słuchali.

Żadne z nas nie zauważyło, że od jakiegoś czasu stał za nami Felix.

- A więc takie jest twoje zdanie? - wycedził cicho, co zapowiadało zbliżający się wybuch złości.

Jo wstał i odwrócił się do niego.

- Ojciec David był wzorem do naśladowania. A ty jesteś cudzołożnikiem. Bijesz kobiety. Nie zachowujesz się tak jak powinna zachowywać się głowa naszej Rodziny - powiedział.

- A ty za dużo czasu spędzasz z nią. - Felix pokazał na mnie. - Opowiada ci kłamstwa, a ty w nie wierzysz.

Mój brat, zazwyczaj bardzo opanowany, skoczył do Felixa jak oparzony i złapał go swoimi wielkimi rękami za babarigę.

- A podbite oko? To też kłamstwo? Felix odsunął go od siebie.

- Nie masz prawa mnie o to pytać. Ja jestem jej mężem, a nie ty. - Nagle Felix zmienił ton. - Słuchaj, Jo, teraz nie jest odpowiedni moment na kłótnie. Musimy urządzić w Lagos wielką uroczystość ku czci ojca Davida. Chciałbym, żebyśmy wyruszyli razem na polowanie. David był twoim ojcem i masz obowiązek jak najlepiej przyjąć jego gości.

Jo wahał się przez moment. Felix rzadko jeździł na polowania, a jeśli już, to zabierał ze sobą najbogatszych mężczyzn ze wsi. To oni za niego płacili. Jeśli tym razem mógł towarzyszyć Feliksowi mój brat, prosty parobek, było to wielkie wyróżnienie. Mimo ostrej wymiany zdań, Jo nie mógł odmówić.

Wczesnym popołudniem obaj mężczyźni wsiedli do ciężarówki Felixa. Jo siedział na platformie i trzymał broń. Ukradkiem mi pomachał. Samochód ruszył. Bujając się przebrnął przez wysoką po pas trawę i odjechał.

W domu przez cały dzień panowało podniecenie. Zgodnie z instrukcją wszystkie żony pakowały swoje rzeczy. Były w dobrych nastrojach i cieszyły się na powrót do miasta. Dawno nie widziałam ich tak zadowolonych. Cieszyły się, że opuszczają farmę. Niepokój wygnał mnie na pola. Obok mnie szedł Corn. Spokojnie żegnałam się z moimi ulubionymi roślinami. Nappełniłam kilka skrzynek zielonymi pomidorami, fasolą i wszystkim co mogłam unieść. Nie było tego dużo. Jak dziecko próbowałam zapakować i wziąć ze sobą choć część mojego raję.

Oczywiście chciałam jeszcze porozmawiać z mamą i spytać, czy Jo do niej dzwonił. Pragnęłam spróbować w jakiś sposób polepszyć swój los. Niestety Felix zamknął swój pokój na klucz. Uniemożliwił mi w ten sposób dostęp do telefonu. Nie pierwszy już raz zaczęłam się zastanawiać, czy nie wykorzystać jego nieobecności do ucieczki. Tylko dokąd? W ciąży, w dodatku z chorą nogą, nie mogłabym biec bez odpoczynku zbyt długo. W nocnych ciemnościach byłabym zdana tylko na siebie. Nie miałam dokąd uciec. Znów byłam zbyt słaba.

Tym razem wykopałam przynajmniej puszkę z zaoszczędzonymi pieniędzmi. Było ich mniej niż przed dwoma laty. Gdzie je schować? Na pewno nie przy sobie, gdyż Felix mógłby je szybko znaleźć. Siedziałam pod krzakami bugenwilli i zupełnie nie miałam pomysłu co zrobić z banknotami. Poprzednim razem mama Bisi powiedziała, że wrócę tu, skoro coś zostawiłam. Nie myliła się. Ponownie zakopałam pieniądze. Być może dzięki temu wrócę tu razem z matką i moim dzieckiem, które noszę pod sercem. Wtedy spełnię obietnicę, którą złożyłam Madonnie. Nie ma znaczenia w jaki sposób to niewinne dziecko zostało poczęte, było przecież moje. Może ono zadośćuczyni grzechom swojego ojca.

Tego wieczora położyłam się wcześniej. Byłam wykończona zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Głęboko w sercu wciąż jednak tliła się radość, że niedługo zobaczę się z matką i moimi ulubionymi mamami. Felix i Jo byli jeszcze na polowaniu. Zасыpiając rozmyślałam o moim bracie, który zostanie sam na farmie, dopóki nie przyjedzie nowa Rodzina.

Jo zbliżał się do trzydziestki, od dawna był już w wieku, w którym mógłby mieć dzieci. Jednak, podobne do haremu, zamknięte otoczenie - w którym żyliśmy na farmie - nie pozwalało mu znaleźć sobie żony. Postanowiłam poradzić mu, żeby oszedł i poszukał własnego szczęścia. I chociaż ze względu na mamę (a może i na mnie) chciał pomóc w prowadzeniu farmy, nie powinien wiązać się z nią na zawsze.

Już prawie zasypiałam, gdy usłyszałam warkot ciężarówki. Rhoda dawno już chrapała na swoim posłaniu. Podniosłam się więc, żeby zobaczyć, jak udało się polowanie. Felix wyskoczył z kabiny kierowcy.

- Pomóż mi wyładować zwierzynę, bo psy rozszarpia ją w nocy na kawałki! - zawołał, gdy mnie zobaczył.

Podeszłam ostrożnie i zbadalam wzrokiem platformę ciężarówki. Leżały na niej trzy antylopy.

- A gdzie jest Jo? - spytałam.

- No rusz się, przyprowadź taczkę! - Felix wydał rozkaz nie odpowiadając na moje pytanie.

- Czy Jo poszedł już do swojego pokoju? - nie dałam za wygraną.

Czułam coraz większy niepokój. Mój brat nigdy nie migał się od pracy. Jeśli towarzyszył Felixowi w polowaniu to na pewno pomógłby przy wyładunku zdobyczy. Przyprowadziłam taczkę, na którą mój mąż położył zwierzęta.

- Był wypadek - powiedział Felix.

- Wypadek? Czy Jo jest w szpitalu? - dopytywałam się.

- Szpital nie był już potrzebny.

- Jak to?

- Jo nie żyje - Felix poprowadził taczkę do magazynu. Pobiełam za nim.

- Dlaczego nie żyje? To nie możliwe! - krzyczałam.

- Nic na to nie poradzę. Było ciemno.

- Zastrzeleń go? - wypaliłam na całe gardło.

Felix znieruchomiał. W ciemnościach widziałam tylko zarys jego sylwetki. Gdy powoli zaczął się do mnie zbliżać, spanikowana zesłam mu z drogi, licząc się z możliwością ataku.

- Słuchaj, nigdy posądzisz mnie o to, że go zabiłem. Nikogo przy tym nie było - wycedził cichym głosem, którego tak nienawidziłam. - Jeśli mówię, że to był wypadek, to tak właśnie było. Bóg mi świadkiem i tylko On. Nie waż się nawet pomyśleć, że spotka mnie kara za śmierć Jo.

Nie wierzyłam ani jednemu jego słowu. Ale zabrakło mi sił, żeby nazwać go mordercą i kłamcą. Obaj mężczyźni posprzeczaali się, zanim wyruszyli na polowanie. Jo wiedział o Idu i o tym, że Felix mnie bije. Teraz nie zdradzi tego nikomu. Ja nie stanowiłam dla Felixa żadnego zagrożenia. Wiedziałam, że niezależnie od tego co zrobi, nie mogę od niego uciec.

Wszystkie te straszne rzeczy, których dopuścił się nowy ojciec Family Of The Black Jesus, doprowadziły mnie niemal do szaleństwa. Wstrząśnięta do głębi pobiegłam z powrotem do domu. Chociaż najchętniej nakryłabym się kołdrą po czubek głowy, nie mogłam iść do łóżka. Siedziałam pod drzwiami, trzęsąc się z gniewu. Gdybym była silnym mężczyzną, takim jak mój brat, złapałabym jakiegoś drąga i pomściła ten niecny mord na bracie. Przysięgałam sobie, że jeszcze tej nocy zemszczę się na Felixie. Zabiję go. Do dziś nie żałuję tych myśli. Tamtej nocy nie chciałam czekać na sprawiedliwość w niebie. Chciałam wymierzyć ją sama.

Zamiast tego byłam jednak zdana na bierną żalobę, na łzy bezsilności. Ciężarna kobieta, ofiara samowoli mężczyzny bez sumienia.

Wyczuwając moje wzburzenie Corn ułożył się obok mnie. Kiedy Felix wróci do domu będzie musiał przejść obok nas obojga.

Przyszedł.

- Przynajmniej pochowałeś Jo? - spytałam drżącym głosem.

- Niby jak? W ciemnościach, bez narzędzi?!

- Zostawiłeś go tak po prostu na ziemi? Przecież psy... - nie mogłam wymówić nic więcej. Wstałam i zagroziłam mu drogę. - Przywieziemy go, Felixie. Jesteś mu to winien. Jo był moim bratem i najlepszym przyjacielem!

- Natychmiast marsz do domu! Znikaj! - Zepchnął mnie na bok.

- Zamordowałeś Jo! - wykrzyczałam mu prosto w twarz. - Za dużo o tobie wiedział.

Corn, chcąc mnie wesprzeć, warczał na Felixa. Mimo że od dawna znał pana domu i drżał na odgłos jego kroków, tym razem został przy mnie. Felix bez słowa zamachnął się bronią.

- Nie! - zdążyłam krzyknąć.

Gdyby nie starość i kalectwo Corna być może udałoby mu się odskoczyć i uniknąć ciosu. Kolba trafiła w głowę psa. Usłyszałam stłumiony odgłos łamanych kości. Krótki skowyt, a potem cisza.

- Powiedz jeszcze słowo... - warknął Felix. Otworzył drzwi, wszedł do domu i zamknął je za sobą. Pies próbował jeszcze złapać powietrze, ale po chwili przestał oddychać. Trzymając ciało mojego wybawcy, opłakiwałam jego śmierć, śmierć Jo i całe zło, jakie tu się wydarzyło. Zło - któremu musiałam się przyglądać, przepelniona złością, ale bezsilna. W końcu, gdy powoli się rozjaśniało, wzięłam motykę i łopatę, i wykopałam grób dla Corna, dostatecznie głęboki, żeby chociaż jego ciało znalazło w nim schronienie przed tym światem.

Potem błądziłam jeszcze przez jakiś czas po okolicy szukając jakichś śladów Jo, ale nic nie mogłam znaleźć.

- Mój brat był dobrym człowiekiem. Dlaczego musiał umrzeć tak młodo i w tak okropny sposób? - żaliłam się w kaplicy czarnemu Jezusowi.

W ciągu dwudziestu czterech godzin straciłam ojca, brata i mojego małego przyjaciela. Diabeł musiał mieć tego dnia nie lada ucztę. Trafił mu się łup, na który nie zasłużył. A ten, którego powinien ze sobą zabrać, stał się tego dnia jeszcze potężniejszy.

\*\*\*

## **Ucieczka z haremu**

Jechaliśmy przez cały dzień, a wieczorem, zupełnie wyczerpani, dotarliśmy wreszcie do Lagos. Morderca i jego cztery ciężarne żony. Matka, mama Bisi i mama Ada uściskały mnie i zaniósły do mieszkania Bisi na parterze. Wszyscy inni już spali. Po wyczerpującej jeździe na platformie ciężarówki nie miałam siły sama iść. Matki dobrze przygotowały się na mój przyjazd. Przy taszczyły ogromną wannę, do której nalewały teraz ciepłej wody. Pachnące olejki i zioła kołysły moje zmysły. Było mi dobrze, gdy pomyślałam, że wszystkie trzy mnie kochają! Potrzebowała tego moja zraniona dusza, moje złamane serce i zdeformowane zmęczone ciało. Na koniec położyły mnie na łóżku Bisi, głaskały i masowały aż usnęłam. Przeżycia z ostatnich miesięcy nie dawały mi jednak spokoju. Co chwila

budziłam się zrana potem. Obecność mamy zapewniała mi ochronę. Spałam przez cały dzień i obudziłam się dopiero, gdy na dworze robiło się ciemno. Usta nie nadały z opowieścią wszystkiego tego, co leżało mi na sercu. Opowiadałam całymi godzinami. Po każdej kolejnej opowieści twarze trzech najbliższych mi kobiet robiły się coraz bardziej poważne.

- To, co Felix zrobił z Jo, było morderstwem zaplanowanym z zimną krwią! - wypaliła matka.

- Ten człowiek powinien zostać postawiony przed sądem - dodała Bisi.

- Co stanie się wtedy z naszą Chogą? - spytała spokojnie mama Ada. - Pomyślałyście o tym? Musiałaby zeznawać jako świadek. A jednocześnie żyłaby tu w compound, gdzie - póki co - to Felix ustala obowiązujące prawa.

- I bez tego traktuje ją źle. Nie możemy naszej małej bardziej tortuować - zreflektowała się od razu mama Bisi. - Jak myślicie, do czego ten człowiek jest jeszcze zdolny?

- Inna sprawa, czy policja w ogóle byłaby w stanie ustalić fakty - stwierdziła Ada rzeczowo. - Jeba podlega innemu sądownictwu niż Lagos. To może długo trwać.

- A Choga Regina i tak będzie przez cały czas żyć w strachu przed swoim mężem. Niezależnie od tego, czy złoży doniesienie, czy nie - matka energicznie pokręciła głową. - Nie, ten pomysł odpada.

- Istnieje coś więcej niż sądy na ziemi - zamyśliła się nagle Ada. Brzmiało to tak, jak gdyby już od dziś miała modlić się o to, żeby los Felixa wypełnił się w odpowiedni sposób.

- Nie możemy przecież siedzieć z założonymi rękami! - chlpała mama Bisi.

- Dziecko, nie zostaniesz tu dłużej. Pomogę ci uciec - mama pierwsza wpadła na ten pomysł.

- Nawet jeśli to miałyby być ostatnia rzecz jaką zrobimy.

- Bisi pokiwała głową.

- Macie rację - patrząc na swoje współżony przytaknęła Ada. - Ale możecie mi powiedzieć, jak to zrobić? Wszystkie bramy są zamknięte, a na zewnątrz stoją strażnicy. Felix pokazuje w ten sposób, że jest ważnym i wielkim człowiekiem. Tamtędy Choga się nie wydostanie. Poza tym - jest za słaba!

Mama, Bisi i Ada trafnie oceniły sytuację. W haremie czekało mnie życie w ciągłym strachu.

- Ale dokąd mogłabym uciec? - spytałam żałośnie.



- To musi być miejsce, którego Felix nie zna. Najlepiej, gdyby było podobne do naszego compound. Tam, gdzie mieszka wiele kobiet, nie będziesz się rzucać w oczy - głośno myślała mama Ada.

- Amara! - matka spojrzała na swoje przyjaciółki. - Oczywiście! Jestem pewna, że z radością cię przyjmie, moje dziecko!

Ada i Bisi nie wiedziały co powiedzieć. W przeciwieństwie do nas obu, nigdy nie były u Amary, nie miały pojęcia jak mieszka.

- Zaraz spróbuję do niej zadzwonić! - powiedziała mama, która od razu przejęła inicjatywę.

Chciała działać szybko. Telefon znajdował się w domu ojca Davida, w klimatyzowanym pokoju, w którym zmarł i w którym teraz leżał. Mama Bisi powiedziała mi, że Felix zamierza wprowadzić się tam dopiero następnego dnia po pogrzebie. Ten zaś ma odbyć się jutro. Dotarcie do telefonu wydawało mi się zupełnie niemożliwe. W czasie nieobecności mamy Bisi i Ada snuły plany mojej ucieczki.

- Za kilka godzin rozpoczną się uroczystości pogrzebowe. Przybędą setki gości. Ojciec Felix nie będzie miał czasu myśleć o tobie, moja mała - mama Bisi dodawała mi odwagi.

- Najlepsza byłaby ucieczka wejściem do domu ojca Davida - doradzała Ada. - Pewnie chciałabyś w spokoju pożegnać się ojcem. Zaprowadzimy cię do niego wczesnym rankiem.

- Tak, chciałabym go jeszcze raz zobaczyć.

- Ale przed wejściem stoją wartownicy! - mama Ada powróciła znów do dręczącego ją problemu

- Damy im coś do picia. Środek nasenny! - wykrzyknęła przejęta Bisi.

- Możliwe - rzekła na to mama Ada - tylko czy oni będą się chcieli napić?

- Ach, Lisa na pewno wpadnie na jakiś pomysł - pocieszała nas mama Bisi.

Pół godziny później mama przyniosła nam wieści, że Amara jest chętna i gotowa do pomocy. Obie z mamą wpadły na ten sam sposób ucieczki, który wcześniej obmyśliła Ada. Znalazły też rozwiązanie problemu z wartownikami.

- To są silni mężczyźni. Pomogą Amarze wnieść do domu dary dla Davida. W ten sposób odciągniemy ich od wejścia.

Mimo zmęczenia, w nocy przed ucieczką nie mogłam nawet zmrużyć oka. Przerazała mnie przede wszystkim długa droga do domu ojca, gdyż chodzenie sprawiało mi okropny ból. Do tego dręczyło mnie najgorsze ze wszystkich pytań: co będzie, jeśli ktoś odkryje moją ucieczkę? Czy wtedy kiedykolwiek uda mi się umknąć z haremu? Felix na pewno zamknąłby mnie na cztery spusty...

Rano compound wypełnione było ludźmi. Wszyscy byli ubrani na biało. Kobiety nosiły na twarzach zasłony, przez które widać było tylko oczy. My cztery miałyśmy nadzieję, że wmieszamy się w tłum. Nie mogłam wziąć ze sobą żadnego bagażu. Zabierałam tylko to co miałam na sobie, czyli niedzielną suknię. Ale to nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Chciałam jedynie uratować życie mojego nienarodzonego dziecka i swoje.

Znałam na pamięć każdy kąt naszego compound, tutaj był niegdyś mój dom. Jednak perspektywa życia tu w panicznym strachu paraliżowała mnie tak bardzo, że niewiele pomogły pocieszenia moich mam. Zbyt świeże były traumatyczne wspomnienia ostatnich miesięcy spędzonych na farmie. Nogi miałam jak z waty. Wydawało mi się, że zaraz upadnę.

Ale nie strach mnie zdradzał, lecz mój chód. Wyróżniał mnie z tłumu podobnie ubranych ludzi.

- Choga! - zadrżałam słysząc ten władczy ton.

Głosu męża nie pomyliłabym z żadnym innym. Zdesperowana próbowałam iść dalej, ale moje nogi, jak i cała reszta ciała, nie pozwoliły mi zrobić ani kroku. Och, żeby tak ziemia rozstała się i pochłonęła mnie!

Felix był w towarzystwie mężczyzn, których nie znałam.

- Dokąd się wybierasz? - spytał. W jego głosie już słyszałam zarzut. - Uroczystość pogrzebowa odbywa się w domu wspólnoty, a ty idziesz w innym kierunku.

- Chcę się pożegnać ze swoim ojcem - powiedziała moja mama stanowczym tonem.

- Wczoraj był na to czas. Chciałbym, żeby Choga dołączyła teraz do moich żon, które przygotowują uroczystość.

- Wczoraj przez cały dzień odpoczywała. Moja córka nie czuje się dobrze - matka nie dała za wygraną. Czulałam, że z trudem udaje się jej zachować spokój.

- Wszystkie żony przebyły taką samą drogę. Nie będę tolerować szczególnego traktowania twojej córki!

Mama Ada, dorównująca Felixowi wzrostem, wysunęła się przede mną.

- Twoja próżność jest dla ciebie ważniejsza niż ból córki po stracie ojca? - moja chrzestna zmierzyła nowego ojca Rodziny od stóp do głów. - Sądziś, że ludzie będą mieli szacunek do kogoś, kto nie dba o pamięć zmarłych?

- Używasz mocnych słów, mamó Ado. Jeszcze sobie porozmawiamy - posłał złowrogie spojrzenie w stronę mojej mamy i Bisi. - Nie jesteście już queens, tę rolę przejmą wkrótce moje żony. A moje żony wiedzą, jak mają się zachowywać, prawda, Choga? - dodał pochylając się w moją stronę.

Jeszcze bardziej schowałam się za plecami Ady. Ten mężczyzna już dwa razy niespodziewanie mnie uderzył.

- Za dziesięć minut widzę cię w domu wspólnoty! - wyszczekał Felix.

Potem położył dłoń na ramieniu jednego ze swoich towarzyszy. Tłum pokornie rozstępował się przed nową głową Rodziny.

Gdy kierowałyśmy się w stronę domu ojca, poczułam na sobie druzgocące spojrzenia moich współżon. Jedyne moja współlokatorka, Rhoda, złapała mnie za rękaw.

- Musisz bardziej na siebie uważać. Nasz mąż był bardzo rozgniewany. Szukał cię wczoraj. Zajmę ci miejsce obok siebie w domu wspólnoty - powiedziała w języku, którego zdążyłam się w międzyczasie nauczyć.

Po raz pierwszy Rhoda okazała mi współczucie. Uścisnęłam ją. Nie wiedziała, że w ten sposób życzę jej wszystkiego najlepszego na resztę życia. To ostatnie spotkanie z Felixem rozwiało bowiem wszelkie wątpliwości, jakie do tej pory miałam. Ucieczka była jedynym wyjściem. Nie zniosłabym więcej widoku tego mężczyzny, do którego nigdy nie zwróciłam się tak, jak tego oczekiwał: „mój mężu”.

W chłodnym pomieszczeniu, w którym - czekając na wieczny spoczynek w grobie na tyłach domu - leżał ojciec, były tylko mama Patty i mama Felicitas. Z żadną z nich nie można było zamienić ani słowa. Felicitas od dwóch dni wybijała monotony rytm na bębnie. Zaś Patty nieprzerwanie śpiewała pieśni opowiadające o zmartwychwstaniu i życiu wiecznym. Obie znajdowały się w głębokim transie.

Weszłyśmy do pokoju i, nucąc pieśni znane nam z wielu rodzinnych świąt, dołączyłyśmy do mamy Patty. Z ciężkim sercem zbliżałam się do ojca. Leżał w otwartej trumnie, ubrany w najwspanialsze szaty jakie kiedykolwiek nosił. Z trudnością go poznałam. Nie był już tym człowiekiem, na którego przez dziesięciolecia patrzyliśmy wszyscy ze czcią. Był zaledwie swoim cieniem.

Tak wiele miałam mu do powiedzenia. Jednak w tej chwili czułam pustkę w głowie. Cała moja złość, jaką czułam do niego w ostatnim czasie, gdzieś zniknęła. Stałam przed człowiekiem, po którym jeszcze teraz było widać całe cierpienie, jakie przeżył w ostatnich tygodniach swojego życia. Wszystko co robił, było z myślą o innych. Jego celem stało się przekazanie ludziom zaufania oraz szacunku do samych siebie. Teraz na zewnątrz czekał człowiek, który pogardzając otaczającymi go ludźmi, zdeptał już cały dorobek życiowy ojca. Na samą myśl o tym przeszły mnie ciarki. Zrobiło mi się zimno, być może dlatego, że powietrze we w pomieszczeniu było lodowate, podczas gdy na zewnątrz panował upał.

Ze smutnych myśli wyrwały mnie zdenerwowane głosy. Jakaś kobieta energicznie żądała, żeby ktoś łaskawie jej pomógł. Nagle poczułam dłoń mamy w moim ręku.

- Pożegnaj się z ojcem, moje dziecko. Zaczyna się. Na zewnątrz jest już Amara.

Nachyliłam się nad czołem ojca i pocałowałam go.

- Przykro mi, tato, że nie będę ci towarzyszyć w ostatniej drodze - szepnęłam.

Ze łzami w oczach dałam się zaprowadzić mamie do tylnego wyjścia z pokoju.

- Rób to, co powie ci Amara, moje dziecko. Nie ma czasu na pożegnanie - odwróciła mnie w swoją stronę i pocałowała w czoło. - Niech cię Bóg błogosławi.

Sekundę później znalazłyśmy się wśród gromady ludzi. Z trudnością orientowałam się w sytuacji. W głowie huczało mi od donośnych głosów.

- Nie widzicie, że złamałam sobie rękę, wy bezduszne chłopaki! - grzmiała zielarka.

- Musimy pilnować, czy nikt nie wchodzi - brzmiała odpowiedź.

- Tu jest tylko kilka kobiet. Czy chociaż moglibyście mi pomóc? Mam w samochodzie prezenty dla ojca Davida. To był uczciwy partner w interesach. Jestem mu winna tę ostatnią przysługę! - Amara paplała jak nakręcona, aż bolały mnie uszy.

Przeszłyśmy obok wartowników i zbliżyłyśmy się do samochodu dostawczego Amary, wypełnionego do połowy prezentami. Były tam skrzynki z cudownie pachnącymi owocami i gotowymi potrawami. Mechanicznie zabrałam się do pomocy. Wartownicy nie mogli oderwać wzroku od pysznych potraw wnoszonych do domu.

Mama Ada stanęła przed jednym ze strażników częstując go pieczonym mięsem. Amara wykorzystała ten moment, żeby wpełznąć do samochodu.

- Kucnij! - wyszeptała. W chwilę potem zniknęłam pod ciężką plandeką. - Nie ruszaj się!

W głowie czułam pulsującą krew. Serce skoczyło mi do gardła. Usłyszałam odgłos zatraskiwanych drzwi. Chwilę później zawarczał silnik i samochód potoczył się po niewyafaltowanej drodze. Nie mogłam dłużej utrzymać równowagi. Przewróciłam się na bok uderzając o coś twardego. Coś spadło mi na nogi. Potem mnóstwo okrągłych owoców potoczyło się w moją stronę. Pomidory! Ich zapach przywołał wspomnienia, przeniósł mnie na farmę. Leżąc na podłodze samochodu szlochałam bez opamiętania.

Byłam uratowana. To prawda. Ale straciłam wszystkich, których kochałam. Byłam teraz jak nowonarodzone dziecko - odcięte nagle od pępowiny - niemające na tym świecie nic, oprócz własnego nagiego ciała. Zaczynałam nowe życie. Moja mama, Bisi i Ada zostały w haremie. Nie wiedziałam co się z nimi stanie. Jednego byłam jednak pewna: gdy tylko Felix odkryje moją ucieczkę, zemści się na nich trzech.

Ponieważ miejsce obok Rhody będzie puste. Zostanie puste na zawsze.

\*\*\*

## **Krzyk w środku nocy.**

Bajecznie kolorowy szyld na domu Amary wskazywał na jej główną profesję. „Zielarka” głosił napis, choć ona sama określała się raczej jako uzdrowicielka wykorzystująca zioła. Oprócz tego wykonywała wówczas jeszcze inny zawód, dzięki któremu poznała moją mamę. Kształciła dziewczęta do prac domowych. Amara do dziś korzysta z życia, na które może sobie pozwolić. Widać to już na pierwszy rzut oka. Lubi dobrze zjeść, wyróżnia się barwnymi strojami i obwiesza biżuterią - nawiasem mówiąc - niezbyt wartościową.

Compound Amary nie zmieniło się bardzo od czasu, gdy widziałam je jako dziecko. Ale teraz patrzyłam na nie oczami młodej kobiety. Było skromne, składało się z trzech kamiennych budynków. Amara zajmowała trzy pokoje od strony ulicy. Dwa z nich były wykorzystywane jako gabinety chorych. Ona sama sypiała w skromnie urządzonej sypialni bez żadnych luksusów. Na tyłach jej domu znajdował się największy budynek podzielony na małe izby. Tam mieszkały dziewczęta. Pomiędzy tymi budynkami, nieco z boku, stała kuchnia. Gdy przybyłam do Amary, był to skromniutki domek. Dziś jest to serce całego compound. Nazywamy ją z Amara „kuchnią zielarską”, ale właściwie jest to rodzaj laboratorium, w którym w profesjonalnych warunkach powstają leki.

Żeby zataić moje prawdziwe pochodzenie przed ośmioma mieszkającymi tam dziewczętami, w dniu przybycia Amara nadała mi nowe imię

- Mary ma za sobą trudne chwile. Była maltretowana przez swojego męża - tak Amara przedstawiła mnie innym. - W którym pokoju może zamieszkać siostra Mary? - spytała następnie.

Wszystkie dziewczęta uniosły ręce. Zbliżyły się do mnie, głaskały mnie i dotykały drogich materiałów, które miałam na sobie. Ja sama byłam daleko stąd, czułam jakby to nie dotyczyło mnie.

W końcu wybrano dziewczynę prawie w moim wieku o imieniu Betty, u której miałam zamieszkać. Byłam dla Betty milczącym gościem. Przez pierwsze dni leżałam cicho na łóżku i prawie nie odpowiadałam na jej pytania dotyczące mojego dotychczasowego życia. Nie znając nowego otoczenia, bałam się zdradzić jakimś nieopatrzonym słowem. Nie miałam też pewności, czy Felixowi nie uda się mnie znaleźć. Dopiero gdy Amara - pod moim naciskiem - wybudowała wokół swojej posesji wysoki mur, jako tako się uspokoiłam.

Bóle nastąpiły już na początku szóstego miesiąca. Amara obawiała się, że mogę stracić dziecko i kazała mi oszczędzać się aż do rozwiązania. W moim nowym otoczeniu każda z kobiet miała jakieś zadanie. Ja zaś byłam gościem zmuszonym do bezczynności. Nie byłam jednak pozostawiona sama sobie ze swoimi troskami i strachem. Amara godzinami siedziała przy moim pościeliu i rozmawiała ze mną, choć miała przecież wiele zajęć. Czułam w sobie przejmującą pustkę, jak gdybym nie miała ani przeszłości, ani terażniejszości, ani przyszłości.

Urodzenie dziecka pochodzącego z gwałtu, nawet jeśli odbył się on pod przykrywką małżeństwa, odbiera kobiecie poczucie godności i własnej wartości. Jest też grzechem wobec aktu stworzenia, gdyż dziecko powinno być owocem miłości, a nie dowodem władzy męża nad żoną. Niezwykle trudno jest nauczyć się kochać takie dziecko. Dzięki Amarze pojmowałam, że ta mała istotka nie jest niczemu winna.

Pewnego dnia zielarka pojawiła się w moim pokoju ze stosem białych kartek i ołówkiem.

- Napisz wszystko, co cię gnębi - powiedziała. - To jest najlepsze lekarstwo. Przelej na papier co cię złości, a co napawa nadzieją.

Z początku ten pomysł wydawał mi się absurdalny.

- „W czym to może pomóc?”- pytałam się w skrytości ducha. Ale im dłużej o tym myślałam, tym bardziej przekonywałam się do pomysłu Amary. Żeby nikt nie mógł przeczytać moich notatek, zaczęłam pisać po niemiecku, w języku mojej matki, który ostatnio zaniedbałam.

Dzięki tym zapiskom nadałam mojemu Ja nowy sens. Jeszcze raz przemierzyłam swoją życiową drogę. Wszystko to co było piękne, przede wszystkim miłość moich wielu mam. Przekazę ją dalej, gdy tylko przyjdzie na świat moje dziecko. W miarę upływu czasu zaczęłam żywić wobec niego jakieś uczucia, czułam je w sobie, jego pierwsze ruchy. Rosła we mnie część mnie. Zaczęłam oswajać się również i z tym, że moje dziecko odziedziczy geny po swoim ojcu. Być może jednak te dobre, a nie złe cechy...

Już pierwsze sygnały, jakie wysłało mojemu ciału rosnące we mnie dziecko, złagodziły poczucie beznadziei, ogarniające mnie od wielu miesięcy. Nienawiść do Felixa malała, aż w końcu zupełnie znikła z mojego serca. Z zapałem zabrałam się za szycie ubranek, choć z początku robiłam to bez większego przekonania.

Do momentu rozwiązania żyłam właściwie bez kalendarza, nie wiedząc dokładnie, kiedy wypada termin porodu. Ale nie było mi to potrzebne, bo miałam przy sobie kogoś takiego jak Amara! Ona wiedziała najlepiej co dzieje się w moim ciele, lepiej niż ja sama...

Pewnego dnia, gdy ślęczałam nad rozsypanymi notatkami, usłyszałam pukanie do drzwi pokoju, który dzieliłam z Betty.

- Wejdz śmiało! - powiedziałam zajęta pracą. Myślałam, że to przywidzenie, gdy w drzwiach zobaczyłam mamę. To była naprawdę ona!

- Jak się tu dostałaś? - spytałam zaskoczona.

- W taki sam sposób jak ty. I tak samo wrócę do haremu - odpowiedziała poważnie.

Na krótką chwilę znów ogarnął mnie strach. Felix mógł przecież śledzić mamę i znaleźć moją kryjówkę. Ale radość z nieoczekiwanego spotkania przyćmiła ten niepokój. Chciałam wypytać ją o to, co dalej działo się z haremem.

- Jakoś sobie radzimy, moje dziecko - powiedziała tylko. - Nie myśl o tym. Bisi i Ada mają się dobrze. Musiałyśmy się trochę ścieścić. Patty, Felicitas i kilka innych kobiet mieszkają teraz u nas. Ale opowiadaj, co u ciebie!

Z dumą pokazałam jej moje notatki, które przeczytała z zainteresowaniem. Potem spojrzała na mnie zamyślona.

- Powinnam jeszcze raz spróbować nawiązać kontakt z twoją siostrą w Niemczech - jej spojrzenie padło na mój zaokrąglony brzuch. - Być może jestem już babcią i nawet nic o tym nie wiem. Magdalena na pewno ma już dzieci... I to duże. Ma przecież już trzydzieści siedem lat.

- Zrób to teraz - zaproponowałam z zapalem. - Napisz do niej!

Nie zastanawiając się, wzięła jedną z wielu pustych kartek i zapisała ją z obu stron. Potem sięgnęła po następną i jeszcze jedną. W pewnym momencie przerwała.

- Ale dokąd mam wysłać ten list? - zastanawiała się. Dopiero teraz dotarło do mnie, że kontakt matki z moją siostrą urwał się dawno temu.

Gdy weszła do nas Amara, obiecała odszukać adres Magdaleny.

- Znam kilku Niemców. Dowiem się gdzie mieszka. Jeszcze chwilę poplotkowałyśmy. Potem obie przyjaciółki poszły porozmawiać na osobności.

- Moja droga, to zbyt niebezpieczne, żebyś urodziła dziecko tutaj. Amara twierdzi, że powinnaś pojechać do szpitala - po powrocie mama przekazała mi ich wspólne ustalenia.

- A jeśli Felix mnie tam znajdzie?

- A czego miałyby szukać w szpitalu? - Amara odpowiedział pytaniem na pytanie. - Niedaleko stąd mieszka pewna lekarka. Moje dziewczęta pracują dla niej. Ona pracuje w klinice uniwersyteckiej. Jest prawdziwą panią doktor! chwaliła się. Amara do dziś jest szanowaną osobą i dumna jest ze swoich ważnych i wpływowych klientów...

Szczególny rodzaj znajomości z „panią doktor” wpłynął na znaczne zmniejszenie kosztów porodu. Matka nie miała już prawie żadnych swoich pieniędzy. Wszystko zainwestowała w farmę (a resztę, po przeszukaniu jej mieszkania, przywłaszczył sobie Felix). Koszty porodu pokryła więc Amara. Dziś jestem jej za to ogromnie wdzięczna. Ale wtedy było mi zupełnie wszystko jedno. Pieniądze były ostatnią rzeczą, o której myślałam. Dręczyła mnie zupełnie inna myśl. Od tamtego dnia, kiedy musiałam jechać z Bisi do kliniki, nienawidziłam szpitali. Zaczęłam naprawdę bać się porodu.

- Tak wiele dzieci przyszło na świat z twoją pomocą. Dlaczego nie pomożesz także i mnie? - pytałam błagalnym tonem.

Amara tłumaczyła, że deformacja mojej miednicy każe spodziewać się trudnego porodu. A ona nie potrafi i nie może przeprowadzać zabiegów chirurgicznych, jak na przykład cesarskie cięcie, gdyż jej praca polega na leczeniu ziołami. Jeśli z powodu przesuniętej miednicy moje dziecko nie mogłoby samo wyjść na świat, to u niej nie dałoby się go uratować.

Gdy matka zbierała się do wyjścia, nie chciałam jej puścić.

- Czy naprawdę musisz wracać do haremu? Zostań, proszę, u Amary! - błagałam

- Już jej to proponowałam - wtrąciła uzdrowicielka.

Ze smutkiem wzruszyła ramionami i zostawiła nas same.

- Amara troszczy się o ciebie jak najlepsza matka, Choga Regina. Ja sama nie uczyniłabym więcej. Kiedy urodzi się twoje dziecko, znów znajdę sposób, żeby was odwiedzić - odpowiedziała mama.

- A co trzyma cię w haremie? Teraz, gdy nie ma w nim już ojca?

- Trudno to wyjaśnić. Powiem tak: tam jest mój dom. Bisi mnie potrzebuje, Ada także. I wszystkie inne kobiety. Jeśli nie wrócę, złamię im serca. Kochają mnie, a ja kocham je. Bisi ledwo zniosła twoje odejście. Wie, że to jest cena, jaką trzeba zapłacić za jej wiek. Nie mogę jej opuścić. Wybacz mi, proszę. Kiedyś wreszcie znajdę sposób na to, żebyśmy mogły wszystkie zamieszkać razem z tobą i twoim dzieckiem.

- A co się stało z farmą?

- Nikt nie będzie tam mieszkać. Ludzie mówią, że przynosi nieszczęście. Felix też jej nie chce. To dla niego za daleko.

- Boi się wrócić na miejsce zbrodni - wtrąciłam.

- Postaram się odzyskać farmę, moje dziecko. Czy chciała byś tam znów zamieszkać?

Po tym wszystkim?

- Choćby zaraz! - wykrzyknęłam. - Najchętniej z wami wszystkimi!



Zawsze chciałam urodzić dziewczynkę. Wewnętrzny spokój, jaki zaczęłam wreszcie odczuwać, wydawał się nie być na tyle trwały, abym potrafiła trzymać przy piersi „małego Felixa”. Chciałam mieć delikatną córeczkę. Marzyłam o niej już wtedy, gdy trzymałam w ramionach małą Sue. Jednak Amara „wiedziała” nawet i to, że powinnam się raczej spodziewać chłopca. Jeśli okazałoby się, że ma rację, chciałam nazwać go po ojcu, zaś dziewczynka miałaby na imię Lisa.

Jak zwykle wszystko przebiegało inaczej niż powinno.

- Pani Egbeme - zwróciła się do mnie pani doktor. Była to pochodząca z Indii znajoma Amary, która poznała już moją historię i której zaufałyśmy. - Zrobiliśmy kilka badań - lekarka spojrzała na mnie poważnie. - Amara przekazała mi, że w pani rodzinie jest duża liczba chorych. Dlatego najchętniej zbadalibyśmy krew ojca dziecka. Niestety nie jest to możliwe - dodała, a ja nie mogłam się już skupić na tym, co mówiła. Spanikowana powtarzałam tylko w duchu: „Nie ma mowy, Felix od razu dowiedziałby się, gdzie jestem!”

Nie miałam pojęcia, dokąd prowadzi ta rozmowa, ale byłam zbyt wystraszona, żeby o cokolwiek spytać. Wreszcie lekarka powiedziała:

- Czy słyszała pani o AIDS?

Dziś już wiem, że w Europie, w sierpniu 1995 prawie każdy nastolatek wiedział o tej chorobie. Ale w moim kraju nie mówi się otwarcie o sprawach seksu. Oczywiście w „kurniku” mama Uloma objaśniała mi, jak dawać radość mężowi. Ale o AIDS jakoś nic nie mówiła. Jak miliony kobiet w moim kraju, potrząsnęłam więc głową w odpowiedzi na pytanie pani doktor.

Lekarka opowiedziała o chorobie. Powiedziała też, że jestem HIVpozytywna. Nie mogłam nadążyć za tym, co mówi.

- Co z moim dzieckiem? - pytałam.

Interesowało mnie tylko jedno. O konsekwencjach choroby dla mnie w ogóle nie myślałam.

Znajoma Amary uspokajała, że cesarskie cięcie, które i tak zaplanowano w moim przypadku, jest dla dziecka całkowicie bezpieczne.

- Nie może się tak łatwo zarazić, jak w czasie porodu siłami natury - wyjaśniła. Poradziła też, żebym nie karmiła piersią, gdyż mogę w ten sposób przenieść wirus na dziecko.

- Wiem, że jest pani głęboko wierząca - dodała. - Najlepsze, co może pani teraz zrobić, to prosić Boga o pomoc dla pani i dziecka. Więcej nie mogę w tej chwili powiedzieć. Musimy poczekać do porodu.

W pierwszej chwili byłam tak zszokowana, że nie mogłam zebrać myśli. Stopniowo jednak docierał do mnie sens słów pani doktor. Mój mały świat, pełen bólu i strachu, który dzięki nadziei i modlitwie jakoś udało mi się posklejać, teraz znów rozsypał się na kawałki. Zdałam sobie sprawę, że stanowią zagrożenie dla własnego dziecka. Ze słów pani doktor wywnioskowałam bowiem, że moje dziecko nie musi urodzić się chore. Dopierają mogę je zarazić.

Bardzo rzadko zdarzało się w haremie, że któraś z queens oddawała dziecko do mamki, która w tym czasie sama karmiła. „Dobra” matka tak nie robi. A jeśli na czymkolwiek mi w tym życiu zależało, to właśnie na tym, żeby być dobrą matką! Choćby dlatego, że moje dziecko nie miało takiego ojca, jakiego bym mu życzyła...

Gdy zamęt w mojej głowie nieco się uspokoił, zaczęłam zastanawiać się nad innym pytaniem: jak doszło do tego, że jestem HIV-pozytywna i że cierpię na chorobę, o której dotąd nawet nie słyszałam?

Lekarka wyjaśniła mi, że wirus może przenosić się z mlekiem matki, a oprócz tego praktycznie tylko przez krew lub kontakty seksualne. Krew? Czyja krew mogła mieć kontakt z moją? Seks? Jedyne mężczyzna, z którym miałam stosunki seksualne, to Felix. Dlatego lekarka pytała o jego krew! Z tego wynika, że to Felix zaraził mnie tą chorobą!

A on sypiał z niezliczoną liczbą kobiet. Zrobiło mi się niedobrze, gdy pomyślałam o konsekwencjach. Cały harem był zagrożony! Wszystkie kobiety i wszystkie dzieci! Cały czas miałam przed oczami widok dziecka Idu, zgniłego w jej własnym łonie. Ale to jeszcze nie wszystko. „Duża liczba chorych w pani rodzinie” - powiedziała pani doktor. Przyszła mi do głowy straszliwa myśl. Czy nieznana choroba mojego ojca, w wyniku której zmarł w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, była tą samą, którą zaraził mnie Felix?

W czasie naszej rozmowy lekarka nie powiedziała mi, jak długo mogę żyć z tą chorobą. Jeśli to ta sama, na którą cierpiał ojciec, to... perspektywy nie były dobre. Od pierwszego ataku choroby do śmierci ojca minęły cztery lata. Cztery lata! Nie dożyję nawet dnia, gdy moje dziecko pójdzie do szkoły!

W środku nocy moja dusza zaczęła głośno krzyczeć. Zrozpaczona wołałam o pomoc. Ale pielęgniarka nie chciała wysłuchać litanii moich żalów. Dała mi zastrzyk uspokajający.

\*\*\*

## **Mój syn.**

Następnego dnia był poród. Gdy obudziłam się z narkozy, zaczęłam od razu szukać dziecka. Nie było go przy mnie. Pielęgniarka powiedziała mi, że urodziłam syna. Uspokoila

mnie, że jest śliczny. I zdrowy! Błagałam, żeby pozwolili mi go zobaczyć, ale twierdzili, że muszą zrobić jeszcze kilka badań. Gdy dojdę do siebie po cesarskim cięciu, będę mogła do niego pójść.

Następnego ranka przy moim łóżku zjawiała się Amara z matką. Ogromnie się ucieszyłam widząc je obie. Przejęta wydarzeniami i wiadomościami ostatnich dni zupełnie zapomniałam spytać mamę, czy i tym razem wydostała się z haremu w znany nam obu sposób. Od razu opowiedziałam jej wszystko, czego dowiedziałam się o wirusie HIV, który w sobie noszę. Wyjawiłam też swoje podejrzenia, że to wirus mógł być przyczyną śmierci ojca. W tamtym momencie nie odczuwałam strachu, że Felix mógłby mnie znaleźć. Przez krótki czas czułam się bezpieczna w moim małym świecie.

- Twój ojciec zmarł na zapalenie płuc - uspokoiła mnie mama. - Poza tym żadna z żon ojca do tej pory nie zachorowała.

- A co z żonami Felixa? - spytałam.

Matka opowiedziała mi, że jedna z moich współżon, z którymi mieszkałam na farmie, urodziła jakiś czas temu syna. Niestety w wieku sześciu tygodni dziecko zmarło. Nikt nie badał przyczyn. Może była to ta choroba, a może jakaś inna.

- Moje dziecko! - powiedziała mama. - Całe nasze życie leży w rękach Boga. On zdecyduje, co się z nami stanie. Pomódlmy się za twojego syna.

Zamknęłam oczy i próbowałam skoncentrować się na moim małym dzieciątku, którego wciąż jeszcze nie widziałam, ale już czułam się z nim wewnętrznie związana. Modliłyśmy się. Jak zazwyczaj, gdy nie wiedziałyśmy, co będzie działo się z nami dalej.

Matka zaproponowała, żeby mój syn miał na imię Joshua. W z wątpieniu pozostaje tylko jedno: nadzieja na pomoc Pana. To właśnie znaczy imię mojego syna: „Bóg pomaga”.

Prosiłam mamę, żeby przyniosła mi małego. Nie było to łatwe, gdyż nowo narodzone dzieci powinny przebywać na oddziale noworodków. Ale mama i Amara podjęły próbę. Wróciły po niedługim czasie.

- To on, twój Joshua - mama położyła obok mnie śpiącego dzidziusia.

Amara uśmiechała się do mnie.

- Jest śliczny! - powiedziała zachwycona. - Teraz zapomnij o wszystkich troskach. Spójrz tylko, jaką ma kształną twarz. Chyba nie widziałam jeszcze tak słodkiego dziecka!

- Joshua - powiedziałam do mojego małego synka. - Twoja babcia wymyśliła ci piękne imię.

Do dziś lubię je wymawiać. Brzmi tak optymistycznie, a zarazem delikatnie, tętni w nim życie.

A więc to był mój syn. Bóg chciał, żebym go urodziła. Jego skóra była jeszcze jasna, a włosy gęste i czarne, był delikatnej budowy, ale nie chudy. Wszystko było w nim takie jak być powinno. Pani doktor powiedziała mi, że Joshua nosi w sobie wirus. Ale wyglądał tak, jak sobie wymarzyłam: wyglądał zdrowo!

O nic więcej nie prosiłam Madonny. Nie zauważyłam, że łzy same spływały mi po policzkach.

- Nie zamartwiaj się, moje dziecko - próbowała mnie pocieszyć mama. - To, że jest HIV-pozytywny, to jeszcze nic nie znaczy. Lekarka powiedziała, że to się jeszcze może zmienić. I wierz mi - na pewno się zmieni.

Kiedy mogłam już wstawać, codziennie odwiedzałam synka na oddziale noworodków. Było to ogromne pomieszczenie gęsto zastawione dziecięcymi łóżeczkami. Wystarczył jeden rzut oka, żebym rozpoznała mojego synka wśród wielu innych niemowląt. Miał na sobie wydziergany przeze mnie bawełniany różowo-błękitny kaftanik. Dobrze się stało, że nie mogłam zdecydować się co do koloru ubranka.

Przy łóżku, w plastikowym woreczku, wisiała jego karta. Zobaczyłam na niej duży czerwony krzyżyk, który na początku skojarzyłam z Czerwonym Krzyżem. Na większości kart nie było tego oznaczenia.

- Te z krzyżykiem są zarażone - wyjaśniła mi oddziałowa pielęgniarka. Tych dzieci nie wolno było zanosić matkom do karmienia. W tygodniu, w którym przyszedł na świat Joshua, urodziło się w tym szpitalu jeszcze dwanaścioro innych maluszków, naznaczonych na resztę życia czerwonym krzyżykiem.

Co roku rodzą się w Nigerii miliony dzieci, a umieralność wśród noworodków jest bardzo wysoka. W normalnych okolicznościach, na przykład gdybym urodziła na farmie, nigdy nie dowiedziałbym się, że oboje nosimy w sobie tę okropną chorobę. Mając jej świadomość, żyłam co prawda w ciągłym strachu przed nagłą śmiercią, ale z drugiej strony mogłam cieszyć się każdym przeżytym w zdrowiu dniem.

Opuściliśmy szpital tydzień po rozwiązaniu. Wreszcie do domu! Dziewczęta Amary serdecznie nas przyjęły. Wszystkie przerwały swoje zajęcia i czekały przy wejściu, żeby nie przegapić naszego przyjazdu. Potem prześcigały się w wyrazach podziwu.

- Jakie śliczne dziecko! - zachwyciła się któraś i pogłaskała je po główce.

- Racja, a jak niesamowicie podobne do siostry Mary - dodała inna.

Oczywiście cieszyłam się z tych komplementów, ale nie byłam przygotowana na taką ich ilość. Wtedy wkroczyła Amara i wprowadziła porządek.

- A teraz dajcie się obojgu w spokoju rozpakować. Amara przygotowała dla nas nowy, większy pokój, w którym mogliśmy wygodnie się rozlokować. Joshua dostał buteleczkę, do której już przyzwyczał się w szpitalu. Amara zadbała o mleko w proszku. Bardzo chciałam go karmić piersią, ale pocieszałam nas oboje, że tak będzie dla niego najlepiej. Muszę zrobić wszystko, żeby nie stać się zagrożeniem dla własnego dziecka. Przynajmniej na tyle, na ile jestem w stanie.

Przez pierwsze cztery miesiące życia Joshua rozwijał się zupełnie normalnie. Dużo spał, mało płakał, systematycznie przybierał na wadze, co najlepiej umiała ocenić Amara.

- Joshua jest nie za gruby, nie za chudy, nie za duży i nie za mały - cieszyła się i podszczypywała małego. Kiedy się śmiał, na policzkach robiły mu się dołeczki i wyglądał wtedy jak mały aniołek.

Powoli opuszczał mnie strach, że ten niewidzialny wirus może wywołać chorobę u mojego synka. Nasze życie toczyło się zwykłym torem. Wraz z upływem czasu niemal zupełnie się uspokoiłam. Czułam, że wreszcie wyszłam z ciemności i zaświeciło dla nas słońce. Bardzo dobrze czułam się w towarzystwie moich nowych przyjaciółek, a one lubiły małego i bardzo się o niego troszczyły.

Ciemne chmury napływały niepostrzeżenie. Cztery miesiące po urodzeniu Joshua dostał nagle biegunki. Amara dokładnie go zbadała i stwierdziła grzybicę śluzówki jamy ustnej. Dała mu ziołowe lekarstwo, które w takich przypadkach zazwyczaj pomaga. Zadziałało, ale choroba wracała co jakiś czas.

Do chwili, w której postawiono nam straszną diagnozę HIVpozytywnych, Amara w ogóle nie zajmowała się tą chorobą. Teraz jednak od razu się zorientowała, że nastąpiło to, czego się obawialiśmy. U Joshui odezwała się choroba. W ciągu miesiąca mój synek stał się bardzo słaby. Miał wysoką gorączkę i kaszel. Amara podejrzewała zapalenie płuc, które natychmiast trzeba było leczyć.

W klinice Josh dostał wszelkie pomocne w walce z wirusami lekarstwa, jakie wynaleziono w krajach rozwiniętych gospodarczo. Ale mój synek nie mógł długo zostać w szpitalu, ponieważ nie miałyśmy tysięcy dolarów, na które szpital w takich wypadkach wystawia rachunek. Amara opiekowała się chłopcem, poświęcając mu cały swój czas. Namawiała różnych ziółarzy do eksperymentowania z nowymi roślinami. Uzyskanie skutecznych leków kosztowało wiele prób i nerwów.

Oslabienie i ciągłe nawroty gorączki u Joshui wymagały stałej uwagi. Ze względu na jego niedowagę, każda biegunka czy wymioty mogły nawet zagrażać życiu mojego jedynaka. Kiedyś oskarżałam Felixa o to, że pozbawił moje życie godności, wolności wyboru i miłości,

a wypełnił je przemocą i gwałtem. Sądziłam wtedy że to najgorsze, co może mnie spotkać z jego strony. Jakże byłam głupia. Dopuścił się przecież czegoś znacznie straszniejszego! Zniszczył życie własnego dziecka jeszcze przed jego urodzeniem. Mój gniew na Felixa, przez pewien czas stłumiony, wraz z chorobą synka znów odżył. Najprawdopodobniej on sam nie wiedział o tym, że jest HIV-pozytywny. Ten fakt choć częściowo usprawiedliwiał go w moich oczach. Nie usprawiedliwiała to jednak jego beztroskiego trybu życia, który sprzyjał rozprzestrzenianiu się tej choroby.

Musiałśmy zorientować się, jakie produkty akceptował organizm Joshui i jednocześnie zapewnić mu dostateczną ilość kalorii. W każdej chwili mogłam liczyć na moje przyjaciółki. Wciąż jednak pojawiały się nowe ataki. Gdy Joshua skończył rok, byliśmy już ekspertami w dziedzinie żywienia dziecka chorego na AIDS. Urządziłyśmy wspaniałe przyjęcie, na które mamie udało się wymknąć z haremu. Fakt, że Joshua przetrwał pierwsze dwanaście miesięcy, których zazwyczaj nie przeżywają inne chore na AIDS dzieci, dodał nam wiary i nadziei. Udowodniłyśmy, że i tej chorobie można nie poddawać się bez walki.

To nie jest jednak typowa postawa w moim kraju. Gdy ja przez cały czas byłam z moim synkiem, Amara spotykała się z innymi kobietami, które miały chore dzieci. Okazało się, że większość maluchów umierała jeszcze w wieku niemowlęcym. Najczęściej dlatego, że rodzicom brakowało pieniędzy na drogie lekarstwa.

Ale to nie jedyny powód. Wielu rodziców miało zupełnie inne nastawienie niż ja. Dla mnie myśl, że mogłabym stracić mojego synka, w ogóle nie mieści się w głowie. Jego los stał się moim losem, jego życie - moim. Inne kobiety, które chcą mieć dużo dzieci, godzą się na swoje przeznaczenie i na stratę jednego z nich.

Sądzę, że taki już los Joshui, że musi walczyć z chorobą, żeby się jej nie poddać. Kiedy jego stan zdrowia pogarsza się, myślę o Sue, mojej małej siostrzyczce, która musiała umrzeć w wieku niespełna trzech lat. Wtedy byłam bezsilna, ale nigdy więcej nie chcę już taka być. Oczywiście wierzę w to, że czuwa nad nami Bóg, ale On nie może zajmować się wszystkimi. Ja muszę Mu w tym pomóc. Tak, jak obiecałam białej Madonnie.

\*\*\*

## **Nowa droga.**

Czy to przypadek, że znalazłam schronienie właśnie u Amary? Czy czuwała nade mną Opatrzność, stawiając u mego boku kogoś, kto nie tylko mnie wspierał, ale lepiej niż ja wiedział, jak pomóc mojemu dziecku?

Wykorzystałam tę szansę, a w pierwsze urodziny Josha Amara powiedziała:

- Przez ostatnie dwanaście miesięcy obie wiele się nauczyłyśmy o tej nieznannej chorobie. Długo się zastanawiałam i mam dla ciebie propozycję, która może ci się spodoba, a na pewno przyda się twojemu synkowi. Chcesz zostać moją uczennicą? Dowiesz się wszystkiego, co sama umiem? Chcesz zdobyć wiedzę o ziołach, o tym gdzie można je znaleźć, kiedy je zbierać, których części używać, jak je przygotowywać i jak je stosować?

O tym, że wiedza Amary pomaga chorym, przekonałam się sama na przykładzie mojego synka. Ucząc się od niej wszystkiego mogłabym zawsze służyć mu pomocą. To była moja pierwsza myśl. Z radością uściskałam Amarę. Czułam dla niej podziw. Wcześniej bardzo zazdrościłam Bisi jej umiejętności, które w porównaniu z wiedzą Amary były jednak dość skromne. Propozycja zielarki przypomniała mi marzenia z dzieciństwa. Teraz do nich powróciłam.

Zgadając się wstąpiłam na nową drogę. Zdecydowałam się zostać tym, kim była Amara - zielarką. Mieszkając na farmie po raz pierwszy miałam do czynienia z uprawą roślin. Zafascynowało mnie to. W Lagos było jednak bardzo trudno zdobyć odpowiednie rośliny. Musiałyśmy jeździć z Amara w odległe zakątki, żeby znaleźć świeże zioła, z których powstawały lekarstwa.

Pewnego dnia zaproponowałam Amarze, żebyśmy podeszły poważniej do naszego zadania. Za budynkiem, w którym mieszkałam z Joshua, Amara trzymała kury, kilka kóz i dwie świnie.

- Może posadzimy w tym miejscu zioła? To zaoszczędzi nam ciągłego jeżdżenia - powiedziałam, gdy któregoś wieczoru wracałyśmy wykończone z kolejnej dalekiej wyprawy.

- Zanim rośliny wyrosną, minie wiele czasu - odpowiedziała Amara. Ale sama przyznała, że długo jeszcze będziemy potrzebować lekarstw. Bardzo długo. Dlatego, nie zastanawiając się wiele, umieściłyśmy zwierzęta u sąsiadów i rozebrałyśmy zagrodę.

Podczas wizyty w dniu urodzin Josha mama opowiedziała mnie i Amarze, że wraz z mamą Bisi i Adą są odpowiedzialne za opiekę nad niemowlętami. Od pewnego czasu miały do czynienia z tymi samymi problemami, z którymi musiał walczyć Josh. Powierzone mamie dzieci umierały dosłownie na jej rękach. Większość nie dożywała nawet swoich pierwszych urodzin. Tylko nieliczne miały na tyle silne organizmy, że udawało im się przetrwać.

Dzięki naszym doświadczeniom matka wiedziała jak interpretować te znaki.

- Czy to nie straszne? - pytała, gdy siedziałyśmy razem po urodzinowej zabawie. - Mamy wysokie mury, wartowników przed drzwiami, kraty w oknach, i wszystko to na nic. Naszym dzieciom skradziono życie. Gdyby twój ojciec tego dożył...

- Wierzysz, że ojciec naprawdę umarł na zapalenie płuc? Czy była to choroba, którą już wcześniej podejrzewałam?

- Nie, moje dziecko. Tę zarazę przyniósł do haremu ktoś inny.

Milczałam. Nie było sensu jeszcze bardziej niepokoić mamy. Nie wiedziałam, gdzie ojciec mógł się zarazić. Nie odważyłam się analizować życia seksualnego wielkiego ojca Davida. Poza tym moja uwaga skupiona była raczej na problemach otaczających mnie i moje mamy w haremie. Martwiła mnie śmierć niemowląt, tym bardziej, że wciąż przychodziły na świat kolejne zarażone noworodki.

- Musimy pomóc dzieciom w haremie tak samo jak Joshui - powiedziałam następnego dnia mamie i Amarze, patrząc jak mały bawi się u naszych stóp.

- Ależ dziecko, to zbyt niebezpieczne! - zaproponowała mama. - Co prawda Felix przestał cię już szukać - ale jeśli tylko zauważą, że mamy ze sobą kontakt - znowu zaczniesz.

- Twoja mama ma rację - zgodziła się Amara. - Musisz myśleć o sobie i swoim małym synku.

- Ale przecież nie powiedziałam, że osobiście pójde wręczyć Felixowi lekarstwa dla chorych dzieci. Ale skoro mamy środki, żeby im pomóc, to musimy to zrobić. Te dzieci nie są winne, że spotkał je taki los.

- Oto cała moja córka! - powiedziała uśmiechem się mama. - Taką właśnie cię znam. Zawsze myślisz o innych.

- A ty? Kto zawsze stawiał dobro innych nad swoje własne?

- Mury haremu nie są aż tak wysokie, żeby moje dziewczęta nie mogły przerzucić przez nie paczuski z lekarstwem - powiedziała Amara.

- A kto zapłaci za waszą pracę? - spytała rzeczowo mama.

- Felix! - Zielarka uśmiechnęła się przebiegle. - To było zawsze tajemnicą moich interesów, Liso. Najpierw trzeba zainwestować, a potem przyjdą zyski. Chociaż lubię pomagać, zawsze mam na względzie, czy to się może opłacać. Przyjdzie czas, gdy Felix przyjmie każdą pomoc, wszystko jedno od kogo. Będzie wtedy gotowy zapłacić każdą cenę.

W ciągu następnych miesięcy kuchnia Amary zmieniła się w prawdziwe laboratorium, w którym powstawały wyłącznie świeże lekarstwa. Do pracy zostały włączone wszystkie mieszkanki compound, które gorliwie pomagały. Los małego Josha był dla nich wystarczającą zachętą. Dostosowałyśmy nasz harmonogram dnia do produkcji leków. Jeszcze przed wschodem słońca zbierałyśmy zioła i od razu robiłyśmy z nich lekarstwa. Wczesnym rankiem jedna z dziewcząt, która właściwie pracowała jako pomoc domowa u Amary, zanosila je do haremu, rzucając paczuszkę tuż obok domu mojej mamy. Cała „akcja” była



obserwowana z zewnętrznych schodów domu, tych samych, na których bawiłyśmy się w dzieciństwie. W ten sam sposób dostawałyśmy informacje z haremu. Na kartce owiniętej wokół kamienia zapisane były leki potrzebne do aktualnej kuracji. Musiałyśmy zachowywać najwyższą ostrożność. W haremie było bowiem zbyt wiele ciekawskich oczu i uszu, które chętnie ukróciłyby nasze działania.

W sąsiedztwie Amary nowe zajęcie zielarki szybko zyskało rozgłos. Wciąż pojawiali się potrzebujący pacjenci - również dorośli. Byłam tak zajęta produkcją leków, że zapomniałam o swojej chorobie. Było tak jak za dawnych dobrych czasów na farmie. Miałam zadanie: pomagać innym.

Tym razem moja wolność została jednak ograniczona. Ze strachu przed Felixem nigdy nie opuszczałam compound Amary w dzień. Koncentrowałam się na przygotowaniu lekarstw w kuchni. W ten sposób mogłam też mieć na oku Joshuę. Nasze dziewczęta tak bardzo się o niego troszczyły, że mogłam liczyć na ich pomoc podczas bardziej skomplikowanych prac. Rozpieszczały go na każdym kroku, co przypominało mi często moje własne dzieciństwo w haremie. Muszę przyznać, że im na to pozwalałam. W ogóle nie potrafiłam być surową mamą, co czasami jest dziecku potrzebne. Ale bałam się, że i tak mamy za mało wspólnego czasu w tym ziemski życiu.

Przypuszczenia Amary sprawdziły się. Zaraza rozprzestrzeniła się w haremie tak szybko, że Felix nie mógł już na nią przymykać oczu. Zorientował się, że potrzebuje pomocy. Ale zachodnie leki dla takiej liczby chorych były zbyt drogie. Pewnego dnia jedna z jego queens zdradziła mu w jaki sposób leczy się w haremie chore niemowlęta. Podobno stosuje się zioła. Choć nikt nie wie skąd pochodzą te leki. Amara była zbyt mądra, żeby chełpić się swoim triumfem, i zbyt ostrożna, żeby sprowadzić na mnie niebezpieczeństwo. Oficjalnie i za zapłatą zaczęła dostarczać do haremu lekarstwa, dzięki czemu Felix nie odkrył powiązań między nią a mną.

Praca pochłaniała nas do reszty.

- Wciąż tylko stoisz w kuchni i pracujesz - upominała mnie Amara kilka tygodni później. - A ja już nawet nie mam kiedy zatroszczyć się o twoje wykształcenie.

- Ale przecież ja cały czas się uczę! - zaprotestowałam.

- Musisz nauczyć się o wiele więcej - odpowiedziała. - Myślałam o tym. Im więcej mamy kontaktów z haremem, tym jest to dla ciebie bardziej ryzykowne. Dlatego mam dla ciebie propozycję.

Amara opowiedziała mi o uczonych kobietach, które wyprowadziły się z miasta i szukały kogoś, komu mogłyby przekazać swoją tajemną wiedzę. Mówiła też o dziewczętach,

które pragnęły zgłębić wiedzę przodków, przekazywaną przez te nauczycielki, a zasadzającą się na związku dusz, duchów, zmarłych, nienarodzonych i żyjących.

- Nauka trwa trzy lata. W tym czasie nie możesz mieć kontaktu z nikim, oprócz swoich nauczycielek.

- A co z Joshua? Mogę pójść tylko z nim!

- Rozmawiałam o tym z moimi przyjaciółkami. Powiedziałam im o naszym problemie. O tym, że wy oboje nie możecie być rozdzieleni. Podkreślały, że do ich oazy nie ma wstępu żaden mężczyzna - Amara nagle się roześmiała. - Ale to mądre kobiety i wiedzą, że dwulatek nie może zdradzić żadnych tajemnic. Nawet, jeśli jest chłopcem...

- Pomyślę o tym - powiedziałam tylko, bo w głowie czułam zamęt. Nie potrafiłam tak od razu się zdecydować. Propozycja Amary bardzo mnie zaskoczyła. Z jednej strony - otwierała się przede mną niepowtarzalna szansa, z której po prostu nie mogłam nie skorzystać, zwłaszcza, że nauczycielki zgodziły się przyjąć mnie wraz z moim ukochanym synkiem. Z drugiej strony - znów będę musiała na jakiś czas rozstać się z ludźmi, których kocham. U Amary znalazłam nowy dom, w którym czułam się bezpieczna. Miałabym go teraz opuścić? A matka? Jeśli coś jej się przytrafi?

Nie było mi łatwo podjąć decyzję. W końcu jednak uświadomiłam sobie, że mam do wykonania zadanie. Chciałam pomóc możliwie jak największej liczbie osób, głównie dzieciom, w walce z tą straszną chorobą. Skoro u zielarek mogę nauczyć się jeszcze więcej, a potem wykorzystać tę wiedzę, to nie ma się nad czym zastanawiać.

Wkrótce Amara zawiozła nas do pewnego miejsca daleko od Lagos, gdzie mieszkały moje nauczycielki. Razem z synkiem spędziłam tam trzy lata i nauczyłam się rzeczy, których nie mogę zdradzać. Śluby milczenia mogę złamać tylko wobec osoby, która przejdzie inicjację w szkole moich nauczycielek lub będzie chciała zostać moim uczniem.

\*\*\*

## **Pocałunek śmierci.**

Rozpoczął się dla mnie nowy etap życia. Jednak ci, którzy pozostali w haremie, nie mieli takiej możliwości. Gdy odjeżdżałam do moich nauczycielek tylko najmłodsze z dzieci cierpiały na AIDS. Z czasem zapadało na tę chorobę coraz więcej queens. Felix izolował je od reszty, gdy tylko zauważył u nich pierwsze symptomy AIDS, takie jak choroby skóry, długotrwałą gorączkę czy biegunkę. Mimo to, głośno było w okolicy o nieszczęściu, jakie nawiedziło Rodzinę w haremie. Strach przed zarażeniem sprawił, że compound stało się wyspą, na której mój mąż ze swoimi dziećmi i żonami żył jak trędowaty.

- To było straszne! Gdziekolwiek się nie ruszyłam, patrzyły na mnie zgaszone oczy i wychudzone twarze, w których nie było już nadziei - opowiadała mi Amara po moim powrocie. - Twój ojciec dawał ludziom siłę, a teraz to miejsce zmieniło się w przedsionek piekła.

Przez cały ten czas my wraz z Joshem żyliśmy daleko od cierpień chorych z haremu.

Słuchałam jej opowieści ze zdziwieniem i przerażeniem. Starsze żony ojca - jak mama Patty, Felicitas, Bisi, moja matka, a nawet silna pomimo wszelkich przeciwności losu Ada - ciężką pracą walczyły z ogarniającym wszystkich poczuciem beznadziei. Opieka nad chorymi na AIDS jest wycieńczającą pracą, ponieważ w pewnym stadium chorzy wymagają pomocy przez całą dobę.

Jedynie myśl o tym, że są prawdziwą rodziną, której członkowie pomagają sobie i wspierają się nawzajem, ratowała tę osłabioną wspólnotę przed rozpadem. AJe i ostatnie zdrowe kobiety musiały w końcu przyznać, że czas działa na niekorzyść haremu. Felix był coraz słabszy, aż przestał w ogóle opuszczać klimatyzowany pokój, w którym niegdyś mieszkał ojciec David.

Gdy Amara opowiadała mi o ostatnim spotkaniu z Felixem, podczas którego stwierdził, że jej zielarstwo to niepotrzebna głupota, jeszcze słyszałam w jej głosie wzburzenie.

- Czy ja jestem cudotwórcą? - odparłam mu na to. - Zamieniłeś ten wspaniały dom w cmentarzysko. Tak jak i życie wszystkich ludzi, którzy mieli to nieszczęście, że spotkali cię na swojej drodze! Potem powiedziałam mu jeszcze, co o nim sędzę.

Tak zielarka wspominała swoje ostatnie słowa skierowane do ojca Joshui.

- Amaro, czy opowiedziałas mu o mnie? I o tym, że ma syna? Że Josh jest wspaniałym dzieckiem? - spytałam.

- Nie, moje dziecko - pokręciła głową - dlaczego miałabym mówić mu o tym, że udało mu się pozostawić po sobie coś dobrego? Felix nigdy nie interesował się innymi. Postanowiłam nie robić mu tej przyjemności.

Uścisnęłam moją nauczycielkę.

- Dobrze zrobiłaś. Ja bym mu pewnie powiedziała o Joshui. Ponieważ jestem taka szczęśliwa, że z tyłu nieszczęść narodziła się tak kochana istota. Ale Felix nie zasłużył na takie pocieszenie. Dlatego dobrze się stało, że nigdy więcej go nie spotkałam.

Amara nie dała Felixowi żadnych leków. Twierdziła, że nic mu już nie pomogą. Kilka dni później mój mąż zmarł. Uroczystość pogrzebowa nie była okazją, gdyż takie urządziła się

po śmierci lubianej osoby. Być może kilka kobiet i dzieci naprawdę go żałowało, ale większość z pewnością poczuła ulgę.

Cokolwiek nie myślałyby o tym człowieku jego żony, wraz ze śmiercią głowy Rodziny, harem stracił swojego przywódcę, swoją najważniejszą osobę. Już przez ostatnie miesiące choroby Felixa jego queens i reszta kobiet musiały nauczyć się żyć bez mężczyzny. Na barki „trybunału”, który dotąd zajmował się wymierzaniem sprawiedliwości, spadło teraz - zgodnie z ustaloną zasadą - kierowanie całym compound. W jego skład wchodziły mama Patty, mama Felicitas i moja mama, kobiety w wieku około siedemdziesięciu lat. Mimo że wszystkie trzy były doświadczone życiowo i samodzielne, najbardziej rezolutną z nich okazała się moja mama, która przekonała się przez lata spędzone na farmie, że bez mężczyzny też można sobie całkiem dobrze radzić.

Największym problemem wspólnoty były finanse. Kto był w stanie, zajmował się rzemiosłem, na przykład wytwarzaniem biżuterii, krawiectwem, wyplataniem koszy lub garncarstwem. Towary można było sprzedać na targu. Dało się na tym nawet nieco zarobić, ale było to za mało, żeby wykarmić tyle osób i opiekować się chorymi. Razem z innymi matka harowała dzień i noc. Zmizerniała i była ciągle zmęczona. Nawet Amara nie domyśliła się, co się naprawdę z nią dzieje. Zaraza dotknęła także moją mamę.

Jak wynika z opowieści Amary, mama była przekonana, że nie zaraziła się w czasie opieki nad chorymi. Pod koniec życia była pewna, że nie tylko Felix nosił w sobie śmiertelny wirus. Miał go także mój ojciec. Był ktoś, kto łączył obu mężczyzn: Idu. Choć oczywiście nie da się tego udowodnić. Jednak czasowa zbieżność powrotu Idu do haremu i choroby ojca mówi sama za siebie. W dodatku, z tego co po otrzymaniu listu z Ibadan opowiadał mi kiedyś Jo, wynika, że umierający tam w tajemniczy sposób ludzie, chorowali właśnie na AIDS. A stamtąd pochodzili i Felix i Idu. Z pewnością Idu zaraziła ojca Davida, ale czy to ona przekazała pocałunek śmierci Felixowi, czy też on jej, tego już się nie dowiemy.

Amara od razu chciała zabrać matkę do siebie, żeby móc się nią lepiej opiekować. Jednak ta nie chciała opuścić compound. Bisi i Ada troszczyły się o nią z całą swoją miłością. Podawały jej też lekarstwa Amary. Ale te są najskuteczniejsze wtedy, gdy stosuje się je we wczesnej fazie choroby. W przypadku mamy nie mogły zdziałać więcej, niż tylko zmniejszyć ból.

Tak przedstawiała się sytuacja, gdy po trzech latach nauki u zielarek wróciłam do Lagos. Amara bardzo starała się jak najdelikatniej przekazać mi straszną wiadomość. Mimo to, zła nowina była dla mnie szokiem. W pierwszej chwili pomyślałam o synku. Jak mam mu powiedzieć, że jego babcia umiera z powodu choroby, którą i on w sobie nosi?

- Lepiej powiedz mu od razu. To rozgarnięty chłopiec, ale nie zrozumie, jeśli to przed nim zataisz - poradziła mi Amara kilka dni po naszym przyjeździe.

Mój syn oglądał właśnie rośliny, które przez ten czas wyrosły w ogrodzie Amary. Życie w buszu zrobiło z niego małego znawcę ziół. Mając pięć lat wiedział, które liście pomagają na ból brzucha, które są na kaszel, a które na grzyby w gardle, kiedy gardło strasznie piecze. Gdy przyszedłam do niego, właśnie zabierał się od zerwania kilku delikatnych listków.

- Boli cię jeszcze gardło? - spytałam.

- U Amary są te same rzeczy co u babć! - tak nazywał nauczycielki, u których mieszkaliśmy. - Niedługo ci przejdzie. - wepchnął sobie liście do buzi i przeżuwał je ze smakiem.

- Twoja babcia Lisa ma tę samą chorobę co my - zaczęłam.

- To zaniosę jej trochę tych liści! - odpowiedział krótko i z przekonaniem. Na tym zakończyła się nasza rozmowa.

Amara zawiozła mnie i Josha do haremu. Jako stały gość miała już nawet swój klucz do jednej z bram, które tak jak kiedyś były zamykane.

Jadąc tam czułam się dość nieswojo, chociaż od śmierci ojca Felixa nie miałam się już czego obawiać. Poza tym mama stała na czele haremu.

Odkąd mama była zbyt słaba, żeby wchodzić po schodach na pierwsze piętro, mieszkała w pokojach Bisi. Gdy tam weszliśmy, leżała na łóżku w swojej najpiękniejszej białej sukni. Na powitanie wnuczka Bisi starannie ją umalowała. Była taka dzielna! Przez cały czas śmiała się, opowiadała zabawne historyjki, łaskotała i pieściła Josha. Gdy przytuliłam się do Bisi, wyrażając tym bez słów swoją ogromną radość z naszego spotkania, Josh zwrócił się do mojej chorej matki.

- Babciu, przyniosłem ci liście na twoje gardło. Czy ciebie też tak boli przy przełykaniu?

Zaczęli oboje wymieniać się fachową wiedzą na temat zwalczania łagodnych symptomów AIDS. Jak gdyby rozmawiali o jakiejś zabawie... Stałam obok nich szczęśliwa, że wreszcie mogli się oboje lepiej poznać.

W południe położyłam Josha spać na piętrze w łóżku mamy. Ze zdziwieniem zauważyłam, że od czasów mojego dzieciństwa w jej mieszkaniu nic się nie zmieniło. Na komodzie leżał list. Co prawda koperta była otwarta, ale list włożono z powrotem. Tak, jakby jego treść nie była ważna. Gdy spojrzałam na nadawcę, z wrażenia zamarłam. List był od Magdaleny. Zebrałam się na odwagę i przeczytałam go.

„Kochana mammo!

Od tak dawna chciałam napisać do Ciebie. Ale jakoś zawsze brakowało mi odwagi. Bo tak bardzo oddaliśmy się już od siebie. Potrzebowałam czasu, żeby zmniejszyć ten dystans. Dziękuję Ci za wszystkie listy, które pisałaś do mnie przez dziesiątki lat. Tych, które wysyłałaś na adres internatu i na adres wujka Xavera, nigdy nie dostałam.

Twój brat zmarł dwa lata temu, a ciotka Johanna kilka tygodni po nim. Wśród pozostawionych przez nich rzeczy znalazłam Twoje listy. To nie było w porządku, że przez tyle czasu uniemożliwiali nam kontakt. Z twoich listów wiem, że nigdy mnie nie zapomniałaś, i że zawsze kochałaś. Jak można naprawić tę niesprawiedliwość, która tak bardzo nas od siebie oddaliła?

Długo nad tym myślałam i postanowiłam przyjechać do Nigerii tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeśli chcesz, mogę odwiedzić cię na Wielkanoc.

Twoja kochająca córka Magdalena

PS. Przesyłam Ci moje aktualne zdjęcie z córką Kathariną.”

Zbiegłam po schodach najszybciej jak umiałam. Bisi położyła się spać obok mamy, trzymały się obie za ręce. Jak para, która przeszła razem długą drogę. Po cichu wycofałam się z pokoju.

- Zostań, moje dziecko. Znalazłaś list, prawda? - usłyszałam cichy głos chorej.

Podbiegłam do mamy i uklękłam przy niej.

- To wspaniale, mammo! Wielkanoc jest już niedługo. Odpowiedziałaś jej?

- Na początku nie chciała - odezwała się Bisi. - Powiedziała tylko: „Czy Magdalena ma mnie zobaczyć w takim stanie?” Ale nie dałam jej spokoju dotąd, dopóki do niej nie napisała.

- Cieszę się, że to zrobiłam. Nie dla siebie, Choga Regina. Myślałam o Joshu, o tobie i o Magdalenie - dodała. - Gdzie masz te papiery, moja droga? - zapytała, i spojrzała na swoją współżonę. Bisi sięgnęła ręką pod łóżko i podała mamie kopertę. Ta otworzyła ją i podała mi kartki.

- Farma. To jest akt własności. Należy teraz do ciebie. Życzę wam, żebyście byli na niej szczęśliwi.

Zaskoczona aż znieruchomiałam. Potem uściskałam matkę, czując jednocześnie wdzięczność i ból.

- Na pewno będziemy tam szczęśliwi, a ty musisz wypocząć. Potem wszyscy razem pojedziemy do Jeba: ty, mama Bisi, Josh i ja. Pokażemy Magdalenie nasz kawałek raj.

- To już nie jest raj, moje dziecko. Pięć lat to długo. Będziecie musieli zaczynać wszystko od początku.

- Ale będziemy znów mieć prawdziwy dom! - krzyknęłam zachwycona.

- Nie wiem, czy mi się uda. Jestem coraz słabsza. - w głosie mamy brakowało radości i nadziei.

- Oczywiście, że ci się uda - powiedziałam z przekonaniem. Opowiedziałam mamie o moim życiu w buszu, o wszystkim, czego się przez te trzy lata nauczyłam.

Mama słuchała z uwagą.

- Udało ci się do czegoś dojść, Choga Regina. Możesz być z tego dumna - powiedziała

- Ach, Liso, nie mogę tego słuchać! - mama Bisi wreszcie ożyła! - Nie widzisz, że nasza mała ma przed sobą świetlaną przyszłość? w Jeba jest tylko ta podejrzana uzdrowicielka, która nie zna się na swoim fachu. Choga nie będzie mogła opędzić się od pacjentów! Gdy tylko przyjedzie Magdalena, wyruszymy razem z wami. Tam odżyjesz, zobaczysz. Życie kończy się dopiero wtedy, gdy człowiek się podda.

- Jesteś skarbem, kochana Bisi. No, dobrze. W takim razie wyzdrowieję. Ale teraz muszę się przespać - odparła chora.

To były ostatnie słowa, jakie słyszałam z ust mamy. Wieczorem dostała wysokiej gorączki. Od razu zabrano ją do szpitala, ale nikt nie mógł jej już pomóc. Jej organizm odmówił walki.

Bliską śmierci i nieprzytomną przywieziono ją z powrotem do compound. Dwa dni później zmarła. Był Wielki Czwartek.

- Dwadzieścia cztery godziny później wylądowałaś na lotnisku w Lagos - zwróciłam się do Magdaleny, która słuchała mojej opowieści z zapartym tchem.

Na dworze było już jasno. Słońce jak co dzień wyruszało w swą wędrówkę po niebie.

- Kiedy jedziemy do Jeba? - spytała siostra, gdy skończyłam. - Jeszcze dziś?

- Nadszedł czas, żeby moja mama wróciła do swojego rajku.

- Nasza mama, Choga, nasza mama - poprawiła mnie znów Magdalena.

Usłyszałam delikatne pukanie do drzwi, a potem zobaczyłam burzę ciemnych loków.

- Już nie śpicie, mamusiu? Babcia Bisi powiedziała, żebym wam nie przeszkadzał, bo jeszcze śpicie. Ale babcia Bisi pakuje już na dole swoje rzeczy. Pomyślałem, że może lepiej was obudzić - Joshua z zaciekawieniem przyglądał się mojej siostrze. - Jestem Josh. A ty jesteś ciocia Magdalena z Niemiec?

- Cześć, Josh. Cieszysz się, że będziesz mieszkał na wsi?

- Pewnie! Będzie super! A czy mama mówiła ci już, że będziemy mieć psa? On będzie tylko nasz. Wiem już, jak będzie się nazywał. Zgadniesz jak?

- Niech pomyślę. Może uda mi się zgadnąć... Corn? - Właśnie tak! Skąd wiedziałaś?

\*\*\*

## **Epilog.**

Kiedy dzisiaj spaceruję po naszej farmie, wszędzie widzę mamę - w każdej studni, która daje nam wodę - na każdym polu, które nas żywi. Bez niej nie byłoby tego wszystkiego. Jej przykład pokazuje mi, że nie wolno żyć tylko dla siebie, ale trzeba zawsze myśleć o innych. Niezależnie od tego, jak nam się powodzi. Chciałabym, żeby pewnego dnia także mój Joshua zaczął w ten sposób myśleć i działać. Modłę się o to, żeby żył długo.

Razem z mamą Bisi, teraz nazywaną babcią Bisi, Joshem i ze mną przyjechało tu z dawnego haremu w Lagos kilka innych kobiet. Ich dzieci i Josh cierpią na tę samą chorobę. Mieszkają z nami również dwie dziewczynki z sąsiedztwa, które straciły rodziców przez tę straszną zarazę. U nas znalazły nowy dom.

Brakuje nam tylko nauczycielki, ale czekamy na Magdalенę, która wzięła urlop w swoim gimnazjum w Niemczech. Kto wie, może zostanie tu na dłużej? A może... na zawsze? Nie wiadomo co przyniesie przyszłość. Najważniejsze, że żyjemy.

\*\*\*

## **Dalsze losy bohaterki powieści „Złota klatka”.**

Choga Regina Egbeme żyje w idyllicznym miejscu. Wraz z kilkoma towarzyszkami oraz swoją przyrodnią niemiecką siostrą przeprowadza się na farmę w środkowej Nigerii, którą pozostawiła jej w spadku matka. W prostym wiejskim życiu kobiety odnajdują poczucie bezpieczeństwa i nowe siły. Tworzą swoisty harem, do którego nie ma wstępu żaden mężczyzna. Jednak ta idylla jest zagrożona. Okazuje się, że islamscy sąsiedzi, walczący o wprowadzenie szariatu, nie tolerują istnienia wspólnot kobiet. Raz po raz powtarzają się brutalne napady na mieszkanki farmy. Choga musi otoczyć gospodarstwo wysokim murem, ale czy to wystarczy, żeby zapewnić sobie i swoim towarzyszkom ochronę przed wrogim światem zewnętrznym?